Władimir Megre

NOWA CYWILIZACJA

Anastazja

Anastazja
księga 8
NOWA CYWILIZACJA

SPIS TREŚCI

ODCZUCIA PRZED NASTANIEM ŚWITU 2
ZWYCIĘSTWO NAD RADIACJĄ 4
"GĘSI, GĘSI! - GĘ-GĘ-GĘ", czyli superwiedza, którą tracimy.... 9
Wielki problem..... 12
Wyjście jest 16
POWRÓT DO MŁODOŚCI..... 16
Pierwsza procedura 16
Druga procedura..... 17
Trzecia procedura..... 17
Szczypta wtajemniczenia..... 18
Wizja 20
BOSKIE ODŻYWIANIE SIĘ 22
DEMON KRATOS..... 27
MILIARDER 30
URODZĘ CIEBIE, MÓJ ANIELE... 45
TAK TO JEST..... 52
Rozmowa z prezydentami..... 53
Do Prezydenta i Rządu Federacji Rosyjskiej 55
Nauka obrazowości - w czyich rękach znajduje się ideologia kraju? 56
Rosyjska Cerkiew Prawosławna - czy aby rosyjska? 59
Okupanci w działaniu 60
KSIĘGA RODU I RODZINNA KRONIKA 61
Kwestia żydowska..... 61
Twórzmy więc..... 64
List do Prezydenta Rosji z Niemiec 71
HEKTAR - KAWAŁECZEK PLANETY ZIEMIA 73
WŁADZA NARODOWA 76
Prawo Rosji o rodowych osadach, tworzonych przez narodowych posłów Rosji wszystkich szczebli (projekt) 77
NOWA CYWILIZACJA 81
Nieśmiertelność 82
Miłość tworząca światy 83

ODCZUCIA PRZED NASTANIEM ŚWITU

Anastazja jeszcze spała. Nad bezkresną syberyjską tajgą niebo rozjaśniało się przed świtem. Tym razem obudziłem się pierwszy, leżałem jednak cichutko obok w swym śpiworze, rozkoszując się widokiem jej napełnionej błogim spokojem, pięknej twarzy i płynnych konturów sylwetki. W delikatnym, błękitnym świetle nastającego poranka rysowały się one coraz wyraźniej. Dobrze, że tym razem uszykowała nocleg pod gołym niebem. Wiedziała z pewnością, że nadchodząca noc będzie ciepła i spokojna, toteż przygotowała posłanie nie w swojej przytulnej ziemiance, ale przy wejściu do niej. Dla mnie posłała śpiwór, który przywiozłem, będąc w tajdze ostatnim razem, a tuż obok – dla siebie usłała piękne łoże z suchej trawy i kwiatów.

Cudownie wyglądała na tym tajgowym posłaniu, odziana w cieniutką, lnianą, sięgającą kolan su-

kienkę, którą przywiozłem jej w prezencie od czytelników. Być może tylko przy mnie ją nakładała, kiedy indziej mogła sypiać nago. Im w lesie jest zimniej, tym więcej można podścielić suchej trawy – przecież na kopie siana i zimą nie chłodno. Nawet zwykły człowiek, nie będąc zahartowany tak bardzo, jak Anastazja, może spać w sianie bez ciepłej odzieży. Sam próbowałem. Ale tym razem leżałem w śpiworze. Leżałem, patrzyłem na śpiącą Anastazję i starałem się wyobrazić sobie, jak mógłby wyglądać taki kadr w filmie fabularnym.

Polana w głębi bezkresnej syberyjskiej tajgi. Cisza przed nastaniem dnia tylko czasem zakłócana ledwie słyszalnym szelestem gałęzi na szczytach majestatycznych cedrów. I piękna kobieta śpiąca błogo na posłaniu z traw i kwiatów. Jej oddech bardzo miarowy i ledwie słyszalny, dostrzegalny tylko wówczas, gdy cienkie źdźbło trawy, które przylgnęło do górnej wargi, z lekka się odchyla, podczas kiedy wdycha i wydycha uzdrawiające powietrze syberyjskiej tajgi...

Nigdy wcześniej nie udało mi się ujrzeć Anastazji śpiącej w tajdze, bo to zawsze ona budziła się pierwsza. Aż tu...

Ogromną przyjemność sprawiało mi patrzenie na nią. Ostrożnie podniosłem się i oparłem na ręce, przyglądając się jej twarzy, zamyśliłem się i zacząłem mówić w myślach do siebie:

"Anastazjo, ciągle jesteś tak samo piękna. Wkrótce minie dziesięć lat, jak się poznaliśmy. Ja, oczywiście, postarzałem się przez ten czas, a ty prawie się nie zmieniłaś. I zmarszczki nie tknęły twojej twarzy. Ot, tylko jedno siwe pasemko pojawiło się na twoich złotych włosach. Widocznie działo się z tobą coś niezwykłego. Sądząc po zakrojonej na szeroką skalę akcji prowadzonej przeciwko tobie i twoim ideom, po wypowiedziach w prasie i strukturach urzędniczych wysokiego szczebla, coś się dzieje w obozie ciemności. Starają się dokuczyć mnie, a z jakąż satysfakcją dostaliby ciebie. Jak widać – ręce mają za krótkie...

A mimo wszystko siwe pasemko pojawiło się na twoich włosach. Nie kala ono jednak absolutnie twej niezwykłej urody. Wiesz, teraz modne jest farbowanie poszczególnych kosmyków włosów na różne kolory. Nasza młodzież uważa, że pojedyncze rozjaśnione pasemka wyglądają modnie i ładnie. Ty natomiast nawet nie musisz iść do fryzjera – pasemko pojawiło się samo... A ranka po kuli, którą w ciebie wymierzono, prawie się zabliźniła.

Niebo przed świtaniem jeszcze bardziej pojaśniało, a maleńka blizna na skroni nawet z bliska jest prawie niedostrzegalna, niedługo zniknie zupełnie.

Jesteś pogrążona w błogim śnie, tutaj, na świeżym powietrzu, w swoim tajgowym świecie – a tam, w naszym świecie, odbywają się bardzo ważne wydarzenia. Badacze nazywają je «informacyjną rewolucją». Być może dzięki tobie, idąc za głosem swoich dusz, ludzie naszego technokratycznego świata zaczynają tworzyć swoje rodowe siedziby, uszlachetniać ziemię. Przyjęli oni całym sercem twój obraz, Anastazjo, cudowny wizerunek przyszłości swojej rodziny, kraju, a może i całego wszechświata. Oni zrozumieli ciebie i teraz sami budują tę przepiękną przyszłość.

Ja też staram się zrozumieć. Staram się, jak mogę. Jeszcze nie do końca zrozumiałem, kim ty dla mnie jesteś, jak wiele dla mnie znaczysz. Nauczyłaś mnie pisać książki, urodziłaś mi syna, uczyniłaś sławnym, przywróciłaś szacunek córki – uczyniłaś bardzo wiele. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest coś innego. Być może to ukrywa się gdzieś wewnątrz.

Wiesz, Anastazjo, nigdy nie mówiłem o swoim stosunku do ciebienie mówiłem o tym ani tobie, ani sobie. A tak w ogóle, przez całe życie żadnej kobiecie nie powiedziałem: kocham cię.

Nie mówiłem o tym nie dlatego, że jestem całkowicie nieczuły, ale dlatego, że uważam te słowa za dziwne i bezsensowne. Przecież jeżeli ktoś kogoś kocha, to miłość ta winna być wyrażana w czynach wobec ukochanej osoby. Jeśli zachodzi potrzeba wypowiedzenia tych słów, oznacza to brak prawdziwych, odczuwalnych czynów. Wszakże czyny są ważniejsze, a nie słowa. ..

Anastazja z lekka się poruszyła, westchnęła głęboko, lecz nie obudziła się. A ja w dalszym ciągu mówiłem do niej w myślach:

"Ani razu nie wyznałem tobie miłości, Anastazjo. Lecz gdybyś poprosiła, abym sięgnął ci gwiazdkę z nieba, to wdrapałbym się na wierzchołek największego drzewa i odbiwszy się od ostatniej gałęzi, skoczyłbym do tej gwiazdy. Gdybym poleciał w dół, to spadając, chwyciłbym się gałęzi i znów wdrapał na wierzchołek, i znów skoczył do gwiazdy.

Anastazjo, nie prosiłaś mnie, abym sięgał ci gwiazdki z nieba, a tylko prosiłaś, abym napisał książki. Piszę je. Nie zawsze najlepiej mi się to udaje. Czasem upadam. Ale przecież nie zakończyłem jesz-

cze ich pisania. Nie napisałem jeszcze swojej ostatniej książki. Będę się starał, aby się tobie spodobała". . .

Rzęsy Anastazji drgnęły, a na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Otworzyła oczy. Czułe spojrzenie szaroniebieskich oczu... Boże, jakim ciepłem zawsze promienieją te oczy, zwłaszcza gdy są tak blisko. Anastazja patrzyła na mnie w milczeniu, a jej oczy błyszczały, jakby pełne wilgoci.

– Dzień dobry, Anastazjo! Zapewne pierwszy raz spałaś tak długo. Przedtem to ty zawsze budziłaś się pierwsza – powiedziałam.

– I tobie, Władimirze, dobrego i pięknego dnia – cicho, niemalże szeptem odpowiedziała Anastazja. – A ja chciałabym jeszcze pospać choć odrobinkę.

– Jak to, jeszcze się nie wyspałaś?

– Wyspałam się, i to bardzo dobrze. Ale sen... Taki miły był ten sen przed nastaniem świtu...

– Jaki sen? O czym śniłaś?

– Przyśniło się, jak mówiłeś do mnie. O wysokim drzewie i gwieździe, o upadku w dół i dążeniu ku górze na nowo. Słowa o drzewie i o gwieździe, lecz jakby mówiły o miłości.

– W snach często pojawiają się rzeczy niezrozumiałe. Jaki związek ma drzewo z miłością?

– Związek może być we wszystkim i ogromny sens. Tutaj najważniejsze są uczucia, a nie słowa. Z nastaniem świtu dzień złożył mi w darze niezwykłe uczucie. Pójdę go przywitać i objąć.

– Jakiego "go"?

– Cudowny dzień, który obdarzył mnie tak niezwykłym podarunkiem.

Anastazja wstała powoli, odeszła kilka kroków od wejścia do ziemianki i... Czyniła tak zawsze rankiem, wykonując swoją osobliwą gimnastykę poranną. Tak samo i teraz – rozrzuciła ręce na boki i nieco w górę. Przez jedną dwie sekundy spoglądała w niebo i nagle zawirowała. Potem rozpędziła się i zrobiła swoje nieprawdopodobne salto. Znowu zawirowała. A ja, leżąc na swoim śpiworze przy wejściu do ziemianki, rozkoszowałem się widokiem żywiołowych ruchów Anastazji i myślałem: "No tak! Przecież to już nie dziewczyna, a jak szybko, pięknie i energicznie się porusza, niczym młoda gimnastyczka. Ciekawe, jak poczuła to, o czym mówiłem w myślach, kiedy spała? A może należało się przyznać?"

I zawołałem:

– Anastazjo, to, co ci się przyśniło, nie było zwyczajnym snem.

Zatrzymała się od razu na środku polany, po czym energicznie obróciła w swych akrobacjach raz i drugi, znalazła się obok, szybko usiadła na trawie i odezwała się radośnie:

– To nie był zwyczajny sen? Na czym polega jego niezwykłość? Mów zaraz. Mów bardzo dokładnie.

– Rozumiesz, ja właściwie też myślałem o tym drzewie. A w myślach mówiłem o gwieździe.

– A powiedz mi, skąd te słowa u ciebie? I co je zrodziło – te właśnie słowa?

– Rodzą je uczucia, być może?

Naszą rozmowę przerwał krzyk dziadka Anastazji:

– Anastazjo! Anastazjo, usłysz mnie natychmiast, zrozum! Anastazja podskoczyła, a ja też szybko wstałem.

ZWYCIĘSTWO NAD RADIACJĄ

– Znowu Wołodia coś wykombinował? – Anastazja zapytała dziadka, który do nas podbiegł. A dziadek tylko przelotnie na mnie spojrzał, rzucił krótko: "Witaj, Władimirze" i wyjaśnił:

– Jest nad brzegiem jeziora. Zanurkował i sięgnął z dna kamyk. Teraz stoi, ściskając go w swojej dłoni. Mogę przypuszczać, że kamień spala mu rączkę, lecz on go nie wypuszcza z dłoni. I nie wiem, co poradzić.

Potem dziadek odwrócił się do mnie i surowo powiedział:

– Twój syn tam, a ty – przecież ojcem jesteś... czegoż stoisz?

Niezupełnie rozumiejąc, co się dzieje, pobiegłem nad jezioro. Obok biegł dziadek i tłumaczył:

– Ten kamień ma właściwości radioaktywne. Jest niewielki, ale energii w nim wiele. Energia ta jest podobna do promieniowania radioaktywnego.

– A jak on się znalazł na dnie jeziora?

– Jest tam od dawna. Jeszcze mój ojciec wiedział o tym kamyku. Lecz nikt nie mógł tam zanurko-

wać i dopłynąć doń pod wodą.

– A w jaki sposób Wołodia zanurkował, dopłynął po wodą? Skąd się dowiedział?

– Nauczyłem go nurkowania na głębinie, wytrenowałem.

– Po co?

– Tak mnie męczył, bez przerwy o to prosił. Wy przecież nie macie czasu zająć się wychowywaniem dziecka, zrzucacie wszystko na starych.

– A kto mu opowiedział o kamieniu?

– Któż opowie oprócz mnie? Ja opowiedziałem.

– Po co?

– Bardzo chciał się dowiedzieć, co nie pozwala zamarznąć jezioru zimą.

Kiedy podbiegliśmy do jeziora, zobaczyłem mojego syna stojącego na brzegu. Jego włosy i koszula były mokre, ale nie ściekała już z nich woda, co oznaczałoby, że stał tak już dość długo – stwierdziłem.

Mój syn Wołodia stał z wyciągniętą przed siebie ręką zaciśniętą w pięść i wpatrywał się w nią w pełni skoncentrowany, nie odrywając wzroku. Było oczywiste: zaciskał w ręce tenże nieszczęsny kamyk z dna jeziora. Zrobiłem w sumie dwa kroki w stroną syna. Obrócił szybko głowę w moim kierunku i powiedział:

– Tato, nie podchodź do mnie.

A kiedy się zatrzymałem, dodał:

– Zdrowia twoim myślom, tato. Tylko odejdź nieco dalej, a może będzie lepiej, gdy obaj z dziadkiem położycie się na ziemi – ja będę wówczas mógł spokojnie się skoncentrować.

Dziadek z miejsca położył się na ziemię i ja też, sam nie wiedząc dlaczego, położyłem się obok. Przez jakiś czas w milczeniu patrzyliśmy na stojącego na brzegu Wołodię, po czym przemknęła mi przez głowę całkiem zwyczajna myśl i powiedziałem:

– Wołodia, wyrzuć go po prostu dalej.

– Gdzie dalej? – nie odwracając się, zapytał syn.

– Na trawę.

– Nie wolno na trawę, tam może zginąć wiele istnień. Czuję, że na razie nie wolno go rzucać.

– Wobec tego będziesz tak stać i dzień i dwa? Co dalej? Będziesz stać tydzień, miesiąc?

– Zastanawiam się, jak postąpić, tato. Pomilczmy, niech myśl znajdzie rozwiązanie, nie należy jej rozpraszać.

Obaj z dziadkiem, leżąc w milczeniu, spoglądaliśmy na Wołodię. I nagle zobaczyłem, że z przeciwległego brzegu, z wolna, bardzo powoli z powodu niezwykle skomplikowanej sytuacji idzie Anastazja. Nie podchodząc do Wołodii, w odległości pięciu metrów od niego, jak gdyby nigdy nic usiadła na brzegu jeziora, opuściła do wody nogi i przez jakiś czas tak siedziała. Potem odwróciła się do syna i zupełnie spokojnie zapytała:

– Piecze cię w rączkę, synku?

– Tak, mamo – odpowiedział Wołodia.

– O czym myślałeś, kiedy sięgałeś po kamień, a o czym teraz myślisz?

– Z kamienia wydostaje się energia przypominająca promieniowanie radioaktywne. Opowiadał mi o niej dziadek. Lecz z człowieka też wydostaje się energia. Wiem o tym. I ludzka energia zawsze jest silniejsza, żadna inna nie jest w stanie pokonać energii człowieka. Sięgnąłem kamyk i trzymam go. Ze wszystkich sił staram się stłumić jego energię. Wpędzić ją z powrotem, do wewnątrz. Chcę pokazać, że człowiek jest silniejszy od jakiegokolwiek promieniowania radioaktywnego.

– I udaje ci się pokazać przewagę wychodzącej z ciebie energii?

– Tak mamo, udaje się. Ale on nagrzewa się coraz mocniej. Troszeczkę parzy moje palce i dłoń.

– Dlaczego go nie rzucisz?

– Czuję, że nie wolno mi tego zrobić.

– Dlaczego?

– Czuję.

– Dlaczego?

– On... On eksploduje, mamo. Wybuchnie, gdy tylko ja rozewrę palce ręki. Eksplozja będzie silna.

– Tak, racja, wybuchnie. Z kamienia wydostaje się zamknięta w nim energia. Swoją energią stłu-

miłeś jej strumień i skierowałeś do wewnątrz, w myślach ukształtowałeś wewnątrz kamyczka jądro i tam teraz gromadzi się energia i twoja i jego. Ona nie może zbierać się tam bez końca. Energia ta już buzuje wewnątrz jądra, które stworzyłeś w myślach i nagrzewa, a kamień parzy twoją rączkę.

– Zrozumiałem to, dlatego nie rozwieram palców. Na zewnątrz Anastazja była absolutnie spokojna, jej ruchy powolne i płynne, mówiła rytmicznie i z przerwami, ale czułem, że jest niezwykle skupiona, ajej myśl zapewne pracuje szybko, jak nigdy dotąd. Wstała, przeciągnęła się leniwie i spokojnie powiedziała:

– To znaczy, zrozumiałeś, Wołodia, że jeżeli od razu odsłonisz kamyczek, może nastąpić eksplozja?

– Tak, mamo.

– Więc trzeba go odsłaniać stopniowo.

– Jak?

– Powolutku, najpierw z lekka odchylając kciuk i paluszek wskazujący, odsłonisz część kamienia i z miejsca wyobraź sobie w myślach, jak wydostaje się zeń w górę energia w postaci promienia, którą wprowadziłeś do wnętrza kamienia. I za twoją energią zacznie podążać jego energia. Bądź ostrożny: promień musi być skierowany tylko ku górze.

Wołodia, w skupieniu patrząc na mocno zaciśniętą pięść, wolniutko rozluźnił kciuk i palec wskazujący. Ranek był słoneczny, lecz nawet w świetle dnia widać było promień wychodzący z kamienia. Ptak lecący w górze znalazł się obrębie tego promienia i zmienił w kłąb dymu. Maleńka chmurka, po której prześliznął się promień, dosłownie wybuchła parą. A po kilku minutach promień stał się prawie niedostrzegalny.

– Oj, zasiedziałam się tutaj z wami – powiedziała Anastazja – pójdę, może przygotuję śniadanie, podczas kiedy wy się tutaj zabawiacie.

Odchodziła też bardzo powoli. Zrobiwszy parę kroków, zachwiała się lekko, podeszła do wody i obmyła twarz. Z pewnością za zewnętrznym spokojem ukrywała niewiarygodne napięcie. Skrywała je, by nie przestraszyć syna i nie przeszkodzić jego działaniom.

– Skąd wiedziałaś, jak trzeba było postąpić, mamo? – krzyknął w ślad za oddalającą się Anastazją Wołodia.

– Skąd? – powtórzył za Wołodią dziadek, który już wstał z ziemi i poweselał.

– Jak to skąd? Z fizyki twoja mama była w szkole prymuską. – I roześmiał się.

Anastazja obróciła się w naszą stronę, też się roześmiała i odpowiedziała:

– Ja nie wiedziałam o tym wcześniej, synku. Lecz cokolwiek by się zdarzyło, zawsze trzeba szukać i znajdować rozwiązanie. Nie krępować strachem swojej myśli.

Kiedy promień stał się już zupełnie niewidoczny, Wołodia rozwarł palce. Na jego dłoni spokojnie leżał nieduży podłużny kamyczek. Przez jakiś czas spoglądał nań, mamrocząc pod nosem: "To, co w tobie tkwi, nie jest silniejsze od człowieka". Potem znów zacisnął palce w pięść, wziął rozbieg i tak jak stał, w koszuli, dał nurka do jeziora. Nie pojawiał się przez trzy minuty, a kiedy się wynurzył, od razu popłynął na brzeg.

– To ja go nauczyłem tak oszczędzać powietrze – powiedział dziadek.

Kiedy Wołodia wyszedł na brzeg, poskakał, strząsając wodę i podszedł do nas, ja już nie wytrzymałem i zabrałem głos:

– Synku, czy ty wiesz, co to takiego radiacja? Nie wiesz. Gdybyś wiedział – nie poszedłbyś i nie nurkował po ten kamyk. Czyżbyś nie mógł znaleźć sobie tutaj innego zajęcia?

– Wiem o radiacji, tato. Dziadek opowiadał mi o tym, jakie katastrofy zdarzają się u was w elektrowniach atomowych, jaka istnieje broń i jaki problem pojawił się teraz z przechowywaniem odpadów jądrowych – odpowiedział Wołodia.

– No a jak ma się do tego ten kamień, który leżał na dnie jeziora? Jak?

– Otóż to, jak? – dziadek włączył się do rozmowy. – Ty teraz zajmij się nim, porozmawiaj jak ojciec, Władimirze, a ja chociaż trochę odpocznę. Ostatnimi czasy twój syn ma wobec mnie wiele wymagań.

Dziadek zaczął się oddalać i zostaliśmy z synem sam na sam.

Mój syn stał przede mną w mokrej koszuli. Był wyraźnie zmartwiony, że wszyscy się przez niego zdenerwowali. Dłużej nie chciałem być wobec niego surowy. Po prostu stałem i milczałem, nie wiedząc, o czym mówić. Wołodia przemówił pierwszy:

– Wiesz, tato, dziadek powiedział mi, że te składy odpadów jądrowych kryją w sobie bardzo duże

niebezpieczeństwo. Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa mogą przynieść niepowetowane straty wielu krajom i zamieszkującym je ludziom. A nawet całej naszej planecie.

– Mogą, oczywiście, lecz co ty możesz zrobić? – Skoro ludzie uznali problem za jakoby rozwiązany, a niebezpieczeństwo tak czy inaczej nadal istnieje, oznacza to, że problem rozwiązano w sposób niewłaściwy.

– No i cóż z tego, że w niewłaściwy?

– Dziadek powiedział, że muszę znaleźć właściwe rozwiązanie.

– No i jak? Znalazłeś? – Teraz tak, tato.

Mój dziewięcioletni syn, stał przede mną mokry, ze zranioną ręką, lecz pewny siebie. I mówił tonem spokojnym i stanowczym o rozwiązaniu problemu przechowywania odpadów jądrowych. To było nader dziwne. Przecież on nie jest naukowcem ani fizykiem jądrowym, a nawet nie uczy się w zwyczajnej szkole. Bardzo dziwne. Mokre dziecko stoi na brzegu tajgowego jeziora i rozprawia o bezpiecznym przechowywaniu odpadów jądrowych. Nie mając nadziei na choćby w pewnym stopniu skuteczne rozwiązanie tej kwestii przez niego, a tylko po to, aby podtrzymać rozmowę, zapytałem:

– No, a konkretnie, jak ustosunkowałeś się do tego problemu nie do rozwiązania?

– Spośród wielu wariantów, jak sądzę, najskuteczniejszym będzie ich rozproszenie.

– Nie zrozumiałem, czego rozproszenie?

– Odpadów, tato.

– Jak to?

– Zrozumiałem, tato, że w małych dawkach radiacja absolutnie nie jest szkodliwa. W niewielkich ilościach znajduje się ona wszędzie: w nas, w roślinach, w wodzie, w chmurach. Ale jeżeli ją skoncentrować w jednym miejscu, pojawia się realne niebezpieczeństwo. W magazynach odpadów jądrowych, o których opowiadał dziadek, w sposób sztuczny zgromadzono przedmioty radioaktywne w jednym miejscu.

– A– a, o tym wszyscy wiedzą. Odpady radioaktywne zwozi się do specjalnie zbudowanych magazynów, strzeżonych starannie przed terrorystami. Specjalnie wyszkolony personel pilnuje, aby nie naruszano technologii przechowywania.

– Racja, tato. Lecz niebezpieczeństwo tak czy inaczej istnieje. I katastrofa jest nieuchronna, jej przyczyna – czyjaś celowa myśl, narzucająca ludziom niewłaściwe rozwiązanie.

– Tym problemem, synku, zajmują się instytucje naukowe, w których pracują ludzie z wysokimi stopniami naukowymi. Ty nie jesteś naukowcem, nie znasz nauki, dlatego też nie możesz rozwiązywać tak poważnego problemu. Jego rozwiązaniem winna się zajmować współczesna nauka.

– Ale skutek, tato? Przecież właśnie na skutek rozwiązań współczesnej nauki ludzkość narażona jest na ogromne niebezpieczeństwo. Ja, oczywiście, nie uczę się w szkole, nie znam nauki, o której mówisz, lecz.

Zamilknął i opuścił głowę.

– Co oznacza twoje "lecz"? Dlaczego zamilkłeś, Wołodia?

– Ja nie chcę, tato, uczyć się w tej szkole i studiować, poznawać naukę, którą masz na myśli.

– Dlaczego nie chcesz?

– Dlatego, tato, że nauka ta prowadzi do katastrof.

– Ale przecież inna nauka nie istnieje.

– Istnieje. "Rzeczywistość musimy określać jedynie sami" – mawia mama Anastazja. Zrozumiałem, cóż to takiego i badam albo określam. Na razie jeszcze nie wiem, jak to powiedzieć dokładniej.

"Jaki on stanowczy w swoich przekonaniach" – pomyślałem i zapytałem:

– A jakie jest prawdopodobieństwo katastrofy według ciebie?

– Stuprocentowe.

– Jesteś tego pewien?

– Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa i z faktem braku przeciwdziałania tym zgubnym myślom, katastrofa jest nieuchronna. Budowanie wielkich magazynów jądrowych można porównać z budowaniem wielkich bomb.

– To znaczy, że twoja myśl włączyła się w przeciwdziałanie temu, co zgubne?

– Tak, posłałem moją myśl w przestrzeń. I ona zwycięży.

– A konkretnie, jak twoja myśl rozwiązała problem bezpiecznego przechowywania odpadów jądro-

wych?

– Wszystkie jądrowe odpadki, zgromadzone w dużych magazynach, trzeba rozproszyć – taka jest moja myśl.

– Rozproszyć – to znaczy rozdzielić na setki tysięcy lub nawet miliony małych kawałeczków?

– Tak, tato.

– Proste rozwiązanie. Lecz pozostaje pytanie zasadnicze – gdzie przechowywać te małe kawałeczki?

– W siedzibach rodowych, tato.

Tak bardzo zaskakujące i nieprawdopodobne było to, co usłyszałem, że przez jakiś czas nie wiedziałam, co powiedzieć. Po czym niemalże krzyknąłem:

– Brednie! Absolutne brednie wymyśliłeś, Wołodia. Potem zastanowiłem się nieco i już spokojniej powiedziałem:

– Oczywiście, jeżeli kawałeczki odpadów jądrowych porozdzielać i rozproszyć w różnych miejscach, globalnej katastrofy można uniknąć. Lecz miliony rodzin, które zdecydowały się żyć w siedzibach, będą narażone na niebezpieczeństwo. A przecież wszyscy ludzie chcą żyć w miejscu ekologicznie czystym.

– Tak, tato, wszyscy ludzie chcą żyć w czystych ekologicznie miejscach. Ale takich miejsc na Ziemi już prawie nie ma.

– A tu w tajdze, to też nie jest miejsce ekologicznie czyste?

– Tu miejsce jest stosunkowo czyste. Lecz nie idealne, nie dziewicze. Idealnych miejsc nigdzie już nie ma. Zdarza się, że chmury z różnych miejsc i tutaj przynoszą kwaśne deszcze. Źdźbła trawy, drzewa, krzewy jeszcze radzą sobie z nimi, aczkolwiek miejsca zanieczyszczone z każdym dniem ulegają coraz to większemu zanieczyszczeniu. I z każdym dniem miejsc takich jest coraz więcej. Ot i dlatego nie należy stronić od miejsc skażonych, a wręcz przeciwnie – należy się nimi zająć... "Trzeba samemu tworzyć czyste miejsca" – jak mówi mama.

Spośród całego mnóstwa wariantów moja myśl wybrała jeden – nie ma innej opcji. Porozdzielać i rozproszyć, oswoić, czerpiąc korzyści dla życia, przechowywać w siedzibie mały kawałeczek – jest bezpieczniej, tak mówi myśl.

– A gdzie w siedzibie? W komórce? W sejfie? W piwnicy tę kapsułkę z substancją promieniotwórczą przechowywać? Jeszcze ci myśl nie podpowiedziała?

– Kapsułę trzeba przechowywać zakopaną co najmniej na dziewięć metrów w ziemi.

Zastanowiłem się nad nieprawdopodobną na pierwszy rzut oka propozycją syna i coraz bardziej skłaniałem się ku myśli: ziarenko racjonalności w nim mimo wszystko jest. Ostatecznie, zaproponowany przez niego sposób przechowywania odpadów jądrowych faktycznie całkowicie wyklucza możliwość katastrof na szeroką skalę. Co się tyczy zanieczyszczenia w konkretnej siedzibie, to rzeczywiście można go uniknąć i jeszcze wyciągnąć z tego pożytek. Może naukowcy wymyślą coś w rodzaju małego reaktora. Albo jeszcze coś innego.

Nagle mnie również olśniło. Właśnie tego trzeba! To jest to! Oto i jeszcze czego jedna przyczyna, wyjaśniająca konieczność rozproszenia magazynów z odpadami promieniotwórczymi. Pieniądze! Ogromne pieniądze płacą różne państwa za przechowywanie tych odpadów. Za nie buduje się składowiska, utrzymuje obsługujący je personel i całe instytucje zabezpieczające. Część pieniędzy, jeśli są, znika nie wiadomo gdzie. A niech te pieniądze płacą każdej siedzibie rodowej, gdzie przechowywane są kapsuły z odpadami radioaktywnymi. Dobre! I bezpieczeństwo przed skażeniem będzie zagwarantowane, a do tego jeszcze i ludziom będą płacić pieniądze.

Obecnie nikt nie może gwarantować bezpieczeństwa nawet ludziom mieszkającym z dala od składowisk. Kiedy miała miejsce awaria w czarnobylskiej elektrowni atomowej na Ukrainie, skażeniu uległo część terytorium nie tylko Ukrainy, ale również Rosji, Białorusi i Polski. Chmury mogły roznieść skażenie na setki i nawet tysiące kilometrów.

Tak więc propozycja syna, nawet jeśli na razie na poziomie koncepcji i wymagająca uszczegółowienia, zasługuje na najbaczniejszą uwagę świata naukowego i rządów, a przede wszystkim – społeczeństwa.

Przechadzając się brzegiem jeziora, zajęty swoimi myślami, zupełnie zapomniałem o synu. A on w milczeniu stał wciąż w tym samym miejscu, obserwując mnie. Dobre wychowanie nie pozwalało mu

pierwszemu zwrócić się do mnie. Przerwanie myśli rozmyślającego człowieka uznawano tutaj za niedopuszczalne.

Zdecydowałem przeprowadzić rozmowę na inny temat.

– To znaczy, Wołodia, że ty przez cały czas zastanawiasz się nad różnymi kwestiami, a czy masz jakiekolwiek obowiązki? Jakąś pracę do wykonania?

– Pracę?.. Do wykonania?... Zawsze zajmuję się tym, czym chcę. Pracę? Co należy rozumieć pod słowem "praca", tato?

– No praca – to kiedy wykonujesz coś, za co ci płacą pieniądze. Lub robisz coś, co przynosi pożytek całej rodzinie. Mnie na przykład, jak byłem w twoim wieku, rodzice zlecali zajmowanie się królikami. I doglądałem ich. Zrywałem dla nich trawę, karmiłem, czyściłem klatki. A króliki przynosiły naszej rodzinie dochód.

Wołodia, wysłuchawszy mnie, nagle powiedział nieco podniecony:

– Tato, teraz opowiem ci o jednym obowiązku, który sam sobie narzuciłem. To bardzo radosny obowiązek. Sam stwierdzisz, czy to można nazwać pracą, czy też nie.

– Opowiedz.

– Więc chodźmy, pokażę ci pewne miejsce.

"GĘSI, GĘSI! – GĘ–GĘ–GĘ", CZYLI SUPERWIEDZA, KTÓRĄ TRACIMY

Zaczęliśmy z synem oddalać się od jeziora. Wołodia szedł przodem. Jakoś tak się zmienił: z roztropnego i skupionego stał się radośnie ożywiony. Czasem obracając się w biegu, podskakiwał i szybko opowiadał:

– Królikami się nie zajmowałem, tato. Robiłem coś innego. Ale jak to nazwać? Rodziłem... nie pasuje. Stwarzałem? Też nie bardzo pasuje. Tak, przypomniałem sobie. U was to nazywa się wysiadywaniem jajek. Znaczy, wysiadywałem jajka.

– Jak to – wysiadywałeś? Jajka wysiaduje kura-kwoka lub inny ptak.

– Tak, wiem. Ale ja musiałem sam je wysiadywać.

– Dlaczego? Opowiedz wszystko po kolei.

– Po kolei. Dobrze. Więc po kolei było tak. Poprosiłem dziadka, aby znalazł mi kilka jajek dzikich kaczek i dzikich gęsi. Dziadek wpierw pomarudził troszkę, lecz po trzech dniach przyniósł mi cztery duże gęsie jajka i pięć mniejszych – kaczych.

Następnie wykopałem nieduży dołek, włożyłem na dno jeleniego obornika z trawą, zakryłem to wszystko suchą trawą, a na wierzchu ułożyłem wszystkie przyniesione przez dziadka jajka.

– Po co był potrzebny obornik?

– On daje ciepło. Jajka potrzebowały ciepła, aby wykluły się z nich pisklęta. I od góry też potrzebowały ciepła. Z góry czasem sam się kładłem, zasłaniając dołek swoim brzuchem. Gdy było zimno i padał deszcz, kazałem niedźwiedziowi leżeć nad dołkiem.

– A jakże to? Niedźwiedź jajek nie przygniótł?

– A tak to, że niedźwiedź jest duży, a dołek z jajkami mały. On leżał nad dołkiem, a jajka na dnie. Ja albo wilczycy kazałem pilnować jajek, albo sam spałem obok, dopóki pisklęta nie zaczęły się wykluwać. To taka radość patrzeć, jak się wykluwają. Tylko nie wszystkie się wysiedziały. Z dziewięciu jajek wykluły się dwa gąsiątka i trzy kaczątka. Karmiłem je nasionkami trawy, tartymi orzeszkami i poiłem wodą. Zawsze, kiedy je karmiłem, zapraszałem różne zwierzęta zamieszkujące nasz teren.

– Po co?

– Aby widziały, jak się nimi zajmuję i zrozumiały, że nie wolno ich tknąć, a wręcz przeciwnie, trzeba je chronić. Spałem też przy jamce, w której wykluły się gąsiątka i kaczątka, a gdy zdarzały się zimne noce lub padał deszcz, kazałem niedźwiedziowi spać obok. Pisklęta chowały się w jego ciepłej sierści i było im dobrze.

Dalej, jeżeli po kolei... Wokoło jamki powtykałem kołeczki i uplotłem płot z gałęzi, od góry też zasłoniłem gniazdo gałązkami. Gąsiątka i kaczątka podrosły i nauczyły się wychodzić ze swojej jamki. A ja chodziłem wokoło ich gniazda i tak oto pogwizdywałem i wołałem "taś–taś–taś". One od razu wychodzi-

ły i biegały za mną. Za niedźwiedziem też próbowały biegać, ale je tego oduczyłem. Niedźwiedź może odejść daleko, a one mogłyby się zgubić.

Nic się im jednak nie stało. Podrosły, wyrosły im pióra, nauczyły się latać. Podrzucałem je w górę, aby się nauczyły. Potem zaczęły dokądś odlatywać, ale wracały do swego gniazda.

Kiedy nastała jesień i różne ptaki zaczęły gromadzić się w stada i przygotowywać do odlotu na południe, moje już dorosłe kaczki przyłączyły się do stada kaczek, a gęsi – do gęsiego stada i wszystkie odleciały do ciepłych krajów. Jednak przypuszczałem, byłem prawie pewien, że one wrócą wiosną. Wróciły. O, jakie to było wspaniałe, tato! Kiedy wróciły, usłyszałem ich radosny krzyk "kwa–kwa–kwa". Podbiegłem do gniazda i też zacząłem wołać "taś–taś–taś". Karmiłem je nasionami trawy i wcześniej przygotowanymi utłuczonymi orzechami. Jadły mi karmę z rąk. Ja się cieszyłem i miejscowe zwierzęta, które przybiegły na wołania, też się cieszyły. Spójrz, tato, dotarliśmy na miejsce. Patrz!

W zacisznym miejscu pomiędzy dwoma krzakami porzeczek ujrzałem gniazdo uwite przez syna. Było jednak puste.

– Mówisz, że wróciły, a ich nie ma.

– Teraz nie ma, odleciały dokądś pofruwać, zdobyć pożywienie. Nie ma ich, ale spójrz no, tato.

Wołodia rozsunął gałązki, poszerzając wejście i zobaczyłem trzy krążki-gniazda. W jednym leżało pięć niewielkich jajek, z pewnością, kaczych. W drugim jedno nieco większe – gęsie.

– Musiały wrócić, czyli niosą też jajka... Tylko mało.

– Tak! – z zachwytem zawołał Wołodia. – One wróciły i znoszą jajka. A mogą znieść i więcej, jeśli będzie się zabierać z gniazda część jajek i dokarmiać częściej nioski.

Patrzyłem na szczęśliwą twarz syna, ale nie do końca mogłem pojąć przyczynę jego radosnego pobudzenia. Zapytałem:

– Z czego ty tak bardzo się cieszysz, Wołodia? Wiem, że nikt z was, ani dziadek, ani mama, ani ty, nie je jajek, zatem twoich działań nie sposób nazwać zajęciem lub pracą, ponieważ nie ma z nich praktycznego pożytku.

– Tak? Ale przecież inni ludzie będąjeść ptasie jajka. Mama mówi, że można korzystać ze wszystkiego, co zwierzęta same oddają człowiekowi. Zwłaszcza tym ludziom, którzy przyzwyczaili się do odżywiania nie tylko pokarmem roślinnym.

– A co do tego mają ludzie i twoje działania?

– Postanowiłem, że należy tak uczynić, aby ludzie żyjący w siedzibach rodowych nie byli obarczeni obowiązkiem zajmowania się swoim gospodarstwem. Albo prawie nie byli obarczeni. Ażeby mieli czas na rozmyślania. To jest możliwe, gdy się zrozumie zamysł Boga, który stworzył nasz świat. Nauka poznawania Jego myśli bardzo mi odpowiadała. To najpotężniejsza nauka i trzeba ją poznawać. Na przykład pojąć, dlaczego On sprawił, że ptaki jesienią odlatują na południe, ale nie pozostają w ciepłych krajach, tylko znów wracają? Wiele się nad tym zastanawiałem i przyjąłem, że On uczynił tak, aby nie przysparzać fatygi człowiekowi zimą. Zimą ptaki nie mogą same znaleźć sobie pożywienia i odlatują. Lecz nie zostają na południu, a wracają, chcąc być pożyteczne dla człowieka. Tak obmyślił Bóg. Człowiek musi wiele zrozumieć z zamysłu naszego Stwórcy.

– To znaczy, Wołodia, zakładasz, że w każdej siedzibie rodowej albo w wielu spośród nich mogą żyć kaczki, gęsi, znosić jajka, same szukać sobie pożywienia, jesienią odlatywać na południe i wracać wiosną?

– Tak, można tak zrobić. Mnie się przecież udało.

– Tobie się udało, zgoda. Pozostaje jednak jeszcze pewna okoliczność... Ja, zapewne cię zmartwię, lecz tak czy inaczej muszę ci powiedzieć prawdę. Abyś się nie ośmieszył ze swoją propozycją.

– Powiedz mi prawdę, tato.

– Istnieje taka nauka – ekonomia. Naukowcy-ekonomiści obliczają, jak najracjonalniej działać w zakresie produkcji różnych towarów, w tym konkretnym przypadku – jajek. W naszym świecie stworzono wiele ptasich ferm. Tam zgromadzono bardzo dużo kur. Znoszą one jajka, które potem trafiają do sklepów. Człowiek przychodzi do sklepu i spokojnie kupuje potrzebną ilość jaj. Wszystko uczyniono tak, aby wyprodukowanie jednego jajka wymagało jak najniższego nakładu pracy i czasu.

– Co to takiego nakłady pracy, tato?

– Jest to ilość wydatkowanych środków i czasu na wyprodukowanie jednego jajka. Trzeba uważnie obliczać, jak działać najefektywniej, to znaczy lepiej.

– Dobrze, postaram się policzyć, tato.

– Sam zrozumiesz, kiedy to wszystko obliczysz. Lecz dla obrachunku niezbędne są dane o nakładach. Postaram się je uzyskać od jakiegoś ekonomisty.

– Ale ja mogę wszystko obliczyć teraz, tato.

Wołodia z lekka się zmarszczył i po chwili powiedział:

– Minus dwa do nieskończoności.

– Co to jest za wzór? O czym on mówi?

– Efektywność Boskiej ekonomii wyraża się nieskończonym ciągiem cyfr. Ekonomia naukowa współczesnego człowieka nawet z punktu zerowego schodzi o dwie jednostki w dół.

– Jakaś dziwna ta twoja metoda obliczeń, niezrozumiała. Możesz wytłumaczyć, jak liczyłeś?

– Wyobraziłem sobie punkt odniesienia, który stanowi w danym wypadku zero. Wszystkie nakłady fermy drobiarskiej związane z jej budową, utrzymaniem i dostawą jajek do sklepów stanowią liczbę minus jeden.

– Dlaczego minus jeden? Te nakłady powinny być wyrażane w rublach i kopiejkach.

– Jednostki monetarne zawsze są zróżnicowane i umowne, dlatego też w tej metodzie nie są one istotne, należy je wszystkie zsumować pod umowną nazwą "minus jeden". Skoro nakłady istnieją, oznacza to, że od znaku zerowego mogą wyrażać się minus jeden.

– A druga jednostka ujemna skąd się wzięła?

– To jakość. Ona nie może być dobra. Nienaturalne warunki, brak różnorodnej paszy nieodwołalnie obniżą jakość jajek i stąd bierze się jeszcze jedna cyfra – minus jeden. W sumie mamy minus dwa.

– Dobrze, niech i tak będzie. Lecz przecież i w twoim wypadku wychodzą ogromne nakłady czasu. Powiedz, Wołodia ile czasu straciłeś na – jak sam się wyraziłeś – wysiadywanie jajek, potem karmienie swoich kaczek i gęsi, pilnowanie ich?

– Dziewięćdziesiąt dni i nocy.

– To znaczy, dziewięćdziesiąt dób. I to wszystko po to, by dopiero po roku otrzymać w sumie kilkadziesiąt jajek. Dla ludzi żyjących w siedzibach rodowych o wiele bardziej racjonalne będzie nabycie na rynku kurcząt lub prowadzenie ich wylęgu zimą w inkubatorach, a po czterech, pięciu miesiącach one zaczną znosić jajka. Na drugi rok, przed nastaniem zimy z reguły się je wybija, ponieważ ich nieśność w trzecim roku się obniża. Tak więc wybija się je, a nabywa nowe. Taka jest technologia.

– To technologia wiecznie powtarzających się trosk, tato. Trzeba kurę codziennie karmić, przygotowywać paszę na zimę, a po roku jeszcze nabywać nowe.

– No tak, karmić i nabywać nowe, lecz przy zastosowaniu nowoczesnej technologii nie jest to tak pracochłonne, jak w twoim wariancie.

– Ale przecież dziewięćdziesiąt dni – to okres uruchamiania wiecznego programu. Ptaki po powrocie już same będą wysiadywać swoje potomstwo, uczyć je kontaktu z ludźmi i powracania do rodzinnego miejsca. One tak będą robić przez tysiące lat. Człowiek, który uruchomił ten program, podaruje go przyszłym pokoleniom. .. Przywróci maleńką cząsteczkę Boskiej ekonomii. Nakłady dziewięćdziesięciu dni w przeliczeniu na jedno wyprodukowane jajko za sto lat będą obliczane w minutach i będą się zmniejszać z każdym rokiem.

– Jednak tak czy inaczej nakłady istnieją, a ty ich nie uwzględniłeś w swoich obliczeniach.

– Nakłady mają ogromną przeciwwagę, nie mniej ważną niż produkt wytworzony przez ptaki.

– Jaką przeciwwagę?

– Ptaki, powracające wiosną z dalekich krajów do lasów, rodzinnych pól, radują ludzi niezmiernie. Dzięki tej zbawiennej, radosnej energii ludzie uwalniają się też od wielu chorób. Lecz energia ta będzie dziewięćdziesiąt razy silniejsza wówczas, kiedy nie będzie to zwyczajny ich powrót z południa, lecz kiedy przylecą one bezpośrednio do ciebie i radosnym wołaniem bądź pełnym zachwytu śpiewem zaczną witać człowieka mieszkającego w rodowej siedzibie. Ich śpiew przyniesie radość i siłę nie tylko człowiekowi, ale także całej tej przestrzeni.

Wołodia mówił w natchnieniu i z przekonaniem. Dalszy spór z nim wyglądałby niemądrze. Udałem, że niby rozmyślam lub coś tam sobie po cichu obliczam. Zrobiło mi się trochę przykro, że nie mam co synowi podpowiedzieć ani czego go nauczyć.

A cóż to za wychowanie tutaj albo nauczanie – jakieś specyficzne. Stoi przede mną mój syn, ale jakby to było dziecko z innej planety albo innej cywilizacji.

Ma odmienny pogląd na życie inną filozofię i tempo myślenia. Obliczenia wykonuje momentalnie. I oczywiście, stało się jasne, że choćby nawet rok liczyć na kompbterze, jego obliczenia będą i tak dokładniejsze. Wszystko w nim jakoś tak jakby odwrócone. A dokładniej rzecz ujmując, można by powiedzieć: więc do jakiego stopnia spaczyliśmy swoje życie, jego świat pojęć i sens? Wszystkie katastrofy są skutkiem tych właśnie wypaczeń.

Wszystko to niewątpliwie racja, a mimo to... Tak bardzo chciałbym być do czegoś potrzebny synowi. Ale w czym mogę być mu pomocny? Nie mając już na nic nadziei, zapytałem go tak od niechcenia, spokojme:

– Zastanowię się tak całościowo nad twoją ekonomią. Być może masz rację... A powiedz mi, synku... Tutaj ty różne zadanka rozwiązujesz, bawisz się. A czy masz może jakikolwiek problem?

Wołodia głęboko i jakoś bardzo żałośnie westchnął, chwilę pomilczał i odpowiedział:

– Tak, tato, mam wielki problem. I tylko ty możesz pomóc mi go rozwiązać.

Wołodia był smutny, a ja przeciwnie, ucieszyłem się, że potrzebuje mojej pomocy:

– A na czym polega ten twój wielki problem?

Wielki problem

– Pamiętasz, tato, kiedy przyjechałeś tu poprzednim razem, mówiłem ci o tym, że przygotowuję się do odejścia do waszego świata, kiedy podrosnę.

– Tak, pamiętam. Mówiłeś, że przyjdziesz do naszego świata, znajdziesz swoją dziewczynkę--wszechświat, aby uczynić ją szczęśliwą. Będziesz z nią budował rodową siedzibę, wychowywał dzieci. Pamiętam, jak mówiłeś. I cóż, nie zrezygnowałeś ze swej idei?

– Nie zrezygnowałem. I często myślę o przyszłości, o swojej dziewczynce i o siedzibie. Wyobrażam sobie w detalach, jak będziemy razem żyć. A gdy przyjedziecie z mamą do nas z wizytą, zobaczycie, jak nasze wspólne – moje i tej dziewczynki – twórcze marzenia stają się rzeczywistością.

– No a w czym tkwi problem? Obawiasz się, że nie odszukasz swojej dziewczynki?

– Nie w tym. Dziewczynki będę szukał i znajdę. Chodź, pokażę ci jeszcze jedną niewielką polankę. I sam wszystko zrozumiesz, poczujesz, w czym problem.

Przyszliśmy z synem na niedużą polanę, tuż obok polany Anastazji. Kiedy zatrzymaliśmy się pośrodku, Wołodia zaproponował, abym usiadł, a sam, złożywszy ręce w tubę, głośno i przeciągle zawołał: "A–a–a". Najpierw nawoływał w jednym kierunku, potem w drugim i trzecim. Dosłownie po dwóch–trzech minutach na koronach drzew otaczających polanę zaczęło się poruszenie: z gałęzi na gałąź zaczęły żwawo skakać wiewiórki. Całe ich mnóstwo zebrało się na jednym cedrze. Niektóre po prostu siadały na jednej gałęzi i spoglądały w naszą stronę inne, widać najbardziej ruchliwe, skakały nadal z gałęzi na gałąź.

Po kolejnych kilku minutach z krzaków wybiegły trzy wilki, usiadły na skraju polany i też zaczęły spoglądać w naszym kierunku.

W odległości trzech metrów od wilków wkrótce położył się soból. Pojawiły się dwie kozy, ale nie położyły się, tylko stały na skraju polany, wpatrując się w nas. Wkrótce na polanę przyszedł jeleń. Na samym końcu z hałasem przez krzaki przedarł się ogromny niedźwiedź. On też od razu siadł na skraju polany, ciężko dyszał, a z języka spływała mu ślina – pewnie był dość daleko i musiał tu długo biec. Wołodia wciąż stał za mną z rękami na moich ramionach. Potem odszedł ode mnie kilka kroków, zerwał kilka jakichś źdźbeł trawy i wróciwszy, powiedział:

– Otwórz usta, tato, dam ci kilka źdźbeł trawy, aby one widziały, jak cię karmię z ręki, a widok obcego im człowieka nie budził w nich niepokoju.

Wziąłem do ust podane źdźbła i zacząłem żuć.

Wołodia przysiadł obok, położył głowę na mojej piersi i powiedział:

– Pogłaszcz mnie po włosach, tato, żeby one zupełnie się uspokoiły. Z przyjemnością gładziłem syna po jasnych włosach. Potem usiadł przy mnie i zaczął opowiadać.

– Zrozumiałem, tato, rzecz następującą: Bóg stworzył cały świat jako kolebkę dla swojego syna – człowieka. Rośliny, powietrze, woda i obłoki – wszystko powstało dla niego. I zwierzęta też z wielką radością gotowe są służyć człowiekowi. Ale myśmy o tym zapomnieli, a teraz trzeba zrozumieć, jaką pracę zwierzęta mogą wykonywać, na czym polega ich powołanie i przeznaczenie. Współcześnie ludzie jeszcze powszechnie wiedzą, że pies powinien strzec mieszkania albo szukać zagubionej rzeczy lub pil-

nować porządku w gospodarstwie. Kot – łowić myszy, jeżeli te zaczną wykradać zapasy. Koń – wozić. Lecz wszystkie pozostałe zwierzęta też mają jakieś przeznaczenie. Trzeba je zrozumieć. Zacząłem szukać, określać przeznaczenie wszystkich tych tutaj zwierząt. Siedzą teraz i czekają na moją komendę. Już trzeci rok minął, jak zacząłem z nimi pracować, określając ich przeznaczenie.

Ot, na ten przykład, niedźwiedź. Ma duże i silne łapy, może wykopać dół pod piwniczkę, schować zapasy do tego dołu, potem je odkopać. Może też wydobyć miód z dziupli.

– Tak, wiem, Wołodia, Anastazja mi opowiadała, że dawniej ludzie wykorzystywali niedźwiedzie w gospodarstwie jako siłę roboczą.

– Mnie też mama o tym mówiła. A popatrz, czego nauczyłem niedźwiedzia.

Wołodia wstał, wyciągnął prawą rękę w stronę niedźwiedzia. Ten cały się wyprężył, nawet jak gdyby przestał oddychać, a kiedy chłopiec klepnął ręką w swoją nogę, ogromny niedźwiedź zrobił kilka energicznych susów i położył się u nóg syna. Wołodia kucnął przy ogromnej głowie zwierzęcia i poklepał ją, podrapał za uchem. Niedźwiedź mruczał z zadowolenia. Wołodia wstał i również niedźwiedź od razu zerwał się z miejsca, uważnie obserwując syna.

Wołodia poszedł na skraj polany, znalazł suchą gałąź i w odległości dziesięciu metrów od miejsca, gdzie siedział wetknął ją w ziemię. Potem znów wrócił na skraj polany, podszedł do małego, około metrowej wysokości cedru, dotknął go kilkakroć, klasnął dwa razy w dłonie. Niedźwiedź z miejsca podbiegł do cedru i obwąchał go. Potem zaczęło się dziać coś niebywałego.

Wspólnie z synem, który usiadł przy mnie na trawie, obserwowaliśmy taki obraz.

Niedźwiedź przez jakiś czas obwąchiwał mały cedr, to odchodził od niego, dosłownie jakby do czegoś się przymierzając, to podbiegał do miejsca, gdzie sterczała wetknięta przez Wołodię sucha gałąź. I nagle tam, gdzie wystawała z ziemi gałąź, zaczął drapać przednimi łapami ziemię.

Pracując potężnymi, szponiastymi łapami, w ciągu kilku minut wykopał dół o średnicy osiemdziesięciu centymetrów i głębokości z pół metra. Obejrzał swoją pracę, nawet wsunął głowę do dołu, zapewne go obwąchał.

Następnie niedźwiedź podbiegł do cedru, który wskazał Wołodia i zaczął wokół niego kopać ziemię. Kiedy uzyskał coś w rodzaju wykopu, siadł przy cedrze na tylnych łapach, przednie wsunął do wykopu i wyciągnął drzewko razem z wielką bryłą ziemi. Potem wstał i trzymając tę bryłę w przednich łapach, poszedł na tylnych łapach do dołu, który wykopał wcześniej. Podszedł, ostrożnie przysiadł i umieścił bryłę w dole. Okazało się, że dół jest większy niż trzeba o jakieś piętnaście centymetrów. Niedźwiedź odbiegł, popatrzył na swoją pracę. I znów wyjął cedr, postawił go, podsypał ziemi i ponownie umieścił tam drzewko. Teraz wszystko było w porządku.

Zwierz odszedł, znów przyglądając się temu, co zrobił. Widocznie usatysfakcjonowała go własna praca, gdyż podszedłszy do posadzonego cedru, zaczął zasypywać szczelinę powstałą pomiędzy bryłą ziemi, z której wyrastał cedr, a brzegami wykopanego dołu. Niedźwiedź podgarniał ziemię, wpychał ją w rozpadlinę i przyklepywał łapą, ubijając glebę wokół drzewka, które dopiero co sam posadził.

Obserwowanie tego, co się działo, było dość interesujące, lecz również wcześniej zdarzało mi się widzieć, jak wiewiórki przynosiły Anastazji suszone grzyby i orzechy. Albo jak wilki bawiły się z Anastazją, jak broniły jej przed dzikimi psami.

Podobnie wiele osób mogło obserwować przeróżne sztuczki z udziałem różnych zwierząt podczas cyrkowych występów. Mieszkający ze mną pies, który wabi się Cedra również z przyjemnością wypełnia mnóstwo komend.

To, co się działo na tajgowej polance, też przypominało cyrkowe występy, tyle że prezentowane nie na arenie, otoczonej wysokim ogrodzeniem, lecz w warunkach naturalnych. Uczestnikami zaś nie były zwierzęta cyrkowe, mieszkające w ciasnych klatkach, lecz wolni, jak my je nazywamy, dzicy mieszkańcy tajgi. Dla nas zwierzęta te są dzikie, ale dla syna to po prostu przyjaciele i pomocnicy.

Jak nasze zwierzęta domowe. Jednakże mimo wszystko istniała pewna tajemnicza i nieprawdopodobna różnica.

Oddanie zwierząt domowych można wytłumaczyć tym, że człowiek je karmi, poi, zapewnia schronienie. Odwiedzający cyrkowe przedstawienia z udziałem zwierząt też mogą obserwować, jak po każdej udanej sztuczce wykonanej przez lwa lub tygrysa treser nagradza go – z wiszącego u pasa woreczka lub z kieszeni wyciąga smakołyki i daje je zwierzętom.

Zwierzęta cyrkowe, które całe lata swojego życia spędziły w klatkach, nie są w stanie same zdobyć

pożywienia, są całkowicie zależne od człowieka. Jednak tutaj, w tajdze zwierzęta są zupełnie wolne, same znajdują sobie pożywienie i schronienie – niemniej przychodzą. Nie przychodzą zwyczajnie, tylko żwawo przybiegają na wołanie człowieka i wypełniają jego komendy. Wypełniają je z wielka ochotą, nawet służalczością. Dlaczego? I co dostają w zamian? Wołodia nie dał niedźwiedziowi żadnej karmy. Jednakże zwierzę radowało się o wiele bardziej niż zwierzęta w cyrku, które otrzymały upragniony kęs.

Niedźwiedź, który według wskazówek Wołodii posadził drzewko, przestępując z łapy na łapę, uważnie się przyglądał chłopcu, tak jakby chciał powtórzyć dopiero co wykonane zadanie lub wypełnić jeszcze jakieś nowe. To dziwne, ogromny tajgowy niedźwiedź bardzo chce uczynić coś jeszcze dla człowieka, a do tego jeszcze dla dziecka.

Wołodia nie dał niedźwiedziowi nowego zadania. Przywołał gestem zwierzę do siebie, schwycił rękami za sierść na łbie, z lekka potarmosił, potem pogłaskał niedźwiedzi łeb i powiedział: "Ty jesteś zuch, nie jak te kózki". Niedźwiedź mruczał z zadowolenia. Ton jego pomruku odzwierciedlał szczyt błogości, w jakiej trwał teraz ten groźny zwierz.

Anastazja mówiła: "Z człowieka może wypływać niewidzialna, zbawienna energia. Jest ona niezbędna jak powietrze, słońce i woda wszystkiemu, co żywe na Ziemi. I nawet światło słoneczne jest tylko odbiciem tej potężnej, emanującej z ludzi energii".

Nasza nauka odkryła mnóstwo energii i nawet potrafi produkować energię elektryczną, rozszczepiać atomy i robić bomby. Ale w jaki sposób i jak bardzo poszła nasza nauka do przodu w kwestii bardziej znaczącej i najważniejszej – w badaniu energii, którą emanuje człowiek? Czy istnieje w ogóle dziedzina nauki, badająca tę energię, jej tajemnicze możliwości? Możliwości człowieka w ujęciu ogólnym oraz jego przeznaczenie w naszym świecie i we Wszechświecie?

Możliwe, że ktoś na wszelkie możliwe sposoby stara się przeszkodzić człowiekowi w poznaniu samego siebie. Właśnie przeszkodzić.

W szakże nie może, w żaden sposób nie może być przeznaczeniem człowieka przesiadywanie latami w kasynie lub barze przy kieliszku wódki; ani siedzenie latami "na kasie" w sklepie lub jako menedżer w biurze. I nawet bycie top-modelką lub prezydentem albo piosenkarzem estradowym nie wciąga jako główne przeznaczenie człowieka.

A przecież właśnie nowoczesne zawody, zarabianie pieniędzy, na wszelkie sposoby podkreślają "coś" jako wartość najważniejszą w życiu człowieka. Mówi się o tym w większości filmów i programów telewizyjnych... Brak tylko refleksji o istocie bytu. Człowieka zmienia się w przygłupa.

Czyż nie z tego powodu toczy się wojna to tu, to tam? Ziemia ulega coraz to większemu zanieczyszczeniu. A ludzie w zagubieniu, nie widząc sensu życia, piją wódkę i zażywają narkotyki.

Kto powinien zatrzymać te bachanalia, trwające na Ziemi? Nauka? Ale ona milczy. Religia? Jaka? Gdzie owoce? Być może każdy musi sam wszystko przemyśleć. Sam. Przemyśleć! Aby przemyśleć, trzeba myśleć. A gdzie? Kiedy? Przecież nasze życie – to ciągła krzątanina.

Momentalnie kładzie się kres nawet tylko próbom rozważań na temat sensu ludzkiego bytu. Sprzedawanie czasopism z widokiem półobnażonych lubieżnie ciał – proszę bardzo. Rozkoszowanie się dewiacjami seksualnymi – jak najbardziej. Pokazywanie i opowiadanie o bestialstwach maniaków-zboczeńców – też proszę bardzo. Pisanie oraz roztrząsanie na antenie kwestii dotyczących prostytutek – proszę bardzo!

Ale coraz rzadziej i rzadziej porusza się temat sensu życia człowieka i jego przeznaczenia. Staje się on coraz bardziej niedozwolony.

Przerwałem swoje rozmyślania i spojrzałem na syna. Siedział obok na trawie, uważnie mnie obserwując. Pomyślałem, że na pewno chce coś jeszcze pokazać. Spytałem więc:

– Wołodia, a co ty niedźwiedziowi mówiłeś o kozach?

– W żaden sposób nie mogę określić, tato, jakie jest ich przeznaczenie.

– Po co je zatem określać? Dla wszystkich przeznaczenie kóz jest oczywiste – dawać człowiekowi mleko.

– No tak, mleko. Jednak może uda mi się je nauczyć czegoś jeszcze innego?

– A czegóż to jeszcze? W jakim celu?

– Obserwowałem je. Kozy mogą obdzierać korę z drzew i pni, a z krzewów obgryzać gałęzie. Do siedziby nie można ich wpuszczać, bo mogą narobić szkód wśród roślin. Ale żeby uniknąć takiej sytuacji, próbuję je nauczyć strzyc zielone ogrodzenie w rodowych siedzibach.

– Strzyc?

– Tak, tato, strzyc. Przecież ludzie, aby było pięknie przycinają krzewy, to w kształcie równej ścianki, to jakichś figur geometrycznych. Dziadek mi opowiadał – u was to się nazywa architekturą krajobrazu. Ale kózki nijak nie mogą zrozumieć, czego od nich chcę.

– A w jaki sposób je uczysz?

– Zaraz pokażę.

Wołodia wziął spleciony z włókien pokrzywy mniej więcej trzymetrowy sznurek, jeden koniec przywiązał do niedużego drzewa i przeciągnął sznurek przez krzaki. Potem gestem przywołał dwie kózki, pogłaskał każdą z nich, dotknął kilkakrotnie ręką krzaków i nawet sam odgryzł maleńką gałązkę. Coś kózkom powiedział, a one zabrały się ochoczo do ogryzania gałązek krzewów. Gdy tylko kózki zbliżały się do wyznaczonej sznurkiem granicy, Wołodia kilka razy szarpał nim, wydając przy tym odgłos niezadowolenia. Kozy zatrzymywały się na jakiś czas, wyciągnąwszy łebki w stronę syna, pytająco nań spoglądały, ale zaraz ponownie zabierały się do ogryzania gałązek krzaków, nie zwracając uwagi na sznurek.

– No widzisz, tato, nie udaje się. One nie rozumieją, że krzaczki trzeba przycinać równiuteńko, pod sznurek.

– Tak, widzę. Czyżby na tym polegał twój problem?

– To nie jest najważniejszy problem, tato. Główny problem to co innego.

– A cóż to?

– Zwróciłeś uwagę, tato, z jaką radością różne zwierzęta przybiegły na moje wołanie?

– Tak.

– Niejeden rok już z nimi pracuję, przyzwyczaiły się do kontaktu ze mną, tylko ze mną. One czekają na ten kontakt, pragną pieszczoty. A kiedy odejdę do twojego świata, będą tęsknić, nie przyjdzie bowiem do nich człowiek i nigdy więcej nie przywoła ich do siebie ani o nic nie poprosi. Odczułem, że kontakt z człowiekiem i służenie człowiekowi stało się głównym sensem ich życia.

– A czy nie mogłyby się spotykać z Anastazją, kontaktować z nią?

– Mama ma swój krąg, swoje zwierzęta, z którymi się przyjaźni. A ponadto ona jest zbyt zajęta i nie wystarcza jej czasu dla wszystkich.

A te – Wołodia pokazał na siedzące jak przedtem na skraju polany zwierzęta – sam dobierałem i tylko ja pracowałem z nimi przez kilka lat. Już właśnie minęły trzy miesiące, jak poprosiłem dziadka, aby w trakcie zajęć ze zwierzętami cały czas mi towarzyszył. Dziadek, choć zrzędził, to mimo wszystko zawsze był przy mnie, ale niedawno powiedział, że nie będzie mógł mnie zastąpić.

– Dlaczego?

– "Mnie tresura nie interesuje tak jak ciebie" – powiedział dziadek. I jeszcze zaczął marudzić, że mogłem się tak bardzo nie zajmować każdym z osobna, że nie należało też ich tak bardzo rozpieszczać. Powiedział też, że dla tych zwierząt jestem nie tylko ich przewodnikiem stada, lecz również dzieckiem, ponieważ starsze widziały mnie, gdy byłem mały i niańczyły. Ogólnie rzecz ujmując – popełniłem jakiś błąd i teraz trzeba to naprawić. Tylko sam już nie jestem w stanie tego naprawić.

Spoglądałem na zwierzęta siedzące jak przedtem na polanie i jak mi się wydawało, oczekujące od Wołodii jakichś wskazówek lub zajęć z nimi. Wyobraziłem sobie, jak one będą tęsknić. Jak tęskni za mną Cedra, kiedy wyjeżdżam ze swojego podmiejskiego domu na kilka dni lub tygodni. I budkę ma ciepłą i nie wiążę jej, więc może biegać na pole, do lasu lub na wieś. A sąsiad ją codziennie karmi – gotuje kaszę, daje kości. Jednak sąsiad mówi: "Tęskno jej bez pana, Władimirze Nikołajewiczu. Często siedzi przy furtce i patrzy na drogę, którą pan wraca, a czasem skomli". Kiedy przyjeżdżam, Cedra pędzi do mnie na złamanie karku, ociera się o nogi, a czasem z nadmiaru uczuć podskakuje i próbuje liznąć twarz, przy czym brudzi mi łapami ubranie. A ja w żaden sposób nie mogę jej skutecznie nauczyć bardziej powściągliwego okazywania emocji.

Jednakże te siedzące na polanie zwierzęta... Milcząco i na pozór powściągliwie patrzyły na mnie i syna bez przerwy, kiedy rozmawialiśmy. Czego one chcą? Nikt przecież ich nie zmusza, by tak siedziały i czekały na jakąś komendę wydaną przez człowieka... Mój Boże... Wyraźnie rozbłysła i ścisnęła duszę myśl. A przecież nie tylko te siedzące na tajgowej polanie... Ale również wszystkie zwierzęta na Ziemi mają swoje przeznaczenie i czekają na kontakt z najwyższą na planecie istotą – człowiekiem. One są stworzone po to, aby pomóc człowiekowi w spełnieniu jego największej misji. Stworzył je Bóg, podobnie jak i wszelkie żywe istnienie na planecie, aby pomóc człowiekowi w realizacji jego wielkiego posłannic-

twa... A człowiek...

Patrzyłem na siedzące na tajgowej polanie zwierzęta i zaczynałem rozumieć: syn rzeczywiście miał poważny problem, on nie potrafi ot tak, po prostu zostawić tych zwierząt i nie jest w stanie rozstać się ze swoim marzeniem o dziewczynce, z którą będzie budował rodową siedzibę.

– Tak, Wołodia, faktycznie, to jest problem. I wygląda na to, że nie do rozwiązania. Nie sposób znaleźć wyjście – powiedziałem synowi.

– Jest jedno wyjście, tato, lecz to nie zależy ode mnie.

– A od kogo?

– Tylko ty możesz rozwiązać ten problem, tato.

– Ja? Ale w jaki sposób? Tutaj nic nie jestem w stanie poradzić, synku.

Wyjście jest

– Myślę, że jesteś w stanie mi pomóc, tato, jeżeli tylko zechcesz cicho powiedział Wołodia.

– Tak myślisz? Ale ja nie wiem, co powinienem zrobić, rozumiesz? Tak myślisz, a ja nie wiem.

Siedziałem na trawie. Mój syn stał przede mną i patrzył mi prosto w oczy jakimś błagalnym spojrzeniem, usta jego coś bezdźwięcznie szeptały. Sądząc po ruchu warg, bardzo cicho wymawiał jakieś jedno słowo. Potem wyraźnie, nie odrywając spojrzenia, powiedział:

– Siostrzyczkę. Bardzo cię proszę, tato – urodźcie mi z mamą siostrzyczkę. Ja sam ją wyniańczę i wychowam. One mi pomogą. My nie będziemy odciągać ciebie i mamy od waszych spraw. Nauczę ją, kiedy troszeczkę podrośnie. Opowiem jej. Ona zostanie z moimi zwierzętami i przestrzenią. Urodźcie mi z mamą siostrzyczkę, tato. Jeżeli ty, oczywiście, nie jesteś chory, albo zmęczony. Oczywiście, jeżeli możesz. Dziadek mi powiedział, że z powodu trybu życia, nieludzkiego powietrza, paskudnej wody mężczyźni w waszym świecie często chorują, szybko się starzeją. Ty, tato, masz troszkę więcej niż pięćdziesiąt lat. Ale jeżeli jesteś zmęczony, tato... Jeżeli wiele sił roztrwoniłeś, to trzy dni... wystarczą trzy dni. Ja wszystko przygotowałem i odzyskasz wiele sił.

Syn był podekscytowany, a ja mu przerwałem:

– Wołodia, poczekaj, uspokój się. Oczywiście, jestem nieco zmęczony. Lecz myślę, że znajdą się jeszcze siły. Nie w tym rzecz. Ja w zasadzie nie mam nic przeciwko temu, żebyś miał siostrzyczkę, lecz aby rodzić dzieci, muszą tego pragnąć oboje rodzice.

– Jestem pewien, tato. Wiem na pewno, że mama ci nie odmówi urodzenia. Jeżeli ty się zgadzasz, to już teraz, żeby czasu niepotrzebnie nie tracić, zaczniemy się przygotowywać do urodzenia siostrzyczki. Uczyłem się. Dziadek mi dużo pomagał. Obliczyłem, wszystko przygotowałem. Trzy dni i trzy noce ze mną pobądź i nigdzie się nie oddalaj i nie rozpraszaj się, tato. Przybędzie ci energii i sił.

– Dlaczego wnioskujesz, że mam ich za mało, Wołodia?

– Myślę, że masz wystarczająco, ale będziesz miał więcej.

– Dobrze, spędzę całe trzy dni tylko z tobą, ale muszę pójść uprzedzić mamę.

– Ja jej wytłumaczę, tato. Powiem, że mamy wspólną sprawę. Ona nie będzie dociekać i nie zacznie się sprzeciwiać.

– No dobrze, zacznijmy więc.

Nawet mnie zainteresowało, cóż takiego przygotował syn, co może człowiekowi w ciągu raptem trzech dni przywrócić wiele sił i energii. Od razu mówię, że przygotowane przez niego kuracje mogą się wydać nieco dziwne, ale doznań, jakie zapewniają trzeciego dnia, nie jest łatwo wyrazić słowami czy piórem. Stwierdzenie, że człowiek odmładza się o dziesięć czy dwadzieścia lat, to za mało. Zewnętrznie młodnieje może o jakieś pięć lat. Ale wewnątrz... Jakoś tak wszystko zupełnie inaczej zaczęło funkcjonować wewnątrz. I siły nowe i świat wokoło nieco inny.

POWRÓT DO MŁODOŚCI

Pierwsza kuracja oczyszczająca

Gdy tylko zgodziłem się postępować zgodnie z wymyślonymi przez syna procedurami, on z miejsca dał swoim zwierzętom znak "usunąć się". Schwycił mnie za rękę i pobiegliśmy nad jezioro. Po dro-

dze kilka razy się zatrzymywaliśmy. Wołodia zrywał w różnych miejscach źdźbła traw, międlił je, toczył z nich kulkę. Kiedy kulka była gotowa, podał mi ją do zjedzenia. Zjadłem. I raptem po kilku minutach zdarzyła się rzecz następująca: bardzo mocno pociekło mi z nosa i zacząłem wymiotować. Wymiotowałem tak mocno, że wydawało mi się iż wypłynął wszystek sok żołądkowy. Ja wymiotuję, nie jestem w stanie nic powiedzieć, a Wołodia objaśnia:

– To dobrze, tato, nie bój się. To dobrze. Niech wyjdzie z ciebie wszystko, co niepotrzebne. Pozostanie tylko to, co czyste. Tak się robi w wypadku zatrucia.

Nie byłem w stanie nic mu odpowiedzieć, lecz w myślach stwierdziłem: "Rzeczywiście, przy zatruciach zażywa się wywołujące mdłości i wymioty tabletki oraz środek przeczyszczający – na przykład rycynę. Tylko po co mi ta kuracja oczyszczająca? Przecież się nie zatrułem?".

Dosłownie jakby w odpowiedzi na moje pytanie Wołodia wyjaśnił:

– Ty oczywiście się nie zatrułeś, tato, lecz to, czym się na co dzień odżywiasz, jest niemal trujące. Niech wszystko to, co niepotrzebne, zostanie z ciebie wydalone.

Po wymiotach, wycieku flegmy i obfitym łzawieniu z oczu zaczęło się rozwolnienie i z pięć razy na długo uciekałem w krzaki. Wszystko to trwało dwie, trzy godziny. Potem nastąpiła ulga.

– Teraz ci lżej, tato? Lżej niż przed oczyszczaniem.

Tak? – Tak – potwierdziłem.

Drugi etap oczyszczania

Wołodia znów schwycił mnie za rękę i pobiegliśmy. Na brzegu jeziora polecił mi się umyć i trochę popływać. Kiedy wyszedłem z wody, zobaczyłem, jak wyjmuje z ziemi gliniany półtoralitrowy dzban.

– Teraz, tato, musisz napić się tej wody. Nazywa się martwą wodą, ponieważ jest w niej bardzo mało mikrobów. Takiej wody nie wolno pić wtedy, gdy powietrze jest zanieczyszczone. Ale tutaj powietrze jest czyste i można pić martwą wodę. Ona przemyje twoje wnętrzności, przeczyści je, wypłucze z organizmu mnóstwo mikrobów i bakterii. Wypij jej, tato, tyle ile tylko możesz. Kiedy wypijesz całą wodę z dzbana, dam ci jeszcze jeden dzban z martwą wodą. Jeśli go wypijesz, dam ci trzeci dzban – z żywą wodą. I wszystkie niezbędne mikroby i bakterie odbudują się w odpowiedniej dla ciebie równowadze.

Od razu wytłumaczę, że za martwą wodę uważają oni wodę znajdującą się na dużej głębokości pod ziemią i zawierającą minimum bakterii. Myślę, że nasza woda sodowa w butelkach jest właśnie martwą wodą. A tak w ogóle, jak sądzę, pijemy tylko martwą wodę, dlatego też nasze dzieci, zwłaszcza noworodki, chorują na dysbakteriozę.

Za żywą wodę uważa się wodę powierzchniową z czystego strumienia lub zbiornika wodnego.

Takie strumienie i zbiorniki wodne w głębi syberyjskiej tajgi jeszcze się zachowały.

Jedno chcę podkreślić. Dziadek potem wyjaśnił, że wody źródlanej nie uważa się za żywą wodę w chwili jej picia ze zdroju. Aby stała się ona wodą żywą, trzeba ją przez – załóżmy – trzy godziny przechowywać w drewnianym lub glinianym naczyniu z szeroką szyjką. "Woda żywa winna wchłonąć w siebie światło słoneczne. W obecności słońca rodzą się w niej organizmy niezbędne dla życia człowieka. Wy je nazywacie mikrobami i bakteriami".

Potem przez co najmniej trzy godziny woda powinna postać w cieniu. Wtedy można ją pić jako żywą wodę.

Trzeci etap oczyszczania

– Tato, pij tę wodę, kiedy zachce ci się pić, a tymczasem przystąpimy do następnej czynności. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie zanieczyszczeni wpływem zewnętrznego świata potrzebują na przeprowadzenie tych wszystkich procedur dziewiętnastu dni, a lepiej trzydziestu trzech, jak powiedział dziadek. Ty nie masz czasu, więc skróciłem wszystko do trzech dni, lecz damy sobie radę. Pójdziemy w inne miejsce, tam zbudowałem pewne urządzenie.

Odeszliśmy sto metrów od jeziora i tam, wśród drzew, zobaczyłem przygotowane łoże z suchej trawy. Obok leżały cztery sznurki uplecione z włókien pokrzywy czy lnu.

Jeden koniec każdego sznurka zakończony był pętlą, a drugi przywiązany do drzewa. Gdy położy-

łem się na leżankę z suchej trawy, Wołodia nałożył na moje ręce i nogi pętle, lekko je zaciągnął i zaczął napinać za pomocą patyczków, znajdujących się na środku każdego sznurka. Troszeczkę naciągnąwszy, jakby rozczłonkowując moje ciało, szarpnął kilkakrotnie każdą rękę i nogę. W stawach rozległo się chrupanie. Potem jeszcze naciągnął linki i powiedział:

– Tato, musisz tak poleżeć chociaż z godzinę na brzuchu i godzinę na plecach, a żeby ci się nie nudziło tak leżeć i żebyś więcej skorzystał, będę ci robił uzdrawiający masaż. A ty, jeśli chcesz, możesz się zdrzemnąć i zrelaksować.

Procedurę tę wykonywaliśmy z synem przez dwie godziny codziennie w ciągu wszystkich trzech dni.

Jak potem wyjaśnił dziadek, zabieg ten poprawia jakość mazi stawowej we wszystkich stawach. Jest to szczególnie ważne dla ludzi w podeszłym wieku. Dzięki tym prostym ćwiczeniom można nawet zwiększyć wzrost, ponieważ prostuje się kręgosłup. Lecz najważniejsza rzecz to poprawa jakości mazi stawowej. Pomyślcie sami, kiedy chodzimy, biegamy, ćwiczymy w sali gimnastycznej, wyrabiając mięśnie, to prawie wszystkie ćwiczenia związane są ze zwiększonym obciążeniem stawów. Tu zaś przeciwnie – obciążenie zostaje z nich zdjęte.

W czasie procedury rozciągania Wołodia za każdym razem wykonywał masaż. Na drugi dzień natarł mi ciało jakimś słodkawym sokiem czy esencją i zaczęło na mnie wpełzać mnóstwo owadów – a wiedziałem jeszcze od Anastazji, że one oczyszczają pory skóry. W naszych warunkach można oczyścić pory za pomocą rosyjskiej łaźni z miotełką. Kiedy człowiek wyparza się i poci, oczyszczają się też pory. Między procedurami pod umowną nazwą "rozciągnięcie" zajmowaliśmy się dość zwyczajnymi ćwiczeniami: biegaliśmy, kąpaliśmy się, podciągaliśmy na sęku drzewa jak na drążku. Wołodia polecił mi trzy razy dziennie stać na rękach, głową w dół, jak długo wytrzymam. I stałem, przytuliwszy nogi do pnia drzewa. To też jest bardzo ciekawe, napływa wówczas do twarzy wiele krwi, skóra się napina i wygładzają zmarszczki.

Odżywialiśmy się przez te trzy dni tylko mlekiem cedru, pyłkiem kwiatowym, olejem z orzecha cedrowego, jagodami, trochę suszonymi grzybami (wszystko to jest w naszych warunkach dostępne). W trakcie wykonywania zaproponowanych przez syna zabiegów w myślach adaptowałem je do naszych warunków i doszedłem do wniosku, że wszystko można skutecznie zastosować i w domu. Środki na oczyszczenie organizmu można też nabyć w aptece. Zastosować i głodówkę i środki moczopędne. Zdobycie martwej wody też nie jest problemem – teraz ta w butelkach wszystka jest martwa. Żywą także można zdobyć, jeżeli jest gdzieś czyste źródło.

Uzdrawiający efekt jest gwarantowany.

Szczypta wtajemniczenia

Jednak w kuracji zaproponowanej przez syna była również jedna zagadkowa procedura, której wypełnienie w naszych warunkach mogłoby stanowić problem. Opiszę ją szczegółowo. Być może ktoś odgadnie i podpowie, jak ją zrealizować w naszych warunkach. Polegała ona na tym, że Wołodia trzy razy dziennie – rano, przed obiadem i przykładowo tuż po trzeciej po południu – podawał mi do wypicia esencję, którą sam przygotował.

Za każdym razem, kiedy nadchodził czas jej przyjmowania, Wołodia uciekał do swojej kryjówki, sięgał z dołka dzbanuszek z tą esencją i polecał troszkę upić, ale nie więcej niż jeden łyczek. Dając mi esencję po raz pierwszy, powiedział:

– Wypij, tato, tę esencję i zapamiętaj, jak duży łyk zrobiłeś. Od razu po wypiciu połóż się na trawie, a ja będę słuchać, co się dzieje z twoim sercem.

Wypiłem, położyłem się na trawie, Wołodia położył mi swoją rączkę na piersi i zamarł w bezruchu. Już po kilku sekundach poczułem w różnych miejscach ciała ni to rozgrzewanie, ni to kłucie czy mrowienie. Serce zaczęło bić mocniej. Nie chodzi o to, że zaczęło bić częściej, lecz pojawiło się odczucie, że mięsień sercowy rozkurcza się jak zwykle, ale kurczy znacznie gwałtowniej, z większą siłą wypychając krew.

Jak mi później powiedzieli specjaliści, przy mocniejszym i gwałtowniejszym ruchu krwi w miejscach, gdzie naczynia kapilarne częściowo są zaczopowane, może się pojawić odczucie rozgrzewania lub kłucia czy mrowienia.

Wołodia przez kilka minut słuchał bicia mojego serca, a potem powiedział:

– Wszystko dobrze, tato, twoje serce może wytrzymać i większy łyk. Ale lepiej nie ryzykować. Następnym razem zrób mniejszy łyk.

Kiedy zapytałem syna, w jakim celu podaje mi tę esencję i jaki jest jej skład, odpowiedział:

– Ta esencja, tato, doda ci wiele sił, pomoże wyleczyć się z chorób, jeżeli takowe są. Lecz rzecz najważniejsza – odrodzi się w tobie siła i pojawi energia niezbędna do urodzenia mojej siostrzyczki.

– A cóż to, ty sądzisz, że jest ich we mnie za mało?

– Być może i wystarczająco. Ale teraz już z pewnością sił masz wiele i wszystkie potrzebne energie będą w odpowiednich proporcjach.

– Będą zawsze czy je zużytkuję w celu zrodzenia jednego dziecka?

– Aby rodzić następne dzieci, będziesz musiał znowu pić tę esencję. One przecież tak robią za każdym razem.

– Co za "one"?

– Sobole i inne zwierzęta. Wyśledziłem tylko sobola. To dziadek mi poradził, kiedy, w jakim czasie i przez ile dni właśnie jego trzeba śledzić.

– A dziadek skąd to wszystko wie?

– Bo dziadek nasz, tato, posiada wszelką wiedzę, jaką mieli wielcy mędrcy-kapłani. I także tę zapomnianą przez współczesnych kapłanów.

A nawet tę tajemną sprzed wielu tysięcy lat. Tę esencję kapłani zażywali przed zrodzeniem swoich dzieci i przed śmiercią, aby pozostać nieśmiertelnymi.

– Co znaczy "przed śmiercią, aby pozostać nieśmiertelnymi"?

– Ano to. Żeby wszyscy myśleli, że oni niby umarli. W rzeczy samej zmieniali tylko ciała i z miejsca się wcielali, a wszelką posiadaną wiedzę zachowywali, wszelkie informacje. Są i inne sposoby na szybkie ponowne wcielenie, lecz bardzo mało na zachowanie w sobie informacji. Dlatego właśnie ludzie muszą się rodzić i znowu uczyć, poznawać wszystko, a porównać obecnego świata z minionym nie mogą. I wikłają się w meandrach swojego, ponieważ nie mają w sobie żadnej wiedzy o życiu ani uczuć, które są w stanie odczuwać Boga.

– A w dziadku zachowała się wszelka informacja o przeszłości?

– Tak, tato. Dziadek nasz – to wielki kapłan i mędrzec. Jest tylko jeden człowiek teraz żyjący na Ziemi, przewyższający go nieporównywalnie pod względem potęgi.

– A ty wiesz, gdzie teraz mieszka ten naj silniejszy i najmądrzejszy, wiesz? To zapewne główny kapłan?

– To nasza mama - Anastazja, tato.

– Anastazja? Jak to? Skąd ona może mieć więcej informacji i wiedzy niż pradziadek?

– Dziadek mówi, że jemu przeszkadza zbyt duża ilość informacji. I on coś może zapomnieć. A mamie nie przeszkadza absolutnie nic, ponieważ nie ma w niej żadnej informacji.

– Jak to rozumieć? To znaczy, że więcej wie czy że nie ma żadnej informacji?

– Niepoprawnie się wyraziłem, tato. Mama-Anastazja posiada wszelką wiedzę informację... No tak ogólnie... O wiele, wiele więcej jej posiada, tylko że zamkniętej w uczuciach. A w stosownym czasie w jednej chwili jest w stanie odczuć to, nad czym dziadek musi myśleć dzień albo dwa, a może i dłużej.

– Nie wszystko, co powiedziałeś, jest dla mnie zrozumiałe, niemniej interesujące. Powiedz jeszcze, a co z tobą? Czy to oznacza, że ty nie masz tej wiedzy z przeszłości, skoro radzisz się dziadka?

– Skoro się radzę – to oznacza, że nie.

– A dlaczego nie? Okazuje się, że jesteś od nich słabszy intelektualnie? Od pradziadka i dziadka? I co ci mówią na ten temat? Na pewno dziadek mówi, że ja jestem temu winien?

– Niczego takiego dziadek mi nie mówił.

– A mama? Co ona mówiła?

– Pytałem mamę, dlaczego wiem mniej niż moi pradziadkowie. I mniej niż ona i ty, tato. W odpowiedzi mama mówiła: "Wszystkie prawdy Wszechświata, synku, wszelka informacja zbierana od zarania dla każdego człowieka zawsze była dana bez ukrywania. Nie wszyscy ludzie są w stanie zrozumieć ją i przyjąć, ponieważ cel ich życia i dążenia duszy nie są zgodne z celami Wszechświata. Człowiek jest wolny i wolny nade wszystko i nie Wszechświata, lecz swoją drogę ma prawo wybrać. Ale i Bogu wolno decydować, kiedy, komu i jaką dać podpowiedź. Nie smuć się z powodu wiedzy, która nie jest ci dana.

Szukaj swego marzenia i wierz, a wszystko zostanie ziszczone w całej pełni, jeśli tylko marzenie, które się w tobie zrodziło, okaże się godne stworzenia".

– Tak... No i cóż ty zrozumiałeś, Wołodia, z tego, co mama powiedziała?

– Kiedy moje marzenie i cel życia zostaną stworzone w szczegółach, wszelka wiedza dla ucieleśnienia marzenia zrodzi się we mnie samym.

– A tymczasem będziesz się radził dziadka?

– Tak, dziadka i mamy i ciebie i sam będę starał się rozmyślać.

– Czy to oznacza, że o receptę na niezwykłą esencję, którą podawałeś mi do picia przez wszystkie trzy dni, trzeba pytać dziadka?

– O niej mogę ci wszystko opowiedzieć, tato.

– Więc opowiedz.

– Ta recepta jest zestawem ziół rosnących w tajdze. Aby się dowiedzieć, jakie wziąć zioła i w jakich proporcjach, trzy dni i noce śledziłem sobola. Sobola, który też chciał zostać ojcem. Dziadek mi powiedział, że samica sobola nie dopuszcza do siebie samca, jeżeli ten się odpowiednio nie przygotuje. Śledziłem, jakie soból zjada trawki w tych dniach, jaki czas wybiera na ich zerwanie. I to też okazało się ważne. Zbierałem wszystkie ziółka, które on jadł, tylko musiałem ich zebrać nieco więcej, bo przecież ty, tato, ważysz o wiele więcej niż soból.

Wszystkie zebrane zioła porcjami wkładałem do moździerza i rozcierałem do momentu pojawienia się soku. Przy tym myślałem tylko o tym, co przyjemne i dobre: o tobie, tato, o mamie, o mojej przyszłej siostrzyczce. Potem otrzymaną miazgę umieszczałem w glinianym dzbanie. Całą zawartość dzbana zalewałem wodą, dodawałem oleju z cedru, żeby utworzył na wierzchu warstewkę. Kiedy wypiłeś łyk tej esencji i twoje serce zabiło nieco szybciej, zrozumiałem: udało się przyrządzić dobrą esencję.

Wysłuchałem syna i pomyślałem: "Mało komu dana jest możliwość poobserwowania sobola w naturalnych warunkach. Ale być może uda się zobaczyć, jakie źdźbła trawy zjada, na przykład, kot lub pies.

W tym celu trzeba je wynieść lub wyprowadzić do lasu i poobserwować ich zachowanie, a jeżeli to możliwe, określić, jakie zioła będą jeść".

Bardzo mnie zainteresowała recepta na esencję sporządzoną przez syna, ponieważ po jej raptem trzydniowym zażywaniu następował odczuwalny efekt. A przecież była mowa o tym, że pełen cykl uzdrawiania powinien trwać dziewiątnaście lub trzydzieści trzy dni. Oznacza to, że po pełnym cyklu, w zestawieniu z pozostałymi ćwiczeniami, człowiek rzeczywiście może się wyleczyć z wielu cierpień, powstrzymać proces starzenia się organizmu albo w jakimś sensie odmłodnieć. Pragnę powtórzyć: praktyka nawet trzydniowego zastosowania potwierdza taki efekt.

Lecz jest jeszcze mądrość ludowa i uzasadnienie naukowe.

Ludzie oczywiście widzą w aptekach zestawy ziołowe, które proponuje nasz przemysł farmaceutyczny w celu leczenia różnego rodzaju chorób. O tym, że w przyrodzie istnieje mnóstwo roślin leczniczych, powszechnie wiadomo. Ale nie wszyscy wiedzą, że prawdziwy efekt leczniczo-profilaktyczny lub zdrowotny może zostać uzyskany tylko wtedy, gdy roślina będzie zebrana określonego dnia czy o określonej godzinie.

Co się tyczy zestawów z ziół, to oprócz wszystkich składników uwzględnić należy też proporcje pomiędzy nimi. Jak widać, trzeba znać bardzo wiele składników, aby zrobić podobny zestaw. I wielce wątpliwe, czy w ogóle którykolwiek ze współczesnych zielarzy zna je wszystkie?

Bardzo chciałem tym razem przywieźć w prezencie swoim czytelnikom nigdzie wcześniej na świecie nie publikowaną receptę na uzdrowienie organizmu i żeby nie była ona tak skomplikowana jak ta, którą podał mój syn, ale łatwo dostępna dla większości ludzi.

Gdy tylko zakończył się trzydniowy cykl uzdrawiania opracowany przez syna, Wołodia mi oznajmił, że chce trochę wcześniej położyć się spać (okazuje się, że przez wszystkie trzy noce spał nie dłużej niż dwie, trzy godziny) i zasnął, a ja od razu udałem się na polanę Anastazji. Najbardziej interesowały mnie dwie kwestie: dlaczego nasz syn nie posiada wiedzy o przeszłości, tak jak dziadek? I druga – czy można uprościć recepturę na esencję, którą on dla mnie przygotował?

Wizja

Jednak myśl o odżywianiu się stopniowo odchodziła na dalszy plan. Zacząłem myśleć o przyszłej

córce. Z jednej strony, byłoby całkiem nieźle, gdyby Anastazja urodziła jeszcze i córkę. Lecz z drugiej strony, córka podrośnie, będzie miała swoją przestrzeń albo otrzyma w spadku tę przestrzeń, którą ukształtował mój syn, a przed nią pojawią się te same problemy, co teraz przed Wołodią. A poza tym za kogo ona tu, w tajdze, wyjdzie za mąż?

Odejście do naszego świata też nie będzie dla niej proste. Odejśćto znaczy porzucić swoją przestrzeń, swoich oddanych przyjaciół-zwierzęta. Czyż jakiś młody człowiek zgodzi się żyć z nią w tajdze? Dla człowieka, który przyszedł z zewnątrz, życie w głuchej tajdze nie jest zbyt komfortowe. I dla mnie, szczerze mówiąc, też nie jest. Przebywanie z Anastazją jest interesujące, ona nawet jakoś tak przyciąga do siebie: kiedy jesteś przy niej, twoją duszę ogarnia ukojenie i radość. Ale kiedy zostajesz sam, kiedy nie ma jej obok – pojawia się dyskomfort, a nawet robi się troszeczkę strasznie.

Zupełnie odmiennie odnoszą się zwierzęta do Anastazji, syna i do mnie. Oczywiście nie napadają na mnie, lecz patrzą z zaniepokojeniem, kiedy się z nimi spotykam. Próbowałem w obecności Anastazji dać komendę wiewiórkom, aby przyniosły cedrowych szyszek. Wykonywałem takie same gesty jak Anastazja, lecz wiewiórki nie reagowały. Raz próbowałem przywołać wilczycę. Tak samo jak Anastazja wyciągnąłem rękę w jej stronę, a potem klepnąłem ręką po swojej nodze. Ale wilczyca, zamiast podbiec do mnie, pozostała na miejscu, a jej sierść się zjeżyła. Straciłem więc ochotę na jakikolwiek kontakt z tymi zwierzętami na przyszłość. Zrozumiałem: one mogą być na zawsze oddane tylko jednemu konkretnemu człowiekowi.

O, proszę: przyjdzie z wizytą do córki jakiś młody człowiek i będzie odczuwał dyskomfort w jej przestrzeni. Nie pomyślał Wołodia o przyszłości swojej siostry. Widzicie, zwierząt mu żal, a siostry nie żal – na to wygląda. A ja też nie pomyślałem, nieopatrznie dałem mu nadzieję.

Tak rozmyślając, nie zauważyłem nawet, kiedy się znalazłem na polanie Anastazji. Zrobiwszy kilka kroków w kierunku znajomej ziemianki, zobaczyłem Anastazję: stała wpół odwrócona do mnie i rozczesywała rękami włosy. Zatrzymałem się: nie przypominała tej kobiety, którą znałem już dziesięć lat. I kiedy się do mnie odwróciła, moje nogi stały się miękkie jak z waty, serce przyśpieszyło swoje bicie i zrozumiałem, że nie mogę zrobić kroku.

W odległości dziesięciu, piętnastu kroków ode mnie stała kobieta jak bajeczna wizja. Miała na sobie długą do kostek, cienką i jasną, prawie balową sukienkę, przewiązaną paskiem na wysokości wysmukłej talii. Głowę zdobił, niczym diadem, wianek upleciony z ziół i kwiatów. Złociste włosy falami spadały na ramiona. Lecz nie to jest najważniejsze. Jej kształtna figura i twarz były tak urzekająco piękne, że nie sposób tego opisać.

Stałem, bojąc się poruszyć. Nie mrugając, wpatrywałem się w Anastazję i wydawało mi się, że jeśli odwrócę wzrok, to stracę przytomność. Pojawiły się zawroty głowy, lecz nadal patrzyłem na nią, nie mrugając. Z całej siły wpiłem się paznokciami w rękę, aby ból wyprowadził mnie z tego niezwykłego stanu. Ale ból był prawie nieodczuwalny. A kiedy niesamowicie piękna kobieta powoli i majestatycznie podeszła do mnie, przestałem odczuwać nie tylko ból, ale także całe swoje ciało. Podeszła powoli bardzo blisko, pamiętam tylko, że poczułem urzekający zapach jej ciała, odczułem jej lekki oddech i... straciłem przytomność.

Ocknąłem się, leżąc na trawie. Siedząca przy mnie Anastazja masowała mi skronie i nasadę nosa. Nie miała już na głowie wianka-diademu, odrzucone na plecy włosy były przewiązane źdźbłem trawy. Prawie się uspokoiłem, patrząc w jej czułe, szaroniebieskie oczy, które stały się teraz tak bliskie. I zupełnie doszedłem do siebie, kiedy usłyszałem jej głos:

– Co ci się stało, Władimirze? Przemęczyłeś się czy może nasz syn przysporzył ci niepokoju?

– Syn? Przeciwnie, on mnie leczył przez te całe trzy dni. Wykonywaliśmy różne zabiegi.

– I przemęczyliście się?

– Wołodia się przemęczył. Zasnął. Ja przeciwnie, zacząłem się czuć bardzo dobrze.

– Więc dlaczego straciłeś przytomność? Serce biło ci szybciej, a teraz jeszcze nie do końca się uspokoiło.

– Dlatego... A ty, Anastazjo, dlaczego tak nadzwyczajnie się wystroiłaś? Włosy jakoś inaczej ułożyłaś. I twój sposób chodzenia, kiedy podeszłaś do mnie, też był niezwykły.

– Chciałam ci sprawić przyjemność, Władimirze. Ty przecież bardziej przywykłeś do patrzenia na wystrojone kobiety. Myślałam, że pójdziemy razem pospacerować po tajdze albo wzdłuż jeziora. A ty leżysz – ot co. Jeżeli chcesz odpocząć, pójdziemy do ziemianki, prześpisz się.

– Najpierw pójdziemy, pospacerujemy, tak jak chciałaś – powiedziałem, wstając. – Tylko ty, Anastazjo idź, proszę, za mną.

– Dlaczego?

– Dlatego. Chociaż, oczywiście, bardziej nawykłem do patrzenia na wystrojone kobiety. Ale dla ciebie byłoby lepiej, abyś się tak nie stroiła i ani takiej fryzury nie musisz robić, ani tak się ozdabiać.

– Nie spodobało ci się, Władimirze? – zapytała idąca za mną Anastazja.

– Nie w tym rzecz. Spodobało mi się. Tylko następnym razem wszystko rób stopniowo. Najpierw, na przykład, fryzurę. I pochodź tak przez jakiś czas. Potem włóż swój wianek-diadem, za dzień, dwa sukienkę, lecz bez paska, potem przewiąż paskiem. Jeżeli wszystko od razu, to nie jest zwyczajnie, lecz jakoś tak obco. To takie niezwykłe.

– Niezwykłe? To znaczy, że nie poznałeś mnie, Władimirze?

– Poznałem. Lecz... Ja jestem po prostu oszołomiony twoim pięknem, Anastazjo.

– Aha, przyznałeś się. Przyznałeś się. Zatem uważasz, że jestem piękna? Tak?

Poczułem, jak jej ręce spoczęły na moich ramionach i zatrzymałem się. Potem zamknąłem oczy, odwróciłem się i odpowiedziałem:

– Ty, Anastazjo, ty nie jesteś zwyczajnie piękna. Ty...

Ona przytuliła się do mnie, położyła głowę na ramieniu.

– Nasz syn, Anastazjo, chce mieć siostrzyczkę – mówiłem dalej szeptem.

– I ja chcę, byśmy mieli córkę, Władimirze – cicho odpowiedziała Anastazja.

– Żeby była podobna do ciebie, Anastazjo.

– I do ciebie nasza córka niech będzie podobna. . .

* * *

Tej nocy nie opiszę. I ranka też. Nie sposób je opisać. Lecz o jednej rzeczy chciałbym powiedzieć mężczyznom: jeżeli tylko któremu kolwiek uda się zobaczyć w znajomej kobiecie boginię, boskie będą i noc i dzień i wiele, wiele dni i nocy. W ich obliczu udręki przeszłości zginą w cieniu.

I nigdy nie będzie niepogody. I tu nie chodzi o sentymenty, piękne słowa i zgrabne wytłumaczenia. Prawda jest taka, że...

A zresztą, niech każdy sam się z tym upora, zrozumie, jeśli będzie w stanie bądź jeśli zechce to uczynić.

BOSKIE ODŻYWIANIE SIĘ

Dopiero po kilku dniach przypomniałem sobie, że chciałem się dowiedzieć od Anastazji, jaka jest recepta na leczniczą esencję, czy też w ogóle czegoś o sposobie właściwego odżywiania się lub o diecie dla czytelników. I dobrze, że sobie przypomniałem. Podobno Anastazja wiedziała o nader niezwykłym i unikalnym sposobie odżywiania się, możliwym do zastosowania nawet w warunkach miejskich.

Ku mojemu zdziwieniu, zamiast od razu podać mi receptę na esencję, Anastazja zaczęła mówić o zdolnościach człowieka, o chorych i uzdrowicielach. Już nie raz o tym rozmawialiśmy, lecz to, co opowiedziała tym razem, było bardzo interesujące.

– Rzeczywistość, Władimirze, jedynie samemu określać trzeba. Zobaczyć życie ludzi minionych tysiącleci i zajrzeć do przyszłości oraz swoje przyszłe życie ukształtować jest w stanie każdy człowiek żyjący na Ziemi. Każdy posiada taką ogromną zdolność, trzeba tylko ją sobie uświadomić, a wówczas nikt nie odwiedzie cię od prawdy. Między ludźmi zapanuje zgoda, a niekończące się wojny ustaną.

Mnóstwo wysiłku włożono w zniekształcenie minionej rzeczywistości. Możliwość wypaczania pojawia się wówczas, kiedy człowiek nie sam z siebie, lecz na podstawie cudzych wniosków i słów buduje w sobie obraz przeszłości.

– Nie do końca jest jasne, Anastazjo, w jaki sposób każdy człowiek żyjący na Ziemi może sam się dowiedzieć o życiu ludzi minionych stuleci, a już tym bardziej tysiącleci. Istnieje cała nauka zajmująca się historią ludzkości. Jednakże również dzisiaj naukowcy toczą spór o kwestię pochodzenia człowieka, jego przeznaczenia.

Różne są interpretacje wydarzeń historycznych. – Różne, to znaczy, że jest interpretacja jest praw-

dziwa i nieprawdziwa? A może one wszystkie przedstawiają przeszłość w sposób nieścisły? Nieścisłości z reguły powstają właśnie w celu przypodobania się komuś. Ale kiedy sam, tylko sam, w swoim wnętrzu odtworzysz obraz przeszłości – ujrzysz prawdę, określisz swoje przeznaczenie i swoje miejsce funkcjonowania we Wszechświecie.

– Ale jak na przykład ja sam mógłbym ujrzeć obrazy historii minionych tysiącleci?

– Powinieneś je sobie wyobrazić, logicznie rozmyślając. I nawet życie cywilizacji epoki Wiedyzmu pojawi się przed twoimi oczyma.

– O czym logicznie trzeba rozmyślać, nad czym się zastanawiać?

– Nad wizerunkami ludzi, które w ciągu pół wieku swojego życia widziałeś, jakie zachodziły w nich zmiany.

– Nie bardzo to rozumiem. W jaki sposób powinienem się nad tym zastanawiać?

– Wszystko będzie zrozumiałe, jeśli tylko nie ociągać się i nie lenić w myśleniu.

Zacznijmy razem, Władimirze, a dalej będziesz już to robił sam. Każdy jest w stanie odtwarzać obrazy z przeszłości, ażeby lepiej je wprowadzić do przyszłości.

– Zaczynajmy więc, ale ty pierwsza.

– Zacznę. Patrz i sam, jeżeli będziesz mógł, dodawaj szczegóły, one są ważne. Dzisiaj widzisz mnóstwo szpitali, aptek z lekarstwami na tysiące chorób.

– Tak, to każdy widzi, no i co?

– Przypomnij sobie, zaledwie trzydzieści lat temu było ich mniej?

– Tak, oczywiście.

– A ile ich było przed stu, dwustu laty?

– Jeszcze o wiele, wiele mniej. Powszechnie wiadomo, że nowoczesna nauka medyczna liczy co najwyżej niewiele ponad dwieście lat.

– Ot, widzisz, twoja logika doprowadziła cię więc do następującego wniosku: szpitali w najbliższej przeszłości nie było wcale. Teraz pomyśl, przypomnij sobie: kto leczył ludzi, kiedy pojawiła się jakaś dolegliwość?

– Kto?

– Przecież mieszkałeś na wsi i widziałeś, jak twoja babcia poiła wywarami z ziół twojego ojca i matkę.

– W tamtej wsi nie tylko moja babcia mogła leczyć, były też inne.

– I w każdej osadzie można było spotkać ludzi, którzy stale zbierali i przechowywali uzdrawiające zioła. I każdy człowiek mógł bezzwłocznie uzyskać pomoc w razie wystąpienia jakiegoś lekkiego niedomagania czy też poważnej choroby. Zapłata za tę pomoc była niewielka, a częstokroć było nią tylko słowo "dziękuję".

– No tak, ale przecież oni wszyscy byli sąsiadami. A różnych ziół wokół było mnóstwo.

– Tak, wiele było pożytecznych ziół, a ludzie mnóstwo wiedzieli o ich właściwościach.

– Oczywiście, że wiedzieli. Ja też wiedziałem o niektórych, lecz teraz zapomniałem.

– Ot i widzisz, zapomniałeś i wielu ludzi zapomniało. Dzisiaj, gdy na ciele pojawi się ranka, co człowiek uczyni?

– Pójdzie do apteki, kwpi bandaż lub przylepiec bakteriobójczy i zaklei skaleczenie.

– Straci czas na to, aby dotrzeć do apteki, straci też pieniądze. W przeszłości wszyscy, nawet dziecko, wiedzieli: jeśli na rankę przyłożyć liść babki, to skaleczenie szybko się zagoi i nie będzie zakażenia.

– Ja też o tym wiem, lecz teraz w wielu miejscach trawa jest zanieczyszczona. Dookoła spaliny samochodowe, kurz, kwaśne deszcze.

– Tak, faktycznie. Lecz istotą jest coś innego. Mówimy o obrazie minionym, a wniosek możesz wysnuć ty: wiedza człowieka przeszłości w zakresie leczenia przewyższała wiedzę współczesnych ludzi.

– Wygląda na to, że tak.

– Słychać nutkę powątpiewania lub niepewności w twoim głosie, Władimirze. W takiej sytuacji przed twoimi oczyma obraz się nie pojawi. Musi być absolutna pewność. Lub absolutne nieprzyjmowanie tego. Podążaj dalej w myślach za logiką.

– Zrozum, Anastazjo, cała logika mówi mi właśnie o tym, że człowiek przeszłości miał znacznie większą wiedzę w zakresie medycyny ludowej niż dzisiejsi ludzie. Nawet można powiedzieć: niewspółmiernie większą. Okazuje się, że pomoc medyczna dzięki tej wiedzy była znacznie doskonalsza od

współczesnej. Ale jakże trudno od razu sobie uświadomić, że wszystkie te nowoczesne szpitale, apteki instytucje naukowe są niepotrzebne. Nie do wiary, że tak wygląda sytuacja! Człowiek cywilizacji epoki Wiedyzmu, nasz przodek, w razie niedomagania zjadał źdźbło ziela lub pił esencję – cierpienie ustępowało. Człowiek naszej cywilizacji, kiedy zachoruje idzie do szpitala, płaci za konsultację u lekarza, ten przepisuje mu jakieś tabletki lub zastrzyki, człowiek znów płaci pieniądze za lekarstwa i to częstokroć duże. Przy tym mnóstwo jest przypadków, gdy lekarstwa okazują się podróbką. Urzędnicy z ministerstwa mówią, że w aptekach sprzedaje się do trzydziestu procent podrabianych preparatów. Do tego pojawiają się różne nieuleczalne choroby, tak jakby ktoś specjalnie, niszczył doskonałą wiedzę, zastępując ją złudną lub mniej efektywną. A propos: oficjalna medycyna również teraz odnosi się do lekarzy ludowych z niepokojem, zapewne dlatego, że są dla niej konkurencją. Lecz dlaczego państwo, społeczeństwo nie rozumieją, że przez wieki, tysiąclecia ludzkość skutecznie wracała do zdrowia dzięki medycynie ludowej, ponieważ zgromadziła w ciągu stuleci ogromne doświadczenie, trzeba je zatem rozwijać, studiować? A przecież tę wiedzę można byłoby zdobywać w szkołach.

Ale wtedy cały biznes, którym zajmuje się nowoczesna medycyna, runie... Niewiarygodne! Anastazjo! To nieprawdopodobne! Zdaje się, że zaczynam rozumieć: nowoczesna medycyna zajmuje się nie tyle leczeniem ludzi ile najzwyklejszym biznesem. A skoro biznesem, to tym koncernom produkującym tabletki większą korzyść przyniesie, gdy ludzie będą chorowali. Im więcej chorych, tym większy dochód. Zgodnie z prawami biznesu w takiej sytuacji liczba chorych nieustannie będzie wzrastać. To niemoralny układ. Zaczynam się utwierdzać w przekonaniu, że ochrona zdrowia w odległej przeszłości była znacznie bardziej racjonalna i skuteczna. Ot, tylko niektóre fakty historyczne przeszkadzają całkowicie się w tym utwierdzić.

– Jakie fakty?

– No, na przykład, znane z historii wybuchy epidemii dżumy, ospy, trądu. W niektórych podręcznikach jest mowa o tym, jak wymierały całe osady. Było tak?

– Tak, było.

– Ale teraz dzięki współczesnej medycynie dżuma, cholera, ospa zostały pokonane. Na przykład przeciw ospie robi się wszystkim szczepienia i to wystarcza. Znaczy to, że ludowi uzdrowiciele przeszłości nie byli w stanie walczyć z tymi chorobami, a nowoczesna medycyna potrafi.

– To nie tak, Władimirze. Spójrz na tamte czasy i zestaw proste fakty. Wybuchy epidemii, o których mówisz, zaczęły się pojawiać wtedy, kiedy prześladowano ludowych uzdrowicieli. Wielu nawet stracono. W wiekach okultyzmu stawali się oni niewygodni dla władzy. Uważano – zarówno wcześniej, jak i teraz – jakoby poganie oddawali cześć przyrodzie i byli ludźmi pozbawionymi duchowości. A to nie tak, poganie szanowali przyrodę jako dzieło Boga. I znali mnóstwo Boskich stworzeń, o których obecnie ludziom nie wiadomo.

– Dobrze, Anastazjo, więcej wątpliwości nie mam. Współczesnej nauce medycznej bardzo daleko do ludowej medycyny. Jestem co do tego przekonany. Ale w jakim celu tak bardzo się starałaś, abym się w tym utwierdził?

– Nie tylko ty. Chciałam, ażeby również twoi czytelnicy, zestawiając fakty, byli w stanie zrozumieć.

– Ale w jakim celu?

– Kiedy jeden fakt bezsprzeczny się staje – wnioski z niego płynące pociągną za sobą kolejne. Wydawać się będą nieprawdopodobne, lecz nie dziw się im zbyt szybko, proszę, Władimirze.

– Jakie, na przykład nieprawdopodobne wnioski?

– Wpierw odpowiedz na pytanie. Powiedz, jak ludzie, jak większość ludzi uważa: skąd w starożytności ludzkość miała tak przeogromną wiedzę z zakresu przyrody?

– Jak to skąd? Jeżeli masz na myśli recepty medycyny ludowej, to one, jak powszechnie wiadomo, przekazywane były z pokolenia na pokolenie.

– Niech i tak będzie, przekazywano je w spadku. Ale musisz przyznać, że każda z tysiąca recept winna mieć swego pierwotnego autora.

– Logicznie rzecz biorąc, oczywiście, powinna mieć, lecz teraz autorstwo tych recept jest niemożliwe do ustalenia.

– Możliwe! Wszelką wiedzę wielkiego stworzenia Stwórca dał wszystkim ludziom bez wyjątku. Udowodnię to i tobie, Władimirze i wszystkim ludziom. Nie nazywaj od razu tego, co powiedziałam, nieprawdopodobnym.

– Spróbuję, a ty mów.

– Uważa się, że pierwotnie człowiek był znacznie głupszy, niż teraz. A to nie tak, Władimirze. Wiedza pierwszych ludzi była pierwotnie Boską wiedzą.

– A jakże to, pierwotnie, Anastazjo? Bóg różne recepty z ziołolecznictwa sam napisał? Historycy twierdzą, że ludzkość przez wieki gromadziła swoją wiedzę.

– Lecz jeżeli do końca być logicznym, to z takiego twierdzenia winien wypływać inny wniosek.

– Jaki?

– Z tego wynika, jakoby człowiek nie był doskonałym stworzeniem Boga, lecz najbardziej ułomną ze wszystkich istot żyjących na Ziemi.

– Z czego to wynika?

– Osądź sam. Twój piesek wie, jakie ziółko czy źdźbło jakiej trawy ma zjeść, kiedy jakaś choroba się do niego przyczepi. Kot też to wie: biegnie do lasu, aby znaleźć potrzebne ziółko. A przecież nikt im nie pisał recept. Pszczoła wie, jak z kwiatu zdobyć nektar. Jak plastry budować, przechowywać w nich miód, zbierać pyłek. I jak potomstwo wychowywać. Jeżeli z łańcuszka wiedzy, danej pszczelej rodzinie, usunąć chociażby jedno ogniwo – rodzina ta zginie.

Ale pszczoły istnieją i dzisiaj. A to oznacza tylko jedno – wszelka wiedza została im dana przez Stwórcę pierwotnie, w momencie stworzenia. I dlatego pszczoły nie wyginęły, ale żyją już miliony lat i budują swoje unikalne plastry także obecnie, tak jak w pierwszym mgnieniu stworzenia. I tak samo mrówki budują swoje kopce. I kwiatek z nastaniem świtu otwiera swoje płatki, jak pierwszego dnia stworzenia. I jabłonka i wiśnia i grusza dokładnie wiedzą, jakiego soku ziemi potrzebują, ażeby wydać swoje owoce. Wszelka wiedza została pierwotnie dana w chwili stworzenia, a człowiek nie jest tu wyjątkiem.

– Tak. .. Nieprawdopodobne. Cała logika rzeczywiście prowadzi do takiego wniosku. A to oznacza... Poczekaj, a gdzie zatem ta wiedza jest teraz?

– Zachowana jest w każdym człowieku. A uzdrawiającą receptę na esencję każdy człowiek jest w stanie sobie skomponować z ziół samodzielnie.

– Ale jak?

– Wszak dana ona została człowiekowi przez Boga pierwotnie. Ona może wyleczyć ciało z mnóstwa chorób i przedłużyć życie. Jest prosta do granic możliwości i jednocześnie nie jest prosta. Swoim umysłem człowiek winien ją sobie uświadomić. Zacznę od prehistorii.

* * *

W cywilizacji epoki Wiedyzmu wszyscy ludzie żyli wiele ponad sto lat, a ich ciało nie znało żadnych chorób. Odżywiali się zgodnie z zaleceniami Boga. Nie na darmo, nie ot tak sobie, ale z sensem największym Stwórca uczynił tak, by zioła, warzywa i jagody i owoce dojrzewały nie wszystkie od razu, ale jedne po drugich, w ściśle określonej kolejności.

Jedne wczesną wiosną inne latem lub późną jesienią. Czas ich dojrzewania określany był przez ten moment, w którym dany produkt mógł przysporzyć człowiekowi najwięcej korzyści zdrowotnych. Człowiek mieszkający w swojej siedzibie, odżywiając się zgodnie z receptą Boga, nie mógł chorować. Czas przyjmowania i rodzaj pożywienia wyznaczył mu Bóg. Ilość jedzenia określał sam człowiek, lecz nie drogą rozumową, lecz po prostu jadł ile chciał. A jego organizm z dokładnością co do grama określał niezbędną ilość jedzenia.

Jesienią w każdej rodzinie robiono zapasy z jagód, roślin okopowych, ziół, orzechów i grzybów. Zimą w każdej chacie na stole stał półmisek. Na półmisku niewielkie kupki z letnich zapasów. Każdy członek rodziny był zajęty swoimi sprawami, lecz jeżeli odczuwał głód czy pragnienie, to podchodził do stołu i bez zastanowienia brał niezbędny produkt. Zauważ, Władimirze, brał bez zastanowienia. Jego organizm dokładnie wiedział, jaki produkt jest niezbędny i w jakiej ilości – zdolność ta została dana każdemu przez Boga. Tę zdolność można teraz ożywić, a do tego celu niezbędna jest tylko wiedza.

Zaadaptowałam sposób odżywiania się w epoce Wiedyzmu dla dzisiejszych ludzi. Spróbuj ty inni też niech spróbują. Wygląda on tak.

* * *

Człowiek żyjący w nowoczesnym mieszkaniu musi nabyć niewielką ilość, po sto lub dwieście gra-

mów wszystkich warzyw, owoców i jadalnych ziół rosnących w zamieszkiwanym przez niego regionie.

Przed spożyciem tych produktów przez cały dzień nic nie jeść. Pić wodę źródlaną, a w porze obiadowej wypić szklankę soku z czerwonego buraka. Po wypiciu buraczanego soku dobrze jest nie wychodzić z domu. Żołądek i jelita zaczną się intensywnie oczyszczać.

Następnego dnia, po obudzeniu się rano i odczuciu głodu, musi sięgnąć po jakieś warzywo, owoc lub ziele, położyć je na talerzyku, usiąść za stołem, uważnie popatrzeć na leżący na talerzyku produkt, potem powąchać go, polizać i przeżuwając bez pośpiechu, zjeść. Dobrze byłoby, gdyby w tym czasie był w pokoju sam i odizolował się od odgłosów sztucznego świata.

Uczucie głodu nie zniknie od spożycia jednego produktu lub pojawi się ponownie po niedługim czasie. Wtedy trzeba wziąć jakiś inny produkt i zjeść go w taki sam sposób, jak pierwszy.

Wszystkie nabyte produkty człowiek powinien spróbować w dowolnej kolejności, lecz w niewielkich odstępach czasu.

Poczucie głodu wyznaczy czas spożycia kolejnego produktu.

Spożywanie to zaczynać trzeba od rana.

W ciągu dnia człowiek skosztuje wszystkich produktów występujących w regionie, gdzie mieszka. Jeżeli różnorodność produktów będzie duża i jednego dnia nie wystarczy, należy przedłużyć takie odżywianie się na następny dzień.

Ta procedura jest bardzo ważna. Pozwoli ona organizmom wielu ludzi zapoznać się – być może po raz pierwszy w życiu – ze smakiem i właściwościami produktu, określi, do jakiego stopnia i w jakiej ilości jest on niezbędny człowiekowi w danym momencie.

Po tym, jak organizm pozna wszystkie artykuły, trzeba wziąć duży talerz, pokroić każde warzywo na niewielkie plasterki i rozłożyć na talerzu. Na ten sam lub na inny talerz położyć także małe pęczki zieleniny i jagód. Zawartość talerza z produktami, które się szybko psują, zalać źródlaną wodą.

Na stole jeszcze trzeba postawić miód, pyłek kwiatowy, olej z cedru i źródlaną wodę. Można się zajmować się swoimi sprawami. Kiedy pojawi się uczucie głodu, można podejść do stołu i wziąć ręką albo drewnianą łyżeczką produkt, na który ma się ochotę i go zjeść.

Może się okazać, że jedne produkty będą zjedzone całkowicie, a inne pozostaną nietknięte. To oznacza, że twój osobisty, najmądrzejszy lekarz, dietetyk, przydzielony tobie przez Stwórcę – twój organizm wybrał dla ciebie to, co najpotrzebniejsze w danym momencie, a niepotrzebne tymczasem zostawił nietknięte.

Następnego dnia można nie stawiać na stole tego, co nie zostało zjedzone. Ale po kolejnych trzech dniach na stole ponownie winien się znaleźć cały asortyment produktów. Być może teraz coś innego będzie organizmowi potrzebne.

Stopniowo człowiek będzie mógł określić, jakie artykuły można tymczasowo zupełnie wyłączyć z menu, by nie obciążać się niepotrzebnie ich nabywaniem. Lecz za jakiś czas i one mogą się okazać organizmowi potrzebne, więc dlatego trzeba okresowo wystawiać na stół wszelki możliwy asortyment.

Wiem, człowiekowi żyjącemu w waszym świecie często przychodzi opuszczać swoje mieszkanie, lecz również w takim wypadku można się przystosować. Na przykład nabyć lub zrobić torebkę z kory brzozowej i włożyć do niej część jedzenia stojącego na stole. Organizm wybierze to, co niezbędne.

Jeżeli trzeba dokądś wyjechać na długo, to w nowym miejscu także należy zacząć zaznajamianie się organizmu z produktami występującymi na nowym terytorium, ponieważ mimo jednakowych nazw, mogą wystąpić między nimi różnice smakowe.

W tym sposobie odżywiania się zrozumieć trzeba rzecz najważniejszą, Władimirze. Nie tylko wszystkim zwierzętom została dana zdolność określania, jakie niezbędne dla nich produkty z największym pożytkiem dla organizmu oraz w jakiej ilości i w jakim czasie należy spożywać. Taka wiedza jest także w każdym człowieku.

Nasz syn wymyślił wszystko prawidłowo: żeby zrobić dla ciebie leczniczą esencję z rosnących w tajdze ziół, zaczął śledzić sobola. Lecz gdybyś ty sam znał smak źdźbła każdego ziela, to twój organizm znacznie dokładniej niż soból byłby w stanie dobrać niezbędne zioła. Kiedy wrócisz do swojego mieszkania, daj organizmowi możliwość poznania smaku tych produktów, które łatwo nabyć. Nie mieszaj ich ze sobą i nie sól, bo twój organizm nie będzie mógł określić wartości i znaczenia produktów.

* * *

Sposób, dzięki któremu każdy człowiek może sam dla siebie skomponować dietę lub receptę leczniczego odżywiania się, wydał mi się bardzo oryginalny i logiczny. Oczywiście, u różnych ludzi potrzeby organizmu co do ilości i asortymentu produktów nie mogą być jednakowe. Nie może więc istnieć standardowa, jedna dla wszystkich recepta lub dieta. Dzięki sposobowi zaproponowanemu przez Anastazję każdy człowiek może zestawić dla siebie indywidualną dietę, maksymalnie dokładną i pożyteczną. Wygląda na to, że wymyślone przez ludzkość recepty nie zawsze są korzystne dla zdrowia. Są one szybsze do uzyskania pod względem technologicznym oraz korzystne dla producentów i organizatorów nowoczesnego przemysłu. Na przykład McDonald's jedna z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych, jak również szeroko znanych na całym świecie korporacji – zachęca cały świat do jedzenia takich samych hamburgerów, jak i cheeseburgerów, z frytkami w torebkach, dopasowując wszystkich ludzi do jednego standardu. Dla producenta taki układ jest niewątpliwie bardzo wygodny – jednakowe artykuły, jednakowe wyposażenie i technologia przygotowania. Jakże daleka jest ta jednakowość od naturalnego sposobu odżywiania się i jednocześnie szkodliwa. Coraz więcej ludzi na całej planecie to rozumie.

Środa l6 października 2002 roku stała się oficjalnym corocznym dniem protestu przeciw McDonaldowi (Światowy Dzień Żywności ONZ) protestu przeciw popularyzowaniu odpadków w postaci jedzenia, wykorzystaniu agresywnej reklamy zorientowanej na dzieci, okrutnej eksploatacji pracowników, nieetycznemu stosunkowi do zwierząt, niszczenia otaczającego środowiska, przeciw panowaniu światowej korporacji nad życiem nas wszystkich.

McDonald's coraz powszechniej traktowany jest przez szerokie kręgi protestujących na całym świecie jak symbol nowoczesnego kapitalizmu. Wszędzie toczą się jeden za drugim procesy sądowe przeciw amerykańskim korporacjom, handlującym "jedzeniem z odpadków": McDonaldowi, Kentucky Fried Chicken (KFC), Burger King i Wendi's – w imieniu milionów nabywców, wprowadzonych w błąd przez metodyczne i nieetyczne promowanie szkodliwych dla zdrowia produktów' spożywczych i wskutek tego cierpiących na otyłość, choroby sercowe i różne inne poważne problemy ze zdrowiem. Rośnie zatroskanie, wszędzie w Europie i USA, w związku z zagrożeniem dla zdrowia ludzi, spowodowanym chorobami bydła rogatego (takimi jak na przykład choroba wściekłych krów) i wykorzystaniem genetycznie modyfikowanych pasz dla zwierząt, jak również właściwie genetycznie modyfikowanych produktów (ziemniaki, kukurydza) i ich elementów w innych artykułach (czekolada, wyroby cukiernicze).

Ale czy tylko system odżywiania się powstaje dla dogodzenia czyjejś chęci zysku? Jak wyglądają sprawy związane ze współczesnymi strukturami państwowymi?

Oto, na przykład, nowoczesne demokratyczne społeczeństwo – czy jest ono aż tak idealne dla życia ludzi? Już bardzo mnie zaciekawiło, co o tym myśli Anastazja.

– Powiedz, Anastazjo, czy jeżeli ktoś dla własnej korzyści i ze szkodą dla wielu ludzi był w stanie stworzyć system odżywiania się, to czy nie mógł także dla własnej korzyści wymyślić ustroju społecznego?

– Oczywiście mógł. Zastanów się, Władimirze: mijają stulecia, zmieniają się nazwy struktur społecznych, lecz sedno jest to samo wykorzystywanie ludzi.

– No, niezupełnie to samo. Na przykład wcześniej był ustrój niewolniczy, a teraz – demokracja. Myślę, że w demokracji wykorzystywanie ludzi jest o wiele mniejsze niż w czasach niewolnictwa.

– Jeśli chcesz, Władimirze, pokażę ci obraz z przeszłości i opowiem przypowieść.

– Chcę.

– Patrz.

DEMON KRATOS

Niewolnicy szli powoli jeden za drugim, a każdy niósł oszlifowany kamień. Czterech szeregów, każdy o długości półtora kilometra, z kamieniołomów do miejsca, gdzie zaczęto budowę miasta-twierdzy, pilnowali strażnicy. Na dziesięciu niewolników przypadał jeden uzbrojony wojownik-strażnik. Obok idących niewolników, na szczycie trzynastometrowej, zbudowanej z oszlifowanych kamieni ludzkimi rękami góry, siedział Kratos – jeden z naczelnych kapłanów; w ciągu czterech miesięcy w milczeniu obserwował to, co się działo. Nikt go nie odciągał, nikt nawet spojrzeniem nie śmiał przerwać jego rozmyślań. Niewolnicy i straże traktowali sztuczną górę z tronem na szczycie jako nieodłączną część krajobrazu. A na człowieka – to siedzącego nieruchomo na tronie, to przechadzającego się po placu na szczycie góry – już

nikt nie zwracał uwagi. Kratos postawił przed sobą zadanie: zreorganizować państwo, na tysiąclecie umocnić władzę kapłanów, podporządkować im wszystkich ludzi na Ziemi, czyniąc z nich – łącznie z władcami państw – kapłańskich niewolników.

* * *

Pewnego razu Kratos zszedł na dół, pozostawiwszy na tronie swojego sobowtóra. Kapłan zmienił odzież, zdjął perukę. Nakazał naczelnikowi straży, aby go zakuł w łańcuch jak prostego niewolnika i postawił w szeregu za młodym i silnym niewolnikiem imieniem Nard.

Wpatrując się w twarze niewolników, Kratos zauważył, że ten młody człowiek ma spojrzenie dociekliwe i krytyczne, a nie błędne lub obojętne jak wielu. Twarz Narda była to skupiona i zamyślona, to wzruszona. ..znaczy to, że nosi on w sobie jakiś swój plan – zrozumiał kapłan, lecz cbciał się przekonać, jak dalece trafna była jego obserwacja.

Przez dwa dni Kratos śledził Narda, w milczeniu taszczył kamienie, siedział przy nim w czasie posiłku i spał obok na pryczy. Trzeciej nocy, gdy tylko padła komenda "Spać!", Kratos obrócił się do młodego niewolnika i szeptem pełnym goryczy i rozpaczy wypowiedział nie wiadomo do kogo skierowane pytanie: "Czyż tak już będzie przez całą resztę życia?".

Kapłan zobaczył: młody niewolnik drgnął i natychmiast odwrócił się twarzą do niego, jego oczy błyszczały. Migotały nawet przy mdłym świetle pochodni dużego baraku.

– To nie będzie trwać długo. Ja obmyślam plan. I ty, staruszku, też możesz w nim uczestniczyć – wyszeptał młody niewolnik.

– Jaki plan? – obojętnie i z westchnieniem zapytał kapłan.

Nard gorąco i z przekonaniem zaczął objaśniać:

– I ty, staruszku i ja i my wszyscy wkrótce będziemy wolnymi ludźmi, a nie niewolnikami. Policz, staruszku: na każdych dziesięciu niewolników przypada jeden strażnik. A piętnastu niewolnic, które przygotowują pożywienie, szyją odzież, też pilnuje jeden strażnik. Jeżeli o umówionej godzinie wszyscy rzucimy się na straże, to pokonamy je. Niech strażnicy będą uzbrojeni, a my zakuci w łańcuchy. Nas dziesięciu na każdego, a łańcuchy też można wykorzystywać jak broń, podstawiając je pod uderzenie miecza. Rozbroimy wszystkich strażników, zwiążemy ich i przejmiemy broń.

– Ach, młodzieńcze – znów westchnął Kratos i na pozór obojętnie powiedział: – Twój plan jest nieprzemyślany: strażników, którzy nas obserwują, można rozbroić, lecz wkrótce władca przyśle nowych, być może nawet całą armię i zabije zbuntowanych niewolników.

– Ja i o tym pomyślałem, staruszku. Trzeba wybrać taki czas, kiedy nie będzie armii. I ten czas nadchodzi. My widzimy, jak przygotowują armię do wymarszu. Szykują prowiant na trzy miesiące drogi, a to znaczy, że za trzy miesiące armia dotrze w wyznaczone miejsce i podejmie walkę. W bitwie osłabnie, lecz zwycięży, pojmie wielu nowych niewolników. Dla nich już buduje się nowe baraki. Powinniśmy zacząć rozbrajać straż, gdy tylko armia naszego władcy rozpocznie bitwę z inną armią. Gońcy będą potrzebować miesiąca, aby dostarczyć wiadomość o konieczności natychmiastowego powrotu. Osłabiona armia będzie wracać przez co najmniej trzy miesiące. W ciągu czterech miesięcy będziemy w stanie przygotować się do spotkania. Nas będzie nie mniej niż żołnierzy w armii. Pochwyceni niewolnicy zechcą być z nami, kiedy zobaczą, co się wydarzyło. Ja wszystko zaplanowałem jak należy, staruszku.

– Tak, młodzieńcze, ty ze swym planem i ze swoimi myślami możesz strażników rozbroić i odnieść zwycięstwo nad armią – odpowiedział kapłan już nieco bardziej ożywiony i dodał: – Lecz co potem zaczną robić niewolnicy i co będzie z władcami, strażnikami i żołnierzami?

– O tym niewiele myślałem. I na razie przychodzi mi do głowy jedno: wszyscy, którzy byli niewolnikami, staną się ludźmi wolnymi. W szyscy zaś, którzy dzisiaj nie są niewolnikami, będą nimi – jakby głośno myśląc, nie do końca pewien odpowiedział Nard.

– A kapłanów? Powiedz mi młodzieńcze, kapłanów zaliczysz do niewolników czy do ludzi wolnych, kiedy zwyciężysz?

– Kapłanów? O tym też nie myślałem. Lecz teraz proponuję: niech kapłani zostaną, jak są. Słuchają ich niewolnicy, władcy. Choć trudno ich niekiedy zrozumieć, to jednak myślę, że są nieszkodliwi. Niech opowiadają o bogach, a my sami i tak wiemy, jak lepiej przeżyć swoje życie.

– Jak lepiej – to dobrze – odpowiedział kapłan i udał, że strasznie chce mu się spać.

Ale Kratos tej nocy nie spał. Rozmyślał. "Oczywiście – myślał, najprościej o spisku powiadomić władcę i schwycą młodzieńca-niewolnika, on ewidentnie był głównym inspiratorem. Lecz to nie rozwiąże problemu. Chęć oswobodzenia się zawsze w niewolnikach będzie tkwić. Pojawią się nowi przywódcy, będą opracowywać nowe plany, a skoro tak – główna groźba dla państwa zawsze będzie istnieć w jego wnętrzu".

Przed Kratosem stało zadanie: opracować plan zniewolenia całego świata. On rozumiał: nie uda się osiągnąć celu tylko za pomocą fizycznej przemocy. Niezbędne jest psychologiczne oddziaływanie na każdego człowieka, na całe narody. Trzeba transformować ludzką myśl, wmówić każdemu, że niewolnictwo jest najwyższym dobrem. Trzeba uruchomić samorzutnie rozwijający się program, który będzie dezorientować całe narody w przestrzeni, czasie i pojęciach. A co najważniejsze – w adekwatnej percepcji rzeczywistości. Myśl Kratosa pracowała coraz szybciej, przestał odczuwać ciało, ciężkie kajdany na rękach i nogach. I nagle, jak przebłysk błyskawicy, powstał program. Jeszcze nie uszczegółowiony i nie do wytłumaczenia, lecz już odczuwalny i palący ogromną skalą swego zasięgu! Kratos poczuł się samowładczym panem świata.

Kapłan leżał na pryczy zakuty w kajdany i sam się sobą zachwycał: "Jutro rano, kiedy poprowadzą wszystkich do pracy, dam umowny znak i naczelnik ochrony nakaże wyprowadzić mnie z szeregu niewolników, zdjąć kajdany. Uszczegółowię swój program, powiem kilka słów i świat zacznie się zamieniać. Niewiarygodne! Raptem kilka słów – i cały świat podporządkuje się mnie, mojej myśli. Bóg rzeczywiście dał człowiekowi siłę, która nie ma sobie równej we Wszechświecie, ta siła – to ludzka myśl. Ona tworzy słowa i zmienia bieg historii.

Sytuacja ułożyła się nadzwyczaj pomyślnie. Niewolnicy przygotowali plan powstania. Plan ten jest racjonalny i najwyraźniej może doprowadzić do pozytywnego dla nich rezultatu przejściowego. Lecz ja za pomocą zaledwie kilku zdań zmuszę nie tylko ich, lecz również potomków dzisiejszych niewolników, a i władców ziemskich do bycia niewolnikami przez nadchodzące tysiąc lat".

Rankiem na znak Kratosa naczelnik ochrony zdjął zeń kajdany. I już następnego dnia na jego plac obserwacyjny zostało zaproszonych pozostałych pięciu kapłanów i faraon. Kratos zaczął swoją mowę do zebranych:

– To, co teraz usłyszycie, nie powinno być przez nikogo zapisane ani przekazane dalej. Wokoło nas nie ma ścian i moich słów nie usłyszy nikt poza wami. Wymyśliłem sposób zamienienia wszystkich ludzi żyjących na Ziemi w niewolników naszego faraona. Nie można tego uczynić nawet przy pomocy niezliczonych wojsk i wyczerpujących wojen. Lecz ja to uczynię kilkoma zdaniami. Miną w sumie dwa dni od ich wypowiedzenia, a przekonacie się, jak świat zacznie się zmieniać. Patrzcie: na dole długie szeregi zakutych w łańcuchy niewolników niosą po jednym kamieniu. Pilnuje ich mnóstwo żołnierzy. Im więcej niewolników, tym lepiej dla państwa – tak zawsze uważaliśmy. Ale im więcej niewolników, tym bardziej trzeba obawiać się ich buntu. Wzmacniamy straże. Musimy dobrze karmić swoich niewolników, bo inaczej nie będą mogli wykonywać ciężkiej fizycznej pracy. Lecz oni tak czy inaczej są leniwi i skłonni do buntu. Patrzcie, jak wolno się poruszają się, a rozleniwiona straż nie popędza ich kańczugami i nie bije nawet zdrowych i silnych niewolników. Ale oni zaczną się poruszać o wiele szybciej. I nie będzie im potrzebna straż. Strażnicy też staną się niewolnikami. Dokonać czegoś podobnego można w następujący sposób. Niech dzisiaj przed zachodem heroldowie rozniosą dekret faraona, w którym będzie powiedziane:

"Z nastaniem świtu nowego dnia wszystkich niewolnikom darowana zostaje całkowita wolność. Za każdy kamień dostarczony do miasta wolny człowiek będzie otrzymywać jedną monetę. Monety można zamienić na jedzenie, odzież, mieszkanie, pałac w mieście czy samo miasto. Odtąd jesteście wolnymi ludźmi".

Kiedy kapłani uświadomili sobie, co mówi Kratos, jeden z nich, najstarszy wiekiem, powiedział:

– Jesteś demonem, Kratosie. To, co jest twoim zamysłem, spowije demonizmem mnóstwo ziemskich narodów.

– Niech będę demonem, a to, co jest moim zamysłem, niech ludzie w przyszłości demokracją nazywają.

* * *

Dekret został niewolnikom ogłoszony o zachodzie, wprawiło ich to w zdumienie, a wielu nie spało

w nocy, obmyślając nowe, szczęśliwe życie.

Rankiem następnego dnia kapłani i faraon ponownie weszli na plac na szczycie sztucznej góry. Obraz, który pojawił się przed ich oczyma, poruszał wyobraźnię. Tysiące ludzi, byłych niewolników, na wyścigi ciągnęły te same kamienie, co wcześniej. Zalewając się potem, wielu .,," niosło po dwa kamiene. Inni, którzy mieli po jednym, biegli, zostawiając za sobą unoszący się kurz. Niektórzy strażnicy też ciągnęli kamienie. Ludzie, którzy uważali siebie za wolnych – wszak zdjęto z nich kajdany – dążyli do zdobycia jak największej ilości upragnionych monet, aby zbudować swoje szczęśliwe życie.

Kratos jeszcze kilka miesięcy spędził na swoim placu, z satysfakcją obserwując to, co się dzieje na dole. A zmiany były kolosalne. Część niewolników połączyła się w niewielkie grupy, zbudowała wózki i naładowawszy kamieniami do samej góry, pchała je, oblewając się potem.

"Oni wymyślą jeszcze wiele urządzeń – z satysfakcją myślał po cichu Kratos – ot i już usługi wewnętrzne się pojawiły: roznosiciele wody i pożywienia. Niektórzy niewolnicy jedli wprost w biegu, nie chcąc tracić czasu na drogę do baraku, aby spożyć posiłek i płacili przynoszącym otrzymywanymi monetami. Wiadomo, że i lekarze pojawili się wśród nich: w biegu wręcz udzielając pomocy poszkodowanym i też za monety. Wybrano też kierujących ruchem. Wkrótce wybiorą sobie naczelników, sędziów. Niech wybierają: oni przecież będą się uważać za wolnych, a istota rzeczy nie uległa zmianie, oni jak dawniej targają kamienie... .

I pędzą tak przez tysiąclecia – w tumanach kurzu, oblewając się potem, taszcząc ciężkie kamienie. Także i dzisiaj potomkowie tych niewolników wciąż tak gnają bez sensu. . .

* * *

– Pewnie masz na myśli prostych robotników, Anastazjo? Chyba można się z tym zgodzić. Ale do kategorii niewolników nie można zaliczyć kierowników przedsiębiorstw, urzędników, przedsiębiorców.

– Widzisz między nimi różnicę, Władimirze, więc określ, na czym ona polega?

– Na tym, że jedni pracują, taszczą kamienie jak niewolnicy. Inni kierują taszczeniem, a współcześnie – procesem produkcyjnym.

– Ale kierowanie przecież też jest pracą i to częstokroć bardziej skomplikowaną niż przenoszenie przez niewolnika kamieni.

– Ogólnie – tak, przedsiębiorcy muszą myśleć nieco więcej. Ich myśl jest zajęta pracą od rana do wieczora. Co w takim razie z faraonem, prezydentem i kanclerzem – to oni też niewolnicy?

– Owszem, tak. Niewolnikami stali się również kapłani, którzy dokonali tych fatalnych czynów.

– Lecz jeżeli są niewolnicy, powinni byli też być panowie niewolników. Kim są, skoro nawet kapłanów do nich nie zaliczasz?

– Władcą niewolników jest sztuczny świat stworzony przez ludzi. Strażnicy zaś siedzą u większości ludzi wewnątrz i chłoszczą ich kańczugami, zmuszając do zarabiania monet.

– Obraz żałosny i bez wyjścia – na to wygląda. W ciągu minionych tysiącleci powstawały i ginęły całe imperia, zmieniały się religie, prawa, a w rzeczy samej nic się nie zmieniło: człowiek tak jak był niewolnikiem, tak i nim pozostał. Czyżby takiej sytuacji nie można było naprawić?

– Można.

– Jak? I kto jest zdolny to zrobić?

– Obraz. – Co to znaczy "obraz"? Jaki?

– Taki obraz, który będzie przedstawiał inną sytuację. Sam pomyśl, Władimirze, ci ludzie, którzy za pośrednictwem pieniędzy rządzą dzisiaj światem, uważają, że szczęście człowiekowi może dać tylko władza i pieniądze. I większość ludzi, starających się zarabiać monety, utwierdza ich w tym przekonaniu. Jednak często, bardzo często zwycięzcy bezsensownego wyścigu cierpią. Zdobywają iluzoryczne szczyty i wyraźniej niż inni odczuwają cały bezsens swojego życia. Pokażę ci obrazek z przyszłości, a ty go opisz, niech stanie się rzeczywistością.

MILIARDER

Miliarder John Heitzman umierał na czterdziestym pierwszym piętrze swojego biurowca. Całe piętro było urządzone jako jego apartamenty. Dwie sypialnie, sala gimnastyczna, basen, pokój gościnny, dwa gabinety do pracy stały się jego przystanią na ostatnie trzy lata. W tym czasie ani razu nie opuścił

swoich apartamentów. Ani razu nie zjechał ekspresową windą do jednego z pomieszczeń, gdzie pracowali pracownicy jego finansowo-przemysłowego imperium. Ani razu nie wszedł na dach, gdzie stał jego helikopter, a załoga nieustannie czuwała w pogotowiu, gotowa spełnić polecenia gospodarza – gospodarz jednak przez ostatnie trzy lata nie pojawił się ani razu.

John Heitzman trzy razy w tygodniu przyjmował w jednym ze swoich roboczych gabinetów tylko czterech najbliższych asystentów. Na krótkich, trwających nie dłużej niż czterdzieści minut naradach bez szczególnego zainteresowania wysłuchiwał ich referatów, czasem dawał krótkie wskazówki. Zarządzenia miliardera nie podlegały dyskusji, wykonywane były bezwzględnie i szybko. Finansowy stan imperium, którego jedynowładcą był John Heitzman, powiększało się rokrocznie o l6,5 procent. A przez ostatnie pół roku, kiedy Heitzman całkiem zaprzestał nawet przeprowadzania jakichkolwiek narad, zysk się nie zmniejszał. Stworzony przez niego i pozostawiony mechanizm zarządzania działał bez zarzutu.

Nikt nie wiedział o faktycznym stanie majątku miliardera. Jego nazwiska prawie nie wspominano w prasie. Heitzman ściśle przestrzegał zasady: "O pieniądzach się nie mówi".

Jeszcze ojciec pouczał młodego Heitzmana: "Niech ci parweniusze od polityki przemykają na ekranach telewizorów i na łamach prasy. Niech prezydenci i gubernatorzy rozmawiają z narodem, dając zapewnienia szczęśliwego życia. Niech znani miliarderzy jeżdżą limuzyną w towarzystwie ochrony. Ty, Johnny, tego wszystkiego robić nie powinieneś. Winieneś zawsze być w cieniu i za pomocą swojej władzy, władzy pieniędzy, sterować rządami i prezydentami, miliarderami i ubogimi różnych krajów. Ale oni nie powinni się domyślać, kto nimi kieruje.

Schemat jest prosty do granic możliwości. To ja stworzyłem fundusz walutowy, do którego należy wielu właścicieli oszczędności. W rzeczywistości pod różnymi nazwiskami znajduje się tam siedemdziesiąt procent mojego kapitału. Na zewnątrz, dla tępego tłumu, fundusz został stworzony dla wspierania krajów rozwijających się. Faktycznie zaś stworzyłem go jako mechanizm gromadzenia daniny z wszystkich krajów.

Oto przykład. Zaczyna się konflikt zbrojny między dwoma krajami. Jednemu z nich, a częściej obydwu, potrzebne są pieniądze. Niech biorą, oddawać będą z procentami. W jakimś kraju mają miejsce wstrząsy społeczne i znów potrzebne są pieniądze – niech biorą, oddawać będą z procentami. Dwie siły polityczne wkraczają w konflikt o władzę, jedna z nich otrzyma za pośrednictwem naszych agentów pieniądze i znów oddawać będą z procentami. Sama tylko Rosja płaci nam rokrocznie trzy miliardy dolarów".

Dwudziestoletni John Heitzman szczególnie lubił kontakt z ojcem. Pewnego razu ojciec, wcześniej zawsze srogi i mało komunikatywny, zawołał go do swojego gabinetu, kazał się usadowić w fotelu przy kominku, sam nalał do filiżanki ulubionej przez Johna kawy ze śmietanką i z prawdziwym zainteresowaniem zapytał:

– Czy podoba ci się studiowanie na uniwersytecie, John?

– Nie zawsze jest dla mnie interesujące, tato. Wydaje mi się, że profesorowie niezupełnie jasno i zrozumiale objaśniają prawa ekonomiiszczerze odpowiedział John.

– Dobrze. Dokładnie to określiłeś. Lecz dokładniej można powiedzieć tak: nowoczesna profesura nie może objaśnić praw ekonomii, ponieważ nie ma o nich pojęcia. Oni uważają, jakoby ekonomia była udziałem ekonomistów. Ale tak nie jest. Światową ekonomią kierują psychologowie, filozofowie i gracze.

Kiedy skończyłem dwadzieścia lat, mój ojciec, a twój dziadek, John, wprowadził mnie w tajniki procesu zarządzania. Ty też już masz dwadzieścia lat, John i uważam, że jesteś godny przekazania tej wiedzy.

– Dziękuję, ojcze – odpowiedział John. W taki oto sposób poprzez rozmowy przy kominku zaczęła się nauka innych niż na uniwersytecie praw ekonomii. Ojciec uczył swojego syna osobliwą metodą. Cała nauka opierała się na poufnych rozmowach, w atmosferze życzliwości, z przykładami i elementami zabawy. Wiedza, którą odkrywał przed Johnem ojciec, była niewiarygodna i oczywiście na żadnym, nawet najbardziej prestiżowym uniwersytecie świata nie sposób ją było uzyskać.

– Powiedz, John – pytał ojciec – wiadomo tobie ilu bogatych ludzi jest w naszym kraju? Albo na świecie?

– Ich nazwiska, w kolejności uzależnionej od wielkości majątku, publikowane są w czasopismach biznesowych – spokojnie odpowiedział John.

– A zatem na którym my jesteśmy miejscu w tych spisach?

Po raz pierwszy ojciec nie powiedział "ja", lecz "my". Oznacza to, że będzie już uważać Johna także za właściciela. John, chociaż nie chciał martwić ojca, jednak odpowiedział:

– Twojego nazwiska, ojcze, nie ma w tych spisach.

– Tak. Masz rację. Nie ma. Chociaż suma naszego tylko rocznego zysku przewyższa cały majątek wielu spośród figurujących w tym spisie. A nazwiska nie ma dlatego, że portfela nie wolno czynić przezroczystym. Wiele osób figurujących w tym spisie pracuje bezpośrednio bądź pośrednio na nasze imperium, na twoje i moje, synku.

– Tato, ty z pewnością jesteś geniuszem ekonomii. Nawet w głowie się nie mieści, jak można było bez jakiejkolwiek zbrojnej ingerencji zmusić takie ogromne, imperium do rokrocznego płacenia nam daniny? Udało ci się opracować tak wspaniałą ekonomiczną operację.

Heitzman starszy wziął szczypce kominkowe, poruszył polana, potem w milczeniu nalał do kieliszka sobie i synowi lekkiego wina. Upił mały łyk i dopiero po tym zaczął mówić:

– Ja nie opracowywałem w ogóle żadnej operacji. Kapitał, który kontroluję, pozwala tylko nakazywać – wykonują inni. Wielu analityków, geniuszy rządów różnych krajów i prezydentów byłoby wielce zadziwionych, dowiedziawszy się, że obecna sytuacja ich krajów zależy nie od ich działalności, ale od mojego życzenia.

Centra kształtowania wizerunku politycznego instytuty ekonomii instytuty analityczne, struktury rządowe wielu krajów nie zdają sobie sprawy, że pracują ściśle w kierunkach opracowanych przez niewielkie pod względem liczebności wydziały. Na przykład cała polityka społeczno-gospodarcza, doktryna wojskowa Rosji jest określona i kontrolowana przez jeden wydział, składający się z czterech psychologów. Każdy z nich ma po czterech sekretarzy. Żaden z nich nie wie o działalności pozostałych.

Pokażę ci, jak przebiega zarządzanie, a jest ono dosyć proste. Ale na początku, John, powinieneś zrozumieć prawdziwe prawa ekonomii, o których nie powie ci nigdy uniwersytecka profesura. Ona po prostu nie wie o ich istnieniu. Prawo jest takie: w warunkach społeczeństwa demokratycznego prezydenci, rządy, banki, wielcy i drobni przedsiębiorcy wszystkich krajów pracują tylko na jednego przedsiębiorcę, który stoi na szczycie ekonomicznej piramidy. Oni pracowali na mojego ojca, teraz pracują na mnie i wkrótce będą pracować tylko na ciebie.

John Heitzman patrzył na swojego ojca i nie mógł do końca uświadomić sobie tego, co on powiedział. Owszem, wiedział, że jego ojciec jest bogaty. Lecz w danym wypadku mowa była nie o zwyczajnym bogactwie, ale o superwładzy, którą on, John, winien otrzymać w spadku.

Fantastyczną informację ciężko było sobie do końca uświadomić. W jaki sposób w wolnym demokratycznym społeczeństwie faktycznie wszyscy, począwszy od prezydenta, a skończywszy na setkach tysięcy wielkich i drobnych firm, stanowiących samodzielne osoby prawne, faktycznie pracują tylko na jednego człowieka, na jego ojca?

– Kiedy usłyszałem od twojego dziadka to, co teraz zakomunikowałem tobie, nie mogłem od razu uświadomić sobie tego, co zostało powiedziane, myślę że i da ciebie nie wszystko jest zrozumiałe, John. Jednak zrozum rzecz następującą – mówił dalej Heitzman senior. – Na świecie są bogaci ludzie. Lecz na każdego bogatego przypada jeszcze bogatszy. I jest jeden najbogatszy. Na niego, na najbogatszego, pracują wszyscy pozostali bogaci, a więc i wszyscy, którzy im podlegają. Takie jest prawo systemu, w której żyjemy.

Wszelkie gadanie o bezinteresownej pomocy dla krajów rozwijających się – to całkowity blef. Tak, bogate kraje udzielają kredytów poprzez fundusze międzynarodowe krajom rozwijającym się, lecz udzielają ich w rzeczywistości tylko dlatego, by otrzymać od nich solidne procenty za korzystanie z kredytu – otrzymać daninę.

Na przykład Rosja płaci trzy miliardy dolarów rocznie Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu (MFW) i ta suma – to tylko procenty za zaciągnięty przez Rosję kredyt. Wielu ekonomistów wie: podstawowe finanse MFW składają się z kapitałów USA. Dla nich jest zrozumiałe, że złodziejskie procenty za korzystanie z kredytu odprowadzane są do USA. A do kogo konkretnie – tego nie wie nikt. Stany Zjednoczone jako kraj – to tylko wygodny parawan w rozgrywce kapitałów, a są one najbardziej zależne właśnie od kapitałów. Powiedz, John, czy tobie wiadomo, że Ameryka ma państwowe zadłużenie?

– Tak, tato, wiadomo. Kwota zadłużenia jest astronomiczna. Stanowiła ona za zeszły rok. .. Procenty, wypłacane od zadłużenia stanowiły. . .

– Więc wiadomo tobie, że kraj, który pożycza innym krajom, sam bierze ogromne pożyczki? Lecz od kogo je bierze? Czy to jest dla ciebie jasne?

– Od własnego Banku Centralnego?

– A do kogo on należy, ten Bank Centralny?

– On... On...

John nigdy się nie zastanawiał, czyim dłużnikiem jest Ameryka, lecz odpowiadając na pytania ojca, zrozumiał: w USA każdy podatnik płaci Bankowi Centralnemu. Lecz on... On – Bank Centralny USA jest prywatnym bankiem. A więc cała Ameryka płaci setki miliardów dolarów jakimś osobom prywatnym... lub jednej osobie...

Heitzman w swoim życiu raczej o siebie dbał. Prowadził, jak to mówią, zdrowy tryb życia, nie pił, nie palił, przestrzegał zdrowotnych diet, codziennie ćwiczył na sali gimnastycznej. Dopiero w ciągu ostatniego pół roku przestał odwiedzać salę gimnastyczną. Pół roku leżał w łóżku w jednej ze swoich przestronnych sypialni, naszpikowanej ultranowoczesną aparaturą medyczną. W sąsiednim pokoju przez całą dobę dyżurowali na zmianę lekarze. Lecz John Heitzman nie ufał nowoczesnej nauce medycznej. Nie widział potrzeby chociażby rozmawiania z lekarzami. Tylko jednego profesora psychologii czasem raczył krótkimi odpowiedziami. Nie interesowały go nazwiska lekarzy, w tym również tego profesora, ale w myśli zauważył, że jest on najbardziej szczery i uczciwy. Profesor mówił wiele, lecz często w jego głosie rozbrzmiewały nie tylko stwierdzenia medyczne, ale także rozważania i chęć znalezienia przyczyny choroby. Pewnego razu przyszedł nieco podniecony i już na progu powiedział:

– Myślałem o pańskim stanie dzisiejszej nocy i przez cały ranek. Wydaje mi się, że odgadnę przyczynę pańskiej choroby, a dalej, po zlikwidowaniu przyczyny, można mówić o jak najszybszym wyzdrowieniu. Oj, proszę wybaczyć, panie Heitzman, zapomniałem nawet się przywitać. Dzień dobry, panie Heitzman. Jakoś tak zająłem się swoimi spostrzeżeniami.

Miliarder nie odpowiedział na pozdrowienie profesora, nie obrócił się w jego stronę – tak traktował każdego lekarza. A czasem lekarzowi, który właśnie wszedł, dawał znak, z lekka poruszywszy dłonią i wszyscy wiedzieli – ten gest oznaczał "oddalcie się".

Profesorowi nie dał takiego znaku i dlatego profesor, lekko poruszony, prowadził dalej swoje rozważania:

– Nie zgadzam się z kolegami co do konieczności przeszczepiania panu wątroby, nerek i serca. Owszem, teraz te organy funkcjonują u pana nie dość efektywnie. Ta-ak. Niewystarczająco! To fakt. Lecz przeszczepione organy także nie będą funkcjonować dość efektywnie. Przyczyna ich nieefektywności kryje się w pańskiej najgłębszej depresji. Ta-ak, w depresji. Kilkakrotnie podczytywałem historię obserwacji medycznych pana osoby. I wydaje mi się, że dokonałem najpoważniejszego odkrycia. Pański lekarz prowadzący, po prostu zuch, zapisywał wszystko w sposób najbardziej szczegółowy. Za każdym razem podkreślał pański stan psychiczny. Funkcjonalność pańskich wewnętrznych organów pogarszała się, gdy tylko pogrążał się pan w stanie depresyjnym. Ta-ak. Stan... Teraz pytanie zasadnicze: czy depresję wywołują zaburzenia w pracy wewnętrznych organów, czy przeciwnie – to właśnie depresja wywołuje zaburzenia w funkcjonowaniu organów całego organizmu? Przekonałem się! Jestem absolutnie pewien, że praprzyczyną jest depresja. Ta-ak. Pańska najgłębsza depresja. Stan, w którym człowiek przestaje dążyć do jakiegoś celu, traci zainteresowanie dziejącymi się wydarzeniami, nie widzi sensu istnienia. I wówczas mózg zaczyna dawać opieszałe lub nie całkiem stanowcze polecenia całemu organizmowi. Całemu! Im silniejsza depresja, tym słabsze polecenia, a na określonym poziomie depresji mózg w ogóle może przestać wydawać te polecenia i wtedy następuje śmierć.

Więc, praprzyczyna – to depresja, a nowoczesna medycyna nie wie, jak ją zlikwidować całkowicie. Sięgnąłem do medycyny ludowej. I teraz jestem przekonany, że przyczyną pańskiej głębokiej depresji jest złe oko. Ta-ak. Mówiąc jeszcze dokładniej, spojrzano na pana złym okiem, a ja jestem gotów to udowodnić na podstawie mnóstwa faktów.

Miliarder chciał uczynić ręką znak "oddalcie się". Nie lubił wszelkich nowoczesnych uzdrowicieli-ezoteryków obiecujących zdjąć urok, złe oko, zrobić ochronę, uważał ich za drobnych biznesmenów albo oszustów. Podobnie profesor z powodu bezsilności nowoczesnej medycyny też się stoczył do tej kategorii tak zwanych uzdrowicieli. Miliarder nie zdążył uczynić znaku "oddalcie się". Profesor uprzedził go słowami, które wywołały w nim chociaż tylko ospałe, jednakże mimo wszystko zainteresowanie:

– Czuję, że pan jest teraz gotów mnie odprawić, być może, na zawsze. Proszę. Błagam, proszę dać

mi jeszcze pięć, sześć minut. Kiedy zrozumie pan to, co powiem, być może będzie pan w stanie wyzdrowieć, a ja dokonam największego odkrycia. Dokładniej, już go dokonałem, muszę tylko ostatecznie się w nim utwierdzić.

Miliarder nie uczynił ręką znaku "oddalcie się".

Profesor przez trzy sekundy bez mrugnięcia powieką wpatrywał się w rękę leżącego bez ruchu człowieka, a zrozumiawszy, że wolno mu mówić dalej, znów szybko przemówił:

– Ludzie w różny sposób patrzą na siebie nawzajem. Z obojętnością, z miłością, nienawiścią, zawiścią, strachem, szacunkiem. Lecz nie zewnętrzny wyraz oczu odgrywa tu główną rolę. Zewnętrzne może być tylko zwykłą maską, tak jak fałszywy uśmiech kelnera lub sprzedawcy. Ważne są prawdziwe relacje, prawdziwe uczucia jednego człowieka w stosunku do innego. Im więcej pozytywnych emocji ludzie kierują do tego czy innego człowieka, tym więcej się w nim koncentruje pozytywnej energii. I na odwrót, jeżeli w otoczeniu przeważają negatywne emocje wobec człowieka, to w nim gromadzi się to, co negatywne, niszczące.

Prosty lud nazywa to złym okiem, a na tym zjawisku budują swoją działalność znachorzy. Bynajmniej nie wszyscy z nich to szarlatani. Cała rzecz polega na tym, że człowiek, który otrzymał od otoczenia zbyt wiele, negatywnej energii, może też sam ją zneutralizować lub innymi słowy, zrównoważyć. Znachor, mówiąc człowiekowi, że za pomocą jakichś działań zdejmuje złe oko, pomaga mu uwierzyć, że jest on oczyszczony. Jeżeli człowiek wierzy znachorowi, w rzeczywistości on sam równoważy w sobie to, co pozytywne i negatywne. Jeżeli nie wierzy, coś takiego nie ma miejsca. Pan nie wierzy znachorom, a więc oni panu nie pomogą. Lecz to nie oznacza, że w panu nie ma nadmiaru negatywnej, niszczącej dla pańskiego organizmu i psychiki energii. Dlaczego negatywnej? Otóż dlatego, że na człowieka w pańskiej sytuacji całe otoczenie może patrzeć tylko z zawiścią i to ogromną. Jeszcze mogą nie tylko patrzeć, ale i traktować pana z nienawiścią. To ci, których pan zwolnił lub nie podwyższał im pensji. Wielu, odczuwając pańską potęgę, odnosi się do pana ze strachem. Jak pan widzi, wszystko to jest negatywną energią. Dla jej przeciwwagi niezbędna jest energia pozytywna. Mogą jej dostarczać członkowie rodziny, krewni, lecz żony pana zdradziły, nie ma pan dzieci ani przyjaciół, z krewnymi nie utrzymuje pan kontaktów. Źródeł pozytywnej energii wokół pana brak. Pozytywną energię i to w wystarczającej ilości, może człowiek wytwarzać sobie sam. Lecz w tym celu musi mieć najskrytszy, najgłębszy cel-marzenie, którego osiąganie etapami będzie budziło pozytywne emocje. Osiągnął pan wiele, więc teraz marzenia-celu prawdopodobnie pan nie posiada.

A to jest bardzo ważne – mieć cel, dążyć do jego osiągnięcia. Przeanalizowałem stan fizyczny i psychiczny biznesmenów różnego stopnia. Człowiek, który zamiesił ciasto, upiekł ciasteczka i następnie je sprzedał, zadowolony jest, że zyskał możliwości nabycia niezbędnego mu towaru i marzy o rozwoju swojego interesu. Przecież tylko wraz z rozwojem otrzymuje mnóstwo dóbr cywilizacji. Potężny bankier lub właściciel intratnego koncernu także dąży do rozwoju swojego biznesu, do powiększenia dochodu, ale często z mniejszym entuzjazmem niż sprzedawca lub producent ciasteczek. To paradoksalne, lecz takie są fakty z mniejszym. Z mniejszym entuzjazmem, ponieważ ma przed sobą znacznie mniej wabiących dóbr niż sprzedawca ciasteczek. Większość osiągnięć cywilizacji nie jest dla niego czymś szczególnym, ale codziennością. Jeżeli przed niezbyt bogatym człowiekiem pojawia się możliwość kupna samochodu, to zakup wywoła w nim uczucie satysfakcji lub nawet zachwytu. Względnie bogaty człowiek nie będzie się cieszył supernowoczesnym samochodem. Dla niego to drobiazg. Paradoksalnie to fakt, że bogaci ludzie mają mniej powodów do radości niż mniej bogaci. Jest jeszcze jeden czynnik, przynoszący satysfakcję – zwycięstwo nad konkurentem. Ale pan, panie Heitzman, raczej konkurentów nie ma.

Tak więc oddziaływają na pana wyłącznie negatywne energie, a jest ich wiele. Tak, jeszcze zapomniałem powiedzieć, że całe mnóstwo negatywnych energii może pokonać tylko jedna, ale silna, nieprawdopodobnie silna energia, która nazywa się "energią miłości". To ma miejsce wówczas, kiedy jest pan zakochany i gdy pana ktoś kocha. Ale, niestety, pan wcale nie ma kobiety, tak więc raczej pana to nie interesuje, a w pańskim wieku i stanie interesować już nie będzie.

Wiele potwierdza moje konkluzje. Zestawiłem dane statystyczne o długości życia bogatych ludzi, wielkich polityków i prezydentów z ostatnich stu lat. Wniosek okazał się stosunkowo przekonujący. Długość życia wielkich tego świata nie jest zbyt duża w porównaniu ze zwykłymi śmiertelnikami, a często jest mniejsza.

Paradoksalnie, lecz fakt pozostaje faktem. Prezydenci i milionerzy, znajdując się pod stałą medycz-

ną obserwacją, mając możliwość korzystania z najnowocześniejszych technicznych urządzeń i lekarstw, mając możliwość odżywiania się wyłącznie wysokogatunkowym pokarmem, chorują i umierają tak samo, jak inni. Te fakty wyraźnie świadczą o tym, że negatywna energia otoczenia ma kolosalną siłę i żadna, nawet ultranowoczesna medycyna nie jest w stanie się jej przeciwstawiać.

Cóż, okazuje się, że sytuacja bez wyjścia? Wyjście jest, niech no tylko maleńkie, jedyne, lecz jest! Ta-ak. Jest. Wspomnienia! Szanowny Johnie Heitzman, proszę spróbować przypomnieć sobie etapy swojego życia. Te etapy, które przyniosły panu przyjemne doznania.

I rzecz najważniejsza: jeżeli dawał pan komuś poważne obietnice i nie spełnił ich – proszę się postarać, jeżeli to możliwe, je spełnić. Bardzo pana proszę ze względu na siebie, ze względu na naukę, proszę spróbować chociaż przez dwa, trzy dni przypominać sobie to, co było dobre.

Aparatura rejestruje pracę wielu pańskich organów, zapisuje stan co minutę. Jeżeli zacznie pan czynić to, o co pana proszę i jeśli urządzenia zaczną pokazywać pozytywne rezultaty, pojawi się szansa na znalezienie drogi do wyzdrowienia. Ta-ak. Znalezienie! Ja muszę ją znaleźć. A możliwe, że i pan ją znajdzie. Albo ona sama... Życie ją znajdzie. Profesor zamilknął i znów zaczął się wpatrywać w rękę leżącego bez ruchu człowieka. Po sekundzie charakterystyczny gest zmusił profesora do oddalenia się.

* * *

John Heitzman, tak jak wielu ludzi, przypominał sobie to, co przeżył. W pewnym stopniu słowa profesora były dlań zrozumiałe. Można spróbować znaleźć dobre chwile z minionego życia i możliwe, że przejawią one pozytywne oddziaływanie, ale problem polegał właśnie na tym iż wszystko, co przeżył, wydawało się teraz nie tyle przyjemne ile nieciekawe i nawet bezsensowne.

Przypominał sobie, jak ożenił się za radą ojca z córką miliardera, pomnażając w ten sposób kapitał imperium. Ślub nie przyniósł mu satysfakcji, żona okazała się bezpłodna, a po dziesięciu latach wspólnego życia umarła z przedawkowania narkotyków. Potem ożenił się ze znaną młodą modelką, która sprawiała wrażenie namiętnie zakochanej żony, ale po raptem pół roku wspólnego życia ochrona położyła przed nim fotografie, na których jego żona zabawiała się ze swoim dawnym kochankiem. Nawet nie podjął tematu, tylko po prostu kazał ochronie uczynić tak, aby nigdy więcej nie znalazła się w zasięgu jego wzroku i aby w żaden sposób o niej nie przypominano.

Heitzman doszedł we wspomnieniach do początku swojej działalności w imperium ojca i nie był w stanie wyodrębnić ani jednej przyjemnej chwili, na której chciałoby się zatrzymać swoje wspomnienia i zyskać pozytywne emocje.

Był tylko jeden taki przyjemny moment. Kiedy udowodnił ojcu, że nie ma konieczności stawać się jedynowładczym posiadaczem funduszu walutowego. Inni właściciele oszczędności, udzielający swoich kapitałów funduszowi i pragnący ich pomnożenia, będą wydatkować swoją energię myśli na powiększenie całego kapitału funduszu, a to oznacza: pracować na nich, na Heitzmanów.

Ojciec kilka dni rozmyślał i pewnego razu przy obiedzie, oszczędny zwykle w pochwałach, powiedział:

– Zgadzam się z twoją propozycją, John, odnośnie do funduszu. Słusznie. Zuch jesteś. Przemyśl również inne kierunki. Pora, abyś stanął u steru.

Przez kilka dni John trwał w stanie uniesienia. W konsekwencji podjął jeszcze kilka decyzji i powiększył zysk imperium finansowo-przemysłowego. Ale nie doznał już szczególnej radości.

Sprawozdania z większymi niż wcześniej cyframi zysku były beznamiętne. Więcej pochwał nie miał mu kto udzielić. Ojciec umarł, a pochwała podwładnych radości nie daje.

Tak John Heitzman doszedł w swoich wspomnieniach do okresu dzieciństwa. Myśl mdło oświetlała epizody rzadkich kontaktów z ojcem. Z reguły srogi ojciec udzielał pouczeń w obecności przydzielonych Johnowi nianiek i nauczycieli.

I nagle przez ciało leżącego bez ruchu miliardera przebiegło dosłownie jakby falą, ciepło. Ciało drgnęło w przyjemnym doznaniu. We wspomnieniach Heitzmanr pojawił się jaskrawy i bardzo jasny obrazek. Daleki zakątek ogrodu i osłonięty niedużą, wysoką na metr lub dwa akacją domek z jednym okienkiem.

Do końca nie pojęte jest zamiłowanie prawie wszystkich dzieci do urządzenia swojego małego domku, swojej przestrzeni. Ta przemożna potrzeba nie zależy od tego, czy dziecko ma w rodzinnym domu swój osobny pokój lub mieszka w jednym pokoju z rodzicami. Zawsze i prawie u wszystkich następuje

okres, w którym zaczyna się własnoręczna budowa swojego kącika. Widocznie jest w człowieku gen, przechowujący pewną najdawniejszą informację i mówiący mu: "Powinieneś sam urządzić swoją przestrzeń". Człowiek, dziecko podąża za głosem, pochodzącym z otchłani wieczności, zaczyna ją budować. I niech to, co zbuduje, będzie niedoskonałe w porównaniu z apartamentami nowoczesnego świata – wszystko jedno, dzieje się tak, że ten zbudowany samodzielnie, budzi w człowieku odczucia o wiele bardziej błogie niż ekskluzywne apartamenty.

I dziewięcioletni John Heitzman, mając do swojej osobistej dyspozycji dwa przestronne pokoje w willi, mimo wszystko zdecydował się zbudować własnymi rękoma swój mały domek.

Zbudował go z plastikowych skrzynek po rozsadach. Te skrzynki okazały się praktycznym materiałem budowlanym. Były różnokolorowe i John wyłożył ściany ciemnoniebieskimi skrzynkami, a z żółtych zrobił na całym obwodzie obramowanie. Skrzynki wstawiał jedna w drugą, a one wchodziły w szczeliny, łącząc się ze sobą. Jedną ściankę Johnny złożył, stawiając skrzynki jedna na drugiej bocznymi ściankami, tak by dno skrzynki wychodziło na zewnątrz, a wewnątrz w całej ścianie było mnóstwo półek. Do zamknięcia domku wykorzystał deski, które pokrył następnie polietylenową folią, przymocowując ją do desek zszywaczem.

Budował swój domek cały tydzień, wykorzystując na to trzy godziny dziennie, przydzielone mu na spacery po świeżym powietrzu. Siódmego dnia, gdy tylko nastał czas spaceru, Johnny od razu skierował się do swojego dzieła w dalekim zakątku ogrodu. Rozsunąwszy gałęzie akacji, zobaczył zbudowany przez siebie domek i zamarł z zaskoczenia. Przy wejściu do domku stała mała dziewczynka i zaglądała do wnętrza jego dzieła. Dziewczynka była w jasnoniebieskiej spódniczce za kolana i białej bluzeczce z falbankami na rękawach. Kasztanowe włosy rozsypywały się kędziorkami na jej ramionach. Johnny z początku ostro zareagował na obecność kogoś obcego przy jego dziele i niezadowolonym tonem zapytał:

– A ty co tu robisz?

Dziewczynka odwróciła w stronę Johnny' ego swoją ładną twarzyczkę i odpowiedziała:

– Delektuję się.

– Czym?

– Tym cudownym i mądrym domkiem.

– Jakim, jakim? – spytał ponownie zdumiony Johnny.

– Cudownym i mądrym – powtórzyła dziewczynka.

– Domy mogą być cudowne, lecz żeby mądre – nie słyszałem. Mądrzy mogą być tylko ludzie – z głębokim sensem zauważył Johnny.

– Tak, oczywiście, mądrzy mogą być ludzie. Ale kiedy mądry człowiek robi domek, to i domek wychodzi też mądry – zaoponowała dziewczynka.

– A co widzisz mądrego w tym domku?

– Bardzo mądra ścianka wewnątrz. Na niej jest wiele, wiele półeczek. Na półeczkach można ustawić wiele potrzebnych rzeczy i zabawek.

Spodobały się Johnny'emu spostrzeżenia dziewczynki, pochlebiały mu, a może i dziewczynka mu się spodobała.

"Śliczna i mądrze myśli" – zauważył po cichu Johnny. A głośno powiedział:

– Ten domek ja zbudowałem. I z miejsca zapytał:

– A jak masz na imię?

– Ja jestem Sally, mam siedem lat. Mieszkam tu w domu dla służby, ponieważ mój tata tu pracuje jako ogrodnik. On dużo wie o roślinach i uczy mnie. Wiem już też, jak hodować kwiaty i szczepić do drzewek gałązki. A jak ty masz na imię i gdzie mieszkasz?

– Mieszkam w willi. Mam na imię Johnny.

– To znaczy, że jesteś synem właściciela?

– Synem.

– Chodźmy więc, Johnny, razem bawić się w domku.

– Jak się bawić?

– Bawić się tak, jakbyśmy mieszkali w domku, tak jak mieszkają dorośli. Ty będziesz gospodarzem, skoro jesteś synem właściciela, a ja twoją służącą, skoro mój tata jest służącym.

– Tak nie da rady – zauważył Johnny – służąca powinna mieszkać w domku dla służby, w willi mo-

gą mieszkać tylko mąż, żona i ich dzieci.

– W takim razie będę twoją żoną – wypaliła Sally i zapytała:Mogę pobyć twoją żoną, Johnny?

Johnny nic nie odpowiedział, wszedł do domku, rozejrzał się, potem odwrócił w stronę stojącej u wejścia Sally i od niechcenia powiedział:

– No dobrze, wejdź, jakbyś była żoną. Trzeba pomyśleć, jak tu wewnątrz urządzić.

Sally weszła do domku, czule i z zachwytem popatrzyła Johnny' emu prosto w oczy i powiedziała prawie szeptem:

– Dziękuję, Johnny. Będę starać się być dobrą żoną.

Johnny nie codziennie odwiedzał swój domek. W czasie przydzielonym na spacery nie zawsze pozwalano mu bawić się w ogrodzie. W otoczeniu ochrony i guwernerów odwiedzał to miejski park, to Disneyland lub jeździł na przejażdżki konne.

Lecz kiedy udawało mu się przyjść do swojego domku, prawie zawsze czekała tam na niego Sally. Za każdym razem, podczas kolejnych odwiedzin Johnny z zainteresowaniem obserwował zachodzące w domku zmiany. Najpierw pojawił się na podłodze przyniesiony przez Sally dywanik.

Potem zasłoneczki na otworze okiennym i nad wejściem.

Potem mały, okrągły dziecięcy stolik ze stojącą na nim pustą ramką na fotografię, a Sally powiedziała:

– Coraz rzadziej przychodzisz do naszego domku, Johnny. Czekam, a ciebie nie ma. Daj mi swoją fotografię, wstawięją w tę rameczkę. Będę spoglądać na twoje zdjęcie i będzie mi weselej czekać ciebie.

Johnny zostawił swoją fotografię, kiedy przyszedł się pożegnać i z domkiem i z Sally. Przeprowadzał się z rodzicami do innej willi.

* * *

John Heitzman, multimiliarder, leżał w łóżku w swoich apartamentach i uśmiechał się, przypaminając sobie wszystkie większe szczegóły swoich dziecięcych relacji z małą dziewczynką Sally. Dopiero teraz zrozumiał: ta dziewczynka go kochała. Kochała swoją pierwszą, jeszcze dziecięcą, rozpaczliwą i nieodwzajemnioną, szczerą miłością. Być może i on ją kochał, być może ona po prostu mu się podobała. Lecz ona kochała go tak, jak z pewnością nie kochał go już nikt przez całe dalsze życie i dlatego wspomnienia, związane ze zbudowanym przez nich domkiem w ogrodzie i byciem z Sally, wywoływały w nim również teraz przyjemne i ciepłe uczucia. Zrobiło mu się dobrze z tymi rozgrzewającymi ciało uczuciami.

Z Sally widział się po swoim wyjeździe jeszcze jeden raz, po jedenastu latach. Lecz to spotkanie... Nowe uczucia poruszyły całe ciało. John nawet z lekka uniósł się z pościeli. Jego serce biło mocniej, a krew coraz szybciej krążyła. To spotkanie... Zapomniał o nim. Nigdy go nie wspominał. .. Ale teraz właśnie ono zawładnęło wszystkimi myślami i zmusiło do poruszenia.

Ponownie przyjechał do majątku, gdzie spędził swoje dzieciństwo, po jedenastu latach, raptem na jedną dobę. Na dłużej brakowało czasu. Po obiedzie wyszedł do ogrodu i jakoś samo tak wyszło, że skierował się w odległy kąt ogrodu, gdzie wśród akacji budował w dzieciństwie swój domek. Rozsunął gałęzie, poszedł na małą polankę i zgłupiał z zaskoczenia. Zbudowany przez niego jedenaście lat temu domek z plastikowych skrzynek stał, jak i przedtem, stał na tym samym miejscu. Ale dookoła... Wokoło małe klombiki z kwiatami, do wejścia prowadziła ścieżka wysypana piaskiem, a przy wejściu stała mała ławeczka. I sam domek spowijały kwiaty. Wcześniej ławeczki nie było, teraz była, zauważył w myśli dorosły już Johnny, odsunął zasłaniającą wejście firankę i nachyliwszy się, wszedł do domku.

Od razu wyczuł, że przed chwilą ktoś tu był. Na stoliku jak dawniej stała jego dziecięca fotografia. Na podłodze były starannie rozstawione dziecięce zabawki Sally. Na jednej z półeczek, przy stoliku, w niewielkiej miseczce leżały świeże owoce. Na podłodze nadmuchiwany materac, zasłany narzutą.

John stał w domku dwadzieścia minut, wspominając przyjemne dziecięce odczucia. Myślał: "Dlaczego tak się dzieje?". W ich rodzinie jest mnóstwo wytwornych willi, jest zamek, ale ani wille ani zamek nie dostarczają tych przyjemnych uczuć, które rodzą się tu, w domku ze zwyczajnych plastikowych skrzynek na rozsady.

Kiedy wyszedł z domku, zobaczył Sally. Stała w milczeniu u wejścia, jakby nie chcąc zakłócić wspomnień, które spłynęły na Johna. John spojrzał na nią, a na policzkach Sally zapłonął rumieniec. Wstydli-

wie spuściła oczy i miękkim, aksamitnym, nadzwyczaj czułym i wzruszonym głosem powiedziała:

– Witaj, Johnny!

Odpowiedział jej nie od razu. Stał i delektował się widokiem niezwykle pięknego ciała wydoroślałej Sally. Lekka sukienka opinająca sylwetkę delikatnie trzepotała na wietrzyku. Przez tę sukienkę widoczne były zarysy już nie dziecięcej, ale dziewczęcej, kobiecej wręcz i jędrnej figury.

– Witaj, Sally – przerwał John przeciągającą się pauzę.

– To ty jak dawniej dbasz tu o porządek?

– Tak. Przecież obiecałam. Tam są owoce, umyte. Zjedz, one są dla ciebie.

– Tak... Dla mnie... Zatem chodźmy i zjedzmy razem.

John odsunął na bok firankę, przepuszczając Sally przodem. Ona weszła, kucnęła i wziąwszy wazę z owocami, postawiła ją na stoliku obok fotografii w ramce.

Krzeseł w domku nie było i John usiadł na dywanik, wyciągnął się po kiść winogron i przypadkowo dotknął ramienia Sally. Ona odwróciła się ich spojrzenia się spotkały i Sally jakoś tak raptownie westchnęła. Od gwałtownego wdechu odpiął się guziczek na nabrzmiałej piersi. John ujął Sally za ramiona i przyciągnął do siebie. Nie opierała się. Przeciwnie, całym swoim rozpalonym ciałem przylgnęła do niego. Sally nie opierała się, kiedy John powoli i ostrożnie położył ją na dywanik i kiedy pieścił i całował jej usta, piersi i kiedy. . .

Sally była dziewicą... Ani przedtem, ani potem John nie miał intymnego kontaktu z dziewicami. I teraz, po czterdziestu pięciu latach, które minęły od tego ostatniego spotkania, on, John Heitzman, nagle zrozumiał, że to było jedyne rzeczywiście przepiękne, zaćmiewające rozum zbliżenie z kobietą... Dokładniej, z dziewczyną, którą on uczynił kobietą.

Potem zasnęli na jakiś czas. Kiedy się obudzili, rozmawiali o czymś. O czym? John Heitzman wytężał pamięć. Bardzo chciał sobie przypomnieć chociażby część rozmowy. I przypomniał.

Sally mówiła o tym, jak piękne jest życie. Mówiła, że jej ojciec oszczędza pieniądze i kupi jej kawałek ziemi i że może na tej działce, jeżeli wystarczy pieniędzy, zbuduje nieduży domek. A Sally sama zaprojektuje ogród na tej działce, posadzi mnóstwo różnych roślin i będzie żyć szczęśliwie, wychowując swoje dzieci.

John w myślach wówczas zdecydował się pomóc Sally. "Naturalnie – myślał wtedy. – Zaledwie jakaś działka ziemi i domek są niezbędne dla szczęścia tej dziewczyny. Jakie głupstwa. Muszę nie zapomnieć pomóc jej nabyć i ziemię i dom".

Ale John zapomniał o swoim pragnieniu. Zapomniał całkiem o Sally. Życie wciągnęło go swoimi urokami. Nowy jacht, własny samolot przynosiły radość w ciągu pierwszych dni, kiedy się pojawiły. Na dłużej wciągała tylko gra w finansowe kombinacje, wciągała i powiększała o miliardy majątek ojca, który w spadku przeszedł na niego. Ta pasja podniecająca uczucia i nerwy trwała ponad dwadzieścia lat. Dominowała nad całą resztą. Niejako między tym wszystkim był jeden ślub, potem drugi. Żony nie pozostawiły po sobie żadnego śladu. Po czterdziestce gra w finansowe kombinacje przestała dawać mu przyjemność i pojawiły się coraz częściej powtarzające się okresy depresji, które doprowadziły do głębokiego depresyjnego kryzysu.

Ale teraz John Heitzman nie znajdował się w stanie depresji. Wspomnienia o Sally przyjemnie go podekscytowały. I jednocześnie poirytowały: "Jak to się stało? Dałem sam sobie słowo pomóc Sally, dziewczynie, która mnie kochała, nabyć kawałek ziemi i dom i zapomniałem?"

John Heitzman, przywykły do dotrzymywania obietnic, zwłaszcza danych samemu sobie, rozumiał: nie minie ta jego irytacja na samego siebie, dopóki... Nacisnął guziczek, przywołując swojego sekretarza. Kiedy sekretarz wszedł, siedzący na łóżku John, z trudem wymawiając słowa, po raz pierwszy w ciągu pół roku powiedział:

– Ponad pięćdziesiąt lat temu mieszkałem w willi. Dokładnego adresu nie pamiętam. Adres znajduje się w archiwum. W tej willi pracował ogrodnik. Nazwiska nie pamiętam, jest ono w archiwum w dokumentach buchalteryjnych. Ogrodnik miał córkę. Miała na imię Sally.

Ustalić, gdzie teraz mieszka Sally. Informacja jest mi potrzebna najpóźniej do jutrzejszego ranka. Jeżeli informacja będzie wcześniej, proszę mi ją dostarczyć niezależnie od pory dnia i nocy. Wykonać.

Sekretarz zadzwonił o świcie. Kiedy wszedł do gabinetu, John Heitzman siedział w fotelu-wózku, stojącym przy oknie. Ubrany był w granatowy trzyczęściowy garnitur, uczesany i ogolony.

– Sir, ogrodnik został zwolniony czterdzieści lat temu i wkrótce umarł. Przed śmiercią zdążył kupić

dwa hektary ziemi na zaniedbanym ranczo w stanie Teksas. Na tej działce zaczął budować dom, przeforsował się w trakcie budowy i zmarł. Jego córka Sally dokończyła budowę domu i teraz w nim mieszka. Oto adres. Większą ilością informacji na razie nie dysponujemy. Lecz jeżeli pan zleci – zbierzemy wszelkie niezbędne panu informacje.

John Heitzman wziął kartkę z rąk sekretarza, przeczytał ją uważnie, potem starannie złożył, włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki i powiedział:

– Helikopter ma być gotowy do wylotu za trzydzieści minut. Powinien wylądować w odległości pięciu, dziesięciu kilometrów od willi w stanie Teksas. W miejscu lądowania ma na mnie czekać samochód. Samochód nie ma być limuzyną, ma być bez ochrony, z jednym kierowcą. Wykonać.

* * *

O trzeciej po południu John Heitzman powoli, utykając i podpierając się laską, szedł po utwardzonej tłuczniem ścieżce do niewielkiego, tonącego w zieleni domku jednorodzinnego. Ujrzał ją najpierw z tyłu. Starsza kobieta stała na niewielkiej składanej drabinie i myła okno. John zatrzymał się i zaczął patrzeć na kobietę o pięknych popielatych włosach. Ona poczuła spojrzenie i odwróciła się w jego stronę. Przez jakiś czas wpatrywała się uważnie w stojącego na ścieżce staruszka, potem nagle zeskoczyła ze składanej drabiny i pobiegła w jego stronę. Biegła lekko i w ogóle ta kobieta nie wyglądała na starą. Zatrzymała się w odległości metra od Johna Heitzmanr i cichym wzruszonym głosem powiedziała:

– Witaj, Johnny – i z miejsca spuściła oczy, obiema rękoma zasłoniła rumieniec, który zapłonął jej na policzkach.

– Witaj, Sally – powiedział John Heitzman i zamilknął. Właściwie mówił, lecz tylko w myślach, nie głośno: "Jaka ty jesteś przepiękna,

Sally i jak przepiękne są twoje błyszczące oczy i małe zmarszczki wokół nich, tak samo przepiękna i dobra". A głośno powiedział:

– Jestem tu przejazdem, Sally. Dowiedziałem się, że tu mieszkasz. Zdecydowałem się ciebie odwiedzić. A może i przenocować, jeżeli nie będę cię krępować.

– Niezmiernie jestem rada widzieć ciebie, Johnny. Oczywiście, zostań na noc, teraz jestem sama, a jutro przywiozą do mnie wnuki, aby pobyły tu przez tydzień. Mam dwoje wnucząt: wnuczka ma dziewięć lat, a wnuczek już dwanaście. Chodźmy, Johnny, do domu, dam ci do picia wywaru. Wiem, jakiego ty potrzebujesz wywaru. Chodźmy.

– Ty, znaczy, byłaś zamężna, Sally? Urodziłaś dzieci.

– Ja i teraz jestem mężatką, Johnny. A urodził się nam jeden syn. A to dwoje wnucząt – odpowiedziała radośnie Sally. – Chcesz, usiądź przy stoliku w altanie, przyniosę ci wywar.

John Heitzman usiadł w plastikowym fotelu na werandzie domu, a kiedy Sally przyniosła duży puchar z jakimś wywarem, zapytał:

– Dlaczego powiedziałaś, że wiesz, jaki wywar jest mi potrzebny, Sally?

– Otóż mój ojciec dla twojego ojca zbierał zioła, suszył, potem przygotowywał wywary, a wywar ten twojemu ojcu pomagał. I ja nauczyłam się zbierać zioła. A mój tata mówił, że ty, Johnny, też masz tę dziedziczną chorobę.

– Ale jak się dowiedziałaś, kiedy przyjadę?

– Ja nie wiedziałam, Johnny. Ot tak, zbierałam na wszelki wypadek. A jak się tobie życie ułożyło, Johnny? Czym się zajmujesz?

– Różnie życie się układało. I zajmowałem się różnymi rzeczami, lecz teraz nie chcę tego wspominać. Dobrze tu u ciebie, Sally, pięknie, mnóstwo kwiatów, ogród.

– Tak, dobrze, bardzo mi się tu podoba, tylko widzisz, z prawej strony, zaczęli budowę, to będzie zakład przeróbki śmieci, a z lewej strony też chcą budować jakąś fabrykę, proponują nam przesiedlenie się.

Ale ty jesteś zmęczony, z drogi, widać dalekiej, Johnny. Widzę, jak bardzo się zmęczyłeś, pościelę ci łóżko przy otwartym oknie, a ty się połóż, odpoczywaj. Tylko dopij ten wywar.

John Heitzman z trudem się rozbierał. Rzeczywiście był zmęczony. Objęte atrofią mięśnie ciała, które pół roku leżało bez ruchu, ledwie trzymały go na nogach. Z trudem przykrył się pledem, zasnął od razu. Ostatnimi czasy bez środka nasennego w ogóle me mógł zasnąć;. A tu od razu...

Ranka nie widział, ponieważ obudził się dopiero w południe. Wziął prysznic i wyszedł na werandę. Sally przygotowywała w letniej kuchni obiad, a pomagali jej chłopiec i dziewczynka.

– Dzień dobry, Johnny. Widać, dobrze ci się spało. Wyglądasz taki odmłodniały. Zapoznaj się z wnukami, to Emmy, a ten młodzieniec ma na imię George.

– A ja jestem John Heitzman, dzień dobry' – wyciągnął do chłopca rękę.

– No to poznaliście się; w czasie, gdy my z Emmy będziemy przygotowywać obiad, wy, mężczyźni, może pospacerowalibyście po ogrodzie, apetytu nabrali – zaproponowała Sally.

– Ja jestem gotów pokazać panu ogród – powiedział George Heitzmanowl.

Staruszek i chłopiec szli przez przepiękny ogród. Chłopiec wskazywał ręką różne rośliny i bez przerwy mówił o ich właściwościach. Heitzman myślał o swoich sprawach. Kiedy doszli do końca ogrodu, chłopiec oznajmił:

– A za tą akacją są moje apartamenty, które zbudowała babcia.

Heitzman odgiął gałąź i zobaczył... Na małej polance za akacją stał jego domek. Z tych samych plastikowych skrzynek na rozsady. Tylko dach był zrobiony inaczej. I inna była firanka zasłaniająca wejście. Heitzman odsunął firankę, z lekka się nachylił i wkroczył do domku. Całe umeblowanie było w nim takie, jak dawniej, tylko na stoliku stała fotografia, zatopiona dwustronnie w przezroczystym plastiku. Na fotografii był wnuk Sally. "Wszystko tak, jak być powinno – teraz w domku inny gospodarz i inna fotografia". Heitzman wziął do rąk fotografię i żeby tylko cokolwiek powiedzieć, rzekł:

– Dobrze wyszedłeś na tym zdjęciu, George.

– Ale to nie moja fotografia, wujku John. Na tej fotografii jest chłopiec, z którym babcia w dzieciństwie się przyjaźniła, on po prostu jest do mnie podobny.

* * *

John Heitzman starał się iść ogrodową ścieżka jak najszybciej, kulał, podpierał się laską i potykał.

Podszedł do Sally i ciężko dysząc, nieco się plącząc, zapytał:

– Gdzie on teraz jest? Gdzie teraz jest twój mąż, Sally? Gdzie?

– Uspokój się, proszę, John, nie wolno ci się tak bardzo denerwować. Usiądź, proszę – cicho powiedziała Sally. – Tak wyszło, John, że jeszcze w dzieciństwie obiecałam jednemu bardzo dobremu chłopcu być jego żoną.. .

– Lecz to była zabawa – niemal wykrzyknął John Heitzman, zrywając się z fotela – dziecięca zabawa.

– Niech i tak będzie. To znaczy, będziemy uważać, że ja bawię się w tę zabawę nadal. I po trosze będę uważać ciebie za swojego męża powiedziała Sally i cicho dodała: – Męża i ukochanego.

– George jest bardzo podobny do mnie z dzieciństwa. Znaczy to, że urodziłaś po tej nocy, Sally? Urodziłaś?

– Tak, urodziłam naszego syna, John, jest podobny do mnie. Lecz ma bardzo silne twoje geny, a nasz wnuk – jest twoją kopią.

John Heitzman patrzył to na Sally, to na chłopca i dziewczynkę przygotowujących na werandzie stół i nie był w stanie nic więcej powiedzieć, myśli i uczucia miotały się. Potem, sam nawet nie wiedząc dlaczego, powiedział surowym głosem:

– Muszę natychmiast wyjść. Do widzenia, Sally.

Zrobił dwa kroki ścieżką, odwrócił się i podszedł do stojącej w milczeniu Sally. John Heitzman, z trudem wspierając się na lasce, osunął się przed Sally na jedno kolano, wziął jej rękę, powoli pocałował:

– Sally, mam bardzo ważne i pilne sprawy. Muszę natychmiast iść. Ona położyła mu rękę na głowie, z lekka potargała włosy:

– Tak, oczywiście, musisz iść, skoro ważne sprawy, problemy. Jeśli będzie ci ciężko, John, przychodź do naszego domu. Nasz syn teraz kieruje małą firmą o pięknej nazwie "Lotos", która zajmuje się projektowaniem ogrodów. Nie ma specjalnego wykształcenia, lecz ja sama go nauczyłam, a on jest uzdolniony i tworzy wspaniałe projekty i prawie nie ma problemów ze zleceniodawcami. Pomaga mi finansowo, odwiedza co miesiąc. A ty pewnie masz problemy finansowe? I troszeczkę ze zdrowiem. Ty przychodź, John. Wiem, jak ciebie podleczyć, a i pieniędzy mamy dosyć.

– Dziękuję, Sally... Dziękuję... powinienem zdążyć! Powinienem...

Szedł ścieżką do wyjścia, pogrążony w myślach o swoim planie. A Sally patrzyła na oddalającą się postać Johna i po cichu szeptała: "Wracaj, ukochany!". Powtarzała to zdanie przez godzinę jak zaklęcie. Zapomniała o wnukach i nie zauważyła też helikoptera, krążącego od ponad pół godziny nad jej działką z małym domkiem i przepięknym ogrodem.

* * *

Helikopter Johna Heitzmanr dopiero lądował na dachu biurowca, a najbliżsi asystenci i sekretarze już byli na sali konferencyjnej i gorączkowo porównując cyfry, przygotowywali się do raportu przed szefem. Odwykli już od narad z jego obecnością, a teraz oczekiwali szefa z pewnym drżeniem i lękiem.

John Heitzman wszedł, wszyscy wstali. Zanim doszedł do swojego fotela u szczytu stołu, powiedział:

– Siadajcie. Żadnych sprawozdań. Słuchajcie uważnie, niczego nie będę powtarzać. Czas nagli. Zatem w stanie Teksas jest willa, oto jej adres. Nakazuję wykupić wszystkie ziemie wokoło tej willi w promieniu stu mil. Wykupić wszystkie przedsiębiorstwa, które znajdują się na tych ziemiach, nawet jeżeli trzeba będzie zapłacić za nie potrójną cenę. Kto odpowiada za kupno i sprzedaż nieruchomości, może opuścić salę i natychmiast przystąpić do działania. Jeżeli będzie taka potrzeba, zaangażujcie wszystkich swoich agentów. Ta akcja powinna zająć nie więcej niż tydzień.

Jeden z asystentów szybkim krokiem skierował się do wyjścia.

John Heitzman kontynuował:

– Wszystkie budynki, zakłady przemysłowe i fabryki produkcyjne, które są na tych ziemiach, mają zostać zdemontowane w terminie nie dłuższym niż miesiąc, nawet jeżeli w tym celu trzeba będzie ściągnąć setki firm budowlanych. Na ich miejscu za miesiąc powinna być posiana trawa.

Do ostatniego asystenta, który został w sali, John Heitzman powiedział:

– W stanie Teksas jest mała firma pod piękną nazwą "Lotos". Zawrze pan z nią kontrakt na okres pięciu lat. Zleci pan tej firmie zajmowanie się projektowaniem zasiedlania na wszystkich nabytych wokoło willi w Teksasie terenach. Podaną przez firmę cenę podwoić. Wykonać.

Po dwóch tygodniach John Heitzman występował przed audytorium leczącym półtora tysiąca ludzi. W sali siedzieli zebrani przez agencję do spraw zatrudnieniu specjaliści w zakresie projektowania ogrodów, botanicy, agronomowie. Wszyscy chcieli otrzymać pracę. Tym bardziej że podana w reklamie suma, na jaką opiewał kontrakt, dwukrotnie przekraczała średnią statystyczną.

John Heitzman wyszedł na scenę i przemówił właściwym mu, kategorycznym, nieco nawet ostrym tonem:

– Zgodnie z przedstawionymi kontraktami każdemu z was zostanie przydzielona nieodpłatnie w dożywotnie korzystanie działka ziemi wielkości dwóch hektarów, zostanie wam zaproponowane do wyboru kilka projektów willi budowanych z gotowych elementów i na koszt korporacji na każdej działce, we wskazanym przez was miejscu zostaną zbudowane domy. W ciągu pięciu lat korporacja będzie wypłacać wyszczególnione w kontrakcie kwoty każdemu dorosłemu członkowi rodziny. Waszym zadaniem jest zagospodarowanie terenu otrzymanego w dożywotnie korzystanie. Posadzić ogrody i kwietniki, zrobić stawy i ścieżki, a wszystko zrobić tak, aby było piękne i dobre. Korporacja na podstawie waszego zgłoszenia pokryje koszty sadzonek i każdego materiału siewnego. Ja powiedziałem już wszystko. Jeżeli nie ma pytań – chętni mogą podpisywać kontrakty.

Lecz w półtoratysięcznej sali zapanowała absolutna cisza. Nikt nie wstał ze swojego miejsca i nie skierował się do stolików, gdzie siedzieli sekretarze z gotowymi do podpisu kontraktami. Po minucie zupełnego milczenia z miejsca wstał starszy człowiek i zapytał:

– Proszę powiedzieć, proszę pana, czy ta miejscowość, w której proponujecie nam się osiedlić, jest śmiertelnie skażona?

– Nie – odpowiedział jeden z asystentów Heitzmanf. – Przeciwnie, ta miejscowość wyróżnia się najbardziej czystym środowiskiem naturalnym, są w niej dosyć urodzajne ziemie.

– W takim razie proszę powiedzieć uczciwie, jaki eksperyment chcecie przeprowadzić na ludziach? – zerwała się z miejsca młoda kobieta.

– Wielu spośród nas ma dzieci i ja, na przykład, nie chcę wpychać swojego dziecka w nie wiadomo jaki eksperyment.

Sala zawrzała, zaczęły się rozlegać okrzyki: "awanturnicy", "nieludzcy", "potwory", ludzie podnosili się z miejsc i jeden po drugim zaczęli wychodzić. Asystenci Heitzmanf próbowali coś tłumaczyć, odpowiadać na jakieś pytania, lecz nadaremnie. Heitzman z beznadziejną rozpaczą patrzył na ludzi opuszczających salę. Rozumiał jedno: wraz z ich odejściem runie jego nadzieja. Lub nawet więcej... Tak bardzo chciał zrobić przyjemność Sally, swojemu synowi i wnukom. Chciał, by obok przytulnego domu Sally nie było dymiących kominowych rur. Pragnął, żeby wokoło rozkwitały ogrody i mieszkali dobrzy sąsiedzi. Wykupił ziemie, na jego zarządzenie usunięto dymiące rury i posiano trawę. Ale ziemia może pięknieć tylko wówczas, gdy osiedlą się na niej dobrzy ludzie. A oni odchodzą. Nic nie zrozumieli. I jak zrozumieć, jak uwierzyć? Stop! Heitzmanr nagle olśniło: oni przecież nic nie wiedzą i właśnie dlatego nie wierzą! A co, jeżeli prawdę... John Heitzman wstał i cicho, jeszcze niepewnie, powiedział:

– Ludzie. Zrozumiałem. Muszę objaśnić motywację takich działań korporacji. Ale jej nie można wytłumaczyć. W żaden sposób nie można. Dlatego to tak, że ja... Rozumiecie, motywacja ta... właściwie wszystkie te kontrakty mają charakter osobisty. Czy, jak powiedzieć...

Heitzman zaplątał się i nie wiedział, co mówić dalej. Lecz ludzie się zatrzymali. Stali w przejściach, w drzwiach wyjściowych. I uważnie patrzyli na Heitzmana. Milczeli, a on nie wiedział, jak mówić dalej. Zebrał się jednak w sobie i kontynuował:

– Ja w dzieciństwie... we wczesnej młodości... Pokochałem jedną dziewczynę. Ale wtedy nie wiedziałem, że pokochałem. Byłem żonaty z innymi kobietami. Zajmowałem się biznesem. Nie widzieliśmy się z tą dziewczyną pięćdziesiąt lat. Ja nie wspominałem jej. Ale niedawno sobie o niej przypomniałem. Zrozumiałem, że jest jedynym człowiekiem, który szczerze mnie kochał. I teraz też kocha. A ja o tym nie wiedziałem. Nawet jej sobie nie przypominałem. I jeszcze zrozumiałem, że tylko ją jedną mógłbym kochać. Spotkałem się z tą dziewczyną. Ona, oczywiście, teraz jest już w wieku dojrzałym. Lecz dla mnie pozostała taka sama, jak była. Kocha ogród. Czyni wszystko pięknym. I chciałem, by wokół niej też było pięknie. I żeby miała wokoło dobrych sąsiadów. Lepiej, by dobrzy, szczęśliwi sąsiedzi mieszkali obok. Ale jak to zrobić? Zajmowałem się biznesem i uzbierałem pewną sumę pieniędzy. I kupiłem ziemię, rozdzieliłem ją na działki, wymyśliłem te oto kontrakty. Zrobiłem to dla swojej ukochanej. A być może zrobiłem to dla siebie? – ostatnie zdanie John Heitzman wypowiedział, jakby pytając samego siebie, a później zaczął mówić, tak jakby nie widział stojących przed nim ludzi, niby prowadząc głośną dysputę z samym sobą.

– Żyjemy w jakimś celu – po co? Dążymy do czegoś – do czego? Wkrótce umrę, co po mnie zostanie? Tylko prochy. Ale teraz nie umrę, dopóki nie zrealizuję swojego projektu. I zostawię po sobie to, co wieczne, zostawię ogród dla swojej ukochanej. Zostawię ogrody. Najpierw chciałem po prostu wynająć wielu pracowników lub zawrzeć kontrakt z dużą firmą, zajmującą się projektowaniem ogrodów. Zawrzeć kontrakt, aby pracownicy pielęgnowali rośliny. Lecz później zrozumiałem. Martwe jest piękno, jeśli nie własne. Ot i postanowiłem uczynić tak, aby było własne. Dlatego oddaję wam działki i domy, a w zamian tylko proszę o piękno wokół mojej ukochanej. Nie uwierzyliście w realność proponowanych wam w kontrakcie warunków. Nie rozumieliście, jaki jest cel strony proponującej takie kontrakty. Teraz go znacie.

John Heitzman zamilknął. Milczeli i stojący w sali ludzie. Pierwsza przerwała ciszę kobieta, która najbardziej dawała wyraz swej nieufności. Najpierw szybko podeszła do rzędu stojących przy scenie stołów z rozłożonymi kontraktami, poprosiła jednego z sekretarzy o wpisanie jej nazwiska i podpisała kontrakt, nawet go nie czytając, a potem odwróciła się do ludzi na sali i powiedziała:

– Tak, podpisałam. Podpisałam jako pierwsza. Przez to też wejdę do historii, bo jako pierwsza. Zastanówcie się tylko: żaden mężczyzna, choćby nie wiem jak bogaty, nie zrobił większego prezentu dla swojej ukochanej niż ten stojący na scenie człowiek. I większego prezentu zrobić nie można.

– Nawet wymyślić większego nikt nie mógł. W ciągu całej historii ludzkości jak okiem sięgnąć – wykrzyknęła z sali inna kobieta.

– Kocham pana – zawołała trzecia.

– Chcę działkę obok pańskiej ukochanej, jak ma na imię? – zapytała czwarta.

– Ma na imię... – zaczął Heitzman, a dalej powiedział: – Może nie trzeba, aby wiedziała. Niech myśli, że los tak chciał.

Zebrani na sali w jedynym porywie skierowali się do stołów przy scenie. Utworzyła się kolejka. Ludzie radośnie żartowali i nazywali siebie nie inaczej, jak sąsiedzie, sąsiadko, ale większość – zwłaszcza

kobiety – błyszczącymi, rozkochanymi spojrzeniami spoglądała na człowieka stojącego na scenie.

John Heitzman po raz pierwszy w życiu poczuł na sobie energię dobra, miłości i szczerego zachwytu, wypływającą z mnóstwa ludzkich dusz. Energię uzdrawiającą i zwyciężającą wszystko, każde cierpienie. Schodził ze sceny, już nie utykając. I przez kilka miesięcy osobiście żywo uczestniczył w realizacji demontażu przedsiębiorstw położonych na zakupionych ziemiach, rozstrzygał kwestie związane ze szczegółami projektu całego zasiedlenia wokół willi Sally, opcje designu krajobrazowego poszczególnych działek i całej infrastruktury.

Kiedy za rok ponownie podszedł do furtki przy willi Sally, dookoła, jak wzrokiem sięgnąć, ludzie już sadzili małe sadzonki dużych roślin ogrodowych, a wokół furtki Sally stało kilka sadzonek z troskliwie okrytym systemem korzeniowym. Sally dosłownie wyczuła, że przyszedł i wybiegła naprzeciw.

– John, jak dobrze, że przyjechałeś! Jak dobrze! Witaj, John!

Podbiegła do niego szybka i ognista jak dziewczyna. Schwyciła Johna za rękę, zaprowadziła, aby się napił herbaty i cały czas bez ustanku radośnie mówiła:

– Wiesz, John! Jakie cuda dzieją się wokoło! Ja jestem taka szczęśliwa! Nadzwyczaj szczęśliwa. Nie będzie teraz obok naszego domu dymiących rur. A będą dobrzy sąsiedzi. Tak tu wrze życie wokoło! Jeżeli masz jakieś niepowodzenia w biznesie, to się nie przejmuj, John. Zostaw wszystko i zamieszkaj tu. Teraz jesteśmy bogaci, nasz syn otrzymał bardzo korzystny, nawet nadzwyczaj korzystny kontrakt. On kieruje tu teraz całym projektem w zakresie wzornictwa i rozplanowania. Nabyliśmy jeszcze trochę ziemi. Nasz syn będzie sobie tam budował nowy dom. A my tutaj oboje, jeżeli zechcesz, będziemy mieszkać.

– Zechcę – odpowiedział John Heitzman i dodał: – Dziękuję ci, Sally, za zaproszenie.

– A dlaczegóż to będziecie mieszkać w starym domu? – rozległ się za plecami Johna Heitzman głos. Odwrócił się i zobaczył swojego syna. Wiedział od razu, że to jest jego syn. A młody mężczyzna mówił dalej:

– Rozumiem, że jesteś moim ojcem? Kiedy George opowiedział, że uznałeś fotografię maminego przyjaciela z dzieciństwa za jego zdjęcie, wówczas zrozumiałem, kto przyszedł. A mama nie nauczyła się ukrywania swoich uczuć.

Ja, oczywiście, na razie nie żywię takich uczuć wobec ojca jak mama, lecz jestem gotów dla swoich szczęśliwych rodziców sfinansować i budowę nowej willi.

– Dziękuję, synku – zdławionym głosem powiedział John Heitzman. Chciał podejść i objąć swojego syna, lecz z jakiegoś powodu tego nie uczynił. Młody mężczyzna sam zrobił krok w jego stronę, wyciągnął rękę, przedstawił się: – John.

– To i dobrze! I bardzo dobrze, zatem już się zapoznaliście. Kiedy poznacie się obaj bliżej, przypadniecie sobie wówczas do gustu, a teraz napijmy się herbaty – powiedziała Sally.

I znów Sally przy stole bez ustanku mówiła podniecona o nadzwyczajnych wydarzeniach zachodzących w ciągu ostatnich miesięcy.

– Wyobraź sobie tylko, John. Wyobraź sobie. Opowiadają tu taką historię, podobną do najpiękniejszej na świecie legendy. Legendy, która się spełnia na jawie. Wyobraź sobie, John, ludzie opowiadają, że wszystkie te ziemie wokoło wykupił jeden człowiek. Potem ten człowiek zaprosił najlepszych projektantów, agronomów i ogrodników i każdemu dał bezpłatnie w dożywotnie korzystanie po kilka hektarów ziemi. Powiedział im, aby swe działki uczynili piękne. I wszystkie sadzonki i nasiona im bezpłatnie udostępnił, a jeszcze przez pięć lat będzie im płacić za zagospodarowywanie ich własnych działek. Wyobraź sobie – i jeszcze płacić. Cały swój kapitał do ostatniego centa zainwestował ten człowiek w projekt.

– No, może nie cały – zaoponował Heitzman.

– A ludzie mówią, że cały. I wiesz, w jakim celu on to wszystko uczynił?

– W jakim? – spokojnie zapytał John Heitzman.

– W tym właśnie tkwi całe piękno tego, co się wydarzyło. Uczynił to, aby wśród tego całego piękna mieszkała jego ukochana. Ona też, tak mówią, zajmuje się projektowaniem ogrodów. I gdzieś tu też będzie jej willa. Tylko nikt nie wie, gdzie i kim ona jest. Wyobrażasz sobie, Johnny, co to będzie, kiedy ludzie się dowiedzą, kim ona jest?

– Co?

– Jak to co? Przecież ludzie od razu zechcą na nią popatrzyć i nawet dotknąć jak bogini. Ja, na przykład, chciałabym jej dotknąć. Z pewnością jest niezwykła. Niezwykła na zewnątrz, a może i we-

wnątrz. "Żadna kobieta na świecie nie jest zdolna natchnąć mężczyzny do tak niezwykłego i pięknego czynu" – mówią wszyscy wokoło. No i wszyscy ludzie będą chcieli zobaczyć i chociaż dotknąć takiego mężczyzny i jego niezwykłej kobiety.

– Z pewnością zechcą – zgodził się John Heitzman i dodał: – Ale cóż nam teraz począć, Sally?

– Dlaczego nam? – zdziwiła się Sally.

– Dlatego nam, że tą niezwykłą kobietą, dla której to wszystko dookoła się dzieje – jesteś ty, Sally.

Sally patrzyła na Johna bez mrugnięcia powieką, próbując uświadomić sobie to, co usłyszała. Nagle zrozumiała, wypuściła z rąk filiżankę, ale nikt nie zwrócił uwagi na brzęk rozbitego szkła. John Heitzman odwrócił się na odgłos przewróconego krzesła, kiedy gwałtownie, w jakimś porywie jego syn zerwał się ze swojego miejsca. John junior podszedł do ojca i miękkim barytonem, przepełniony wzruszeniem powiedział:

– Ojcze! Ojcze! Mogę cię objąć?!

John Heitzman pierwszy objął swojego syna i usłyszał, jak bije jego serce. John junior, obejmując ojca, szeptał w uniesieniu:

– Takiej siły wyznania miłości bez słów o miłości świat jeszcze nie doznał. Jestem dumny! Zachwycasz mnie, ojcze!

Kiedy ojciec i syn odwrócili się do Sally, ona wciąż próbowała sobie uświadomić to, co się zdarzyło. Nagle na jej policzkach zapłonął rumieniec, jakby wygładzając zmarszczki. Z oczu potoczyły się łezki. Sally zażenowała się łezkami, szybko podeszła do Johna seniora, chwyciła go za rękę i pociągnęła ku wyjściu z werandy. John junior obserwował, jak jego rodzice, wziąwszy się za ręce, najpierw powoli szli ścieżką, kierując się w stronę akacji, za którą stał ich dziecięcy domek, a potem nagle pobiegli do drzewa jak nastolatki.

Po dziesięciu latach odmłodniały John Heitzman siedział w klubowej kawiarni pośród innych mężczyzn z osady i ze śmiechem tłumaczył:

– Przecież nie będę kandydować na żadnego prezydenta, nawet mnie nie namawiajcie. I to nie w wieku problem. Krajem można rządzić, również nie będąc prezydentem. Z własnego domu można rządzić krajem. Oto pokazaliście własnym przykładem, jak trzeba budować obecne życie i cała Ameryka przekształca się teraz w kwitnący ogród. Jeżeli tak dalej pójdzie, być może dogonimy Rosę.

– Dogonimy! Dogonimy – potwierdziła wchodząca właśnie Sally.

– Ale teraz pójdźmy, proszę, do domu, Johnny. Dziecko bez ciebie nie chce zasypiać – potem już na ucho dodała: – i ja też...

Cienistą, pachnącą aleją szło do swojego domu, trzymając się ze ręce, dwoje niestarych ludzi, John Heitzman i Sally. Wiosną zawsze im się wydawało, że ich życie dopiero się zaczyna. Tak jak zaczynało się dzisiejsze życie w całej Ameryce.

– Przecudne jest zakończenie twojej historii – powiedziałem Anastazji, kiedy zakończyła swoje opowiadanie o przyszłości. – I wszystkie twoje historie dają nadzieję. Ale czy w rzeczywistości zdarzy się coś podobnego? Na jawie?

– Musi się zdarzyć, Władimirze. To nie jest wymyślona historia, ale projekcja przyszłości. Nie są w niej ważne ani nazwiska, ani miejsce akcji. Ważna jest istota idea i marzenie! I jeżeli moje opowiadanie wywołało pozytywne uczucia, to ludzie na pewno dokonają projekcji tej idei w imię przyszłości, a co do jej szczegółów – mnóstwo ludzi doda doń własne, co nada jej większy sens i zrozumienie.

– Jak się to wszystko dzieje?

– Spójrz, jakie to proste. Spodobała ci się ta historia?

– Mnie? Tak!

– Chcesz, by w przyszłości się zdarzyła? – Chcę, oczywiście.

– A jeżeli o niej opowiesz ludziom, to jak myślisz, ktokolwiek jeszcze zechce coś podobnego ujrzeć na jawie?

– Myślę, że zechce.

– Ot i widzisz, to znaczy, że zechcą i ci, którzy przejmą w historii rolę nie tylko obserwatora – a uczestnika. I to, co zostało powiedziane, wcieli się w życie.

– Tak, wydaje się to zrozumiałe. Ale troszeczkę żal, że takie piękne obrazy nakreśliłaś o zagranicznych przedsiębiorcach, a nie o rosyjskich.

– Władimirze, o rosyjskich już samo życie rysuje przepiękne realne obrazy. Dokładniej można po-

wiedzieć, że wiele spośród nich tworzy Boską wieczność. I ty sam mógłbyś o tym opowiedzieć.

– Ja sam? No tak. Rzeczywiście znam wielu rosyjskich przedsiębiorców, którzy nabyli nie po jednym, ale po kilka hektarów ziemi i budują na nich swoje siedziby. Takie, o których ty mówiłaś. Tylko ich historie nie są tak romantyczne.

– O każdym, kto świadomie zetknął się z ziemią, trzeba napisać wielkie stronice. Będzie to niekończąca się opowieść. Spójrz, to tylko jedna historia, rozpoznaj w niej znajome ci imiona.

URODZĘ CIEBIE, MÓJ ANIELE...

Przedsiębiorca Wiktor Czadow obudził się o świcie. Obok niego na szerokim łożu słodko spała jego młoda kochanka. Cienka materia przykrywała jej zgrabną, jak rzeźbioną, kobiecą sylwetkę.

Zawsze, kiedy pojawiali się razem na bankiecie lub w hotelu eleganckiego kurortu, jej kształty przyciągały to zawistne, to pożądliwe spojrzenie mężczyzn.

A do tego Inga – tak miała na imię śpiącą piękność – posiadała czarujący uśmiech i stwarzała na otoczeniu wrażenie kobiety mądrej i wykształconej. Wiktorowi podobała się jej obecność przy nim, dlatego kupił jeszcze jedno czteropokojowe mieszkanie, urządził je supernowoczesnymi meblami, dał Indze klucze i czasem, jeżeli tylko pozwalała na to intensywność działań w biznesie, zostawał z nią na noc lub dwie. Był wdzięczny tej dwudziestopięcioletniej kobiecie za cudowne noce i wspólne bycie, ale żenić się nie kwapił. Nie odczuwał szczególnej miłości do Ingi. A jeszcze jedno – zdawał sobie sprawę: on miał 38 lat, a ona 25. Oczywiście, minie kilka lat i młoda kobieta może zechcieć mieć młodszego kochanka. A z jej urodą i intelektem nie będzie to trudne. Wtedy znajdzie sobie młodego i jeszcze bogatszego – i to dzięki niemu. Przecież żeniąc się z Ingą, wprowadzi ją w krąg wpływowych biznesmenów.

Inga odwróciła się do niego, uśmiechając się przez sen, a przykrycie, które się ześliznęło, z lekka obnażyło kuszącą kobiecą pierś o doskonałym kształcie. Ale Wiktor Czadow nie doznawał, jak zazwyczaj, podniecenia na widok jej półobnażonego ciała. Ostrożnie przykrył śpiącą Ingę. Cicho, starając się jej nie obudzić, wstał z łóżka i poszedł do kuchni.

Zaparzył i wypił kawę. Zapalił papierosa i jakby w zapamiętaniu zaczął chodzić w tę i z powrotem po przestronnej kuchnio-jadalni.

Sen! Niezwykły sen, który przyśnił mu się tej nocy, wzburzył jego uczucia. Właśnie uczucia, a nie rozum. Przyśniło się Wiktorowi, że idzie jakąś cienistą aleją i usilnie myśli nad celowością kolejnej transakcji handlowej. Z przodu i z tyłu jego ochrona, której obecność drażniła i nie pozwalała się w pełni skoncentrować. W zebraniu myśli przeszkadzał też nieustanny szum samochodów, przemykających za ogrodzeniem parku. I nagle zniknęli wartownicy, ucichł szum samochodów. Wiktor usłyszał śpiew ptaków, zobaczył, jak przepiękne są wiosenne liście drzew rosnących w alei i kwiaty na krzewach. Zatrzymał się, rozkoszując powstałymi wewnątrz błogimi uczuciami. I było mu dobrze jak nigdy w życiu. Aż nagle zobaczył: z daleka aleją biegnie mu naprzeciw maleńki chłopiec. Słońce świeciło z tyłu, tworząc wokół niego aureolę i wydawało się, że aleją biegnie na jego spotkanie maleńki anioł.

W następnej sekundzie go olśniło: z naprzeciwka biegnie do niego jego maleńki syn. Chłopiec biegł, wytrwale pracując małymi rączkami i nóżkami. Wiktor w radosnym przeczuciu przysiadł, rozpostarł szeroko ramiona, by objąć malca i jego maleńki syn rozpostarł w pędzie rączyny. I nagle maluch, nie dobiegłszy do Wiktora, zatrzymał się w odległości trzech metrów od niego. Uśmiech zgasł na dziecięcej buzi i poważne spojrzenie dziecięcych oczu wywołało u Wiktora mocniejsze bicie serca.

– No chodźże do mnie! Chodź, obejmę cię, synku.

Uśmiechnąwszy się smutno, maluch odparł:

– Ty nie możesz tego uczyć, tato.

– Dlaczego? – zdziwił się Wiktor.

– Dlatego – ze smutkiem w głosie odpowiedział maluch – dlatego, tato, nie będziesz mógł mnie objąć, bo nie można objąć swojego, jeszcze nie narodzonego syna. Ty przecież wiesz, ja się tobie nie urodziłem, tato.

– Więc podejdź, synku i ty obejmij mnie. Podejdź.

– Niemożliwe jest objąć ojca, któremu się nie urodziłem.

Maluch spróbował się uśmiechnąć przez łzy, a po rumianym małym policzku powoli stoczyła się łezka. Potem maluch się odwrócił i spuściwszy głowę, powlókł się wolno aleją.

Wiktor klęczał, nie mając sił, by poruszyć się z miejsca.

Maluch odchodził. A razem z nim odchodziło tak niezwykle przyjemne uczucie wewnętrznego błogostanu. Z daleka zaczął jak gdyby ponownie narastać ryk samochodów. Wiktor nie mógł się ani poruszać, ani mówić, lecz zebrawszy ostatnie siły, wykrzyknął:

– Nie odchodź, dokąd idziesz, synku?

Maluch odwrócił się i Wiktor zobaczył drugą staczającą się łezkę.

– Odchodzę donikąd, tato. W nieskończoną dal – donikąd. – Maluch pochylił się, chwilę milczał, a potem dodał: – Smutno mi, tato, że nie będąc urodzony, nie jestem w stanie znowu odrodzić ciebie sobą.

Opuściwszy główkę, maleńki anioł oddalał się od niego i wkrótce zniknął, dosłownie się rozpłynął w promieniach słoneczka...

Sen się skończył, ale pozostało wspomnienie przepięknych błogich odczuć. Ono jak gdyby wzywało do pewnych działań.

Wiktor dopalił trzeciego papierosa, raptownie i stanowczo go zgasił i wszedł do sypialni, mówiąc głośno po drodze:

– Obudź się Inga. Obudź się.

– Ale ja przecież nie śpię. Po prostu sobie leżę. Rozkoszuję się. I myślę, gdzie ty się podziałeś? – odpowiedziała leżąca na pościeli piękność.

– Inga, chcę, byś urodziła. Czy mogłabyś urodzić mi syna?

Ona, odrzuciwszy prześcieradło, zerwała się z łóżka. Podbiegła, objęła Wiktora za szyję, przytuliła się do niego całym swym pięknym i jędrnym ciałem i gorącym szeptem powiedziała:

– To najprzyjemniejsze i najpiękniejsze wyznanie miłości – kiedy mężczyzna prosi kobietę, aby urodziła mu dziecko. Dziękuję, jeżeli to nie żart.

– Nie żart – stanowczo odpowiedział.

Wkładając podomkę Inga odrzekła:

– No, jeżeli nie żart, jeżeli na serio – to jest to nieprzemyślana decyzja. Po pierwsze, chcę, by moje przyszłe dziecko miało ojca, a ty jesteś żonaty, mój drogi i ukochany.

– Rozwiodę się – powiedział Wiktor, chociaż już od trzech miesięcy był rozwiedziony z żoną, lecz nie poinformował o tym Ingi z wielu powodów.

– Rozwiedziesz się, to wtedy możemy porozmawiać o dziecku. Ale ja powiem ci od razu, Wiktorze. Nawet jeżeli się rozwiedziesz, jeszcze nie czas mówić o dzieciach. Po pierwsze, muszę mieć jeszcze rok, aby zakończyć studia doktoranckie. Po drugie, mam już tak serdecznie dość tej nauki, że chciałabym po jej zakończeniu przez pierwszy, drugi rok poszaleć, pojeździć po kurortach, pobawić się. A dziecko... Dzieci temu wszystkiemu mogą położyć kres raz na zawsze – pół żartem, pół serio rozważała Inga.

– No dobrze, zażartowałem – przerwał jej rozważania Wiktor. Muszę iść, czeka mnie ważne spotkanie. Samochód już wezwałem. Na razie.

Wyszedł, ale nie na spotkanie i żadnego samochodu też nie wzywał. Wiktor szedł powoli chodnikiem i przyglądał się idącym z naprzeciwka kobietom. Patrzył na nie nowym, nie znanym mu wcześniej spojrzeniem. Wybierał kobietę, która byłaby godna urodzić jego syna. Z którą zechciałby mieć dziecko.

Od razu odpadły modnie wymalowane na różne kolory dziewczyny, które wcześniej przyciągały jego uwagę. Całkowicie odrzucał wszystkie półobnażone w minibikini czy obciśle ubrane, wystawiające na pokaz swoje kształty.

"Jasne, po co one to robią, co mają na myśli. A jeszcze mądry wyraz twarzy próbują przybrać – zauważał w myślach.

– Przywołują facetów na różne sposoby, może któryś i weźmie. I biorą oczywiście, tylko że nie po to, by mieć dzieci. Takie branie – na samca, ale nie na ojca swoich dzieci. Kręćcie."głuptaski, tyłkami. A ja nie dopuszczę, by mój syn z jakiejś tam kręciołki się urodził".

Dwie dziewczyny, które miał właśnie naprzeciw, paliły w biegu, a jedna trzymała w ręce otwartą butelkę piwa.

"No, te w ogóle nie do rodzenia dzieci. Tylko idioci chcieliby mieć dziecko z takimi".

Wiktor jeszcze zwrócił uwagę, że wśród mijanych kobiet i dziewcząt bardzo mało jest zupełnie zdrowych. Jedne przygarbione inne z takim wyrazem twarzy, jakby miały kolkę i bolał je brzuch, u niektórych widać wyraźne przejawy otyłości lub niezdrową chudość.

"Nie, z takimi kobietami dzieci mieć nie mogę – myślał po cichu Wiktor. – Oczywiście każda z tych kobiet marzy, ażeby podjechał do niej książę białym mercedesem, ale podstawowej rzeczy dla tego księcia uczynić nie mogą. One nie będą mogły urodzić zdrowego dziecka, skoro same są niezbyt zdrowe".

Wiktor nie wzywał swojego kierowcy i do biura dostał się trolejbusem. Po drodze bez przerwy przyglądał się kobietom, starając się wybrać spośród nich jedną, godną urodzić mu syna, lecz nadaremnie.

W ciągu dnia i w przerwie obiadowej, zostając sam w swoim gabinecie, nie przestawał myśleć o kobiecie, która urodzi mu syna.

Czasem budziło się w nim odczucie, jakby wybierał kobietę, która będzie rodzić jego samego. Koniec końców doszedł do wniosku: idealnej matki dla syna nie znajdzie, więc trzeba ją stworzyć. W tym celu należy znaleźć mniej więcej zdrową, młodą kobietę o przyjemnej powierzchowności, lub chociażby nie odpychającej, z dobrym charakterem, stworzyć jej warunki do zajmowania się przeróżnymi treningami i do poprawy zdrowia w najlepszych sanatoriach. Ale rzecz najważniejsza wysłać ją na naukę do najlepszej placówki oświatowej, gdzie mogłaby zdobyć wiedzę w zakresie przygotowania do ciąży, noszenia dziecka w łonie, samego porodu i wychowania przedszkolnego.

* * *

Pod koniec dnia pracy przywołał do siebie prawnika firmy, Walentynę Pietrowną, kobietę, której mądrość życiowa budziła szacunek.

Zaproponował, aby usiadła w fotelu i zaczął okrężną drogą, nie mówiąc wprost:

– Mam pewne niezwykłe pytanie, Walentyno Pietrowna. Jest ono tak jakby osobiste, lecz dla mnie bardzo ważne. Pewna moja krewna poprosiła, abym się dowiedział. . . A tak w ogóle, to ona przymierza się do zamążpójścia, chce mieć dziecko. Prosiła mnie, abym się dowiedział, gdzie u nas w kraju znajduje się jakaś dobra placówka oświatowa, w której uczono by, jak nosić dziecko w łonie podczas ciąży, jak je urodzić i następnie wychowywać. I jak powinien postępować ojciec?

Walentyna Pietrowna uważnie wysłuchała, milczała przez jakiś czas, a potem powiedziała:

– Jak pan wie, Wiktorze Nikołajewiczu, mam dwoje dzieci i zawsze interesowałam się literaturą na temat rodzenia i wychowywania dzieci, lecz nawet nie słyszałam o istnieniu u nas w kraju lub za granicą takiej placówki oświatowej.

– To dziwne. Wszystkiego uczą, a tego najważniejszego zagadnienia ani w szkołach, ani na wyższych uczelniach nawet nie poruszają? Dlaczego?

– Tak, to dziwne... – zgodziła się Walentyna Pietrowna – jakoś się wcześniej nad tym nie zastanawiałam, ale teraz i mnie wydaje się dziwny taki stan rzeczy. Kwestia nauczania w szkołach przedmiotu związanego z seksuologią, stosunkami seksualnymi, niby jest obecnie dyskutowana przez Dumę, ale nie porusza się problemu nauczania tego, jak prawidłowo rodzić i wychowywać dzieci.

– Czy to znaczy, że każda para rodziców jest zmuszona eksperymentować na swoim dziecku?

– Na to wygląda. Eksperymentować. Jest oczywiście mnóstwo przeróżnych kursów, na których uczy się rodziców zachowania w trakcie porodu, tego, jak obchodzić się z noworodkiem, lecz ponieważ nie ma naukowego uzasadnienia tego procesu, określenie, jakie kursy rzeczywiście pomagają, a jakie szkodzą, praktycznie nie jest możliwe – odpowiedziała Walentyna Pietrowna.

– A pani była na kursach, Walentyno Pietrowna?

– Młodszą córkę zdecydowałam się urodzić w domu, w wannie, z pomocą akuszerki. Teraz wiele kobiet tak robi. Uważa się, że dla dziecka przyjście na świat w domowych warunkach, w obecności krewnych, jest bardziej komfortowe. Mówi się, że noworodek czuje, kiedy się do niego odnoszą z miłością, a kiedy z obojętnością, jak to się często zdarza na porodówkach. Tam przecież jest taśmówka.

Rozmowa z Walentyną Pietrowną nie dała Wiktorowi nadziei, wręcz przeciwnie, wprowadziła w stan przygnębienia. Przez dwa tygodnie cały wolny od pracy czas rozmyślał o kwestii rodzenia dzieci. Przez dwa tygodnie, podczas których chodził po mieście pieszo, odwiedzał ekskluzywne restauracje, bary, teatry, ciągle wpatrywał się oceniająco w twarze kobiet. Nawet pojechał na wieś, lecz również tam nikogo odpowiedniego dla siebie nie znalazł.

Pewnego razu podjechał swoim dżipem z przyciemnianymi szybami pod budynek wydziału pedagogicznego uniwersytetu i patrzył przez okno samochodu na przechodzące obok dziewczęta. Po trzech godzinach zwrócił uwagę na młodą dziewczynę, która stanęła przy wejściu: miała krótki, lecz gruby jasny

warkocz, postawną figurę i jak mu się wydawało, niegłupią twarz. Kiedy w drodze do przystanku autobusowego przechodziła obok dżipa, Wiktor opuścił szybę i zawołał:

– Przepraszam, może mi pani pomóc? Czekałem tu na swojego przyjaciela, ale się nie doczekałem. Nie mogłaby mi pani pokazać, jak najlepiej dojechać do śródmieścia, a ja panią potem odwiozę do domu, jeżeli pani zechce.

Dziewczyna oszacowała dżipa spojrzeniem i spokojnie odpowiedziała:

– Dlaczego nie mam pokazać. Pokażę.

Kiedy usiadła na przednim siedzeniu i zapoznali się, Lusia powiedziała, wskazując na paczkę papierosów:

– Ma pan dobre papierosy, czy mogę zapalić?

– Tak, proszę – odpowiedział Wiktor i ucieszył się na dźwięk telefonu komórkowego. Wiadomość była błaha, lecz wyłączywszy słuchawkę, Wiktor zrobił zaniepokojoną minę i zakomunikował Lusi, która żarłocznie zaciągnęła się papierosem:

– Sytuacja uległa zmianie. Muszą się natychmiast udać na spotkanie służbowe. Tak więc przepraszam.

Wysadził palącą Lusię, postanawiając, że nie pozwoli truć dymem swojego syna.

Przez te dwa tygodnie Wiktor nie spotykał się ze swoją kochanką i nie dzwonił do niej. Powziął decyzję: skoro ona nie chce rodzić, skoro chce się tylko bawić i po eleganckich uzdrowiskach jeździć – nie jest mu potrzebna.

Oczywiście, bardzo przyjemnie było spędzać z nią czas, ładną i mądrą, ale teraz jego życiowe plany poważnie się zmieniły. "Zostawię jej mieszkanie: mimo wszystko ta kobieta osładzała przez pewien czas moje życie" – postanowił Wiktor i skierował się na uniwersytet, gdzie studiowała Inga, by oddać jej swój komplet kluczy. W biegu zadzwonił do niej z telefonu komórkowego:

– Cześć Inga.

– Cześć – odpowiedział w słuchawce znajomy głos – gdzie teraz jesteś?

– Podjeżdżam pod twój uniwersytet, prędko kończysz?

– Ja już od dziesięciu dni nie chodzę na uniwersytet i wygląda na to, że w najbliższej przyszłości już nie będę nań chodzić.

– Zdarzyło się coś?

– Tak.

– Gdzie teraz jesteś? – W domu.

Kiedy Wiktor, otworzywszy drzwi swoimi kluczami, wszedł do mieszkania Inga leżała w podomce na łóżku i czytała jakąś książkę. Spojrzała na Wiktora:

– Kawa i kanapki są w kuchni – powiedziała, nie podnosząc się i ponownie pogrążyła w lekturze.

Wiktor przeszedł do kuchni, upił łyk kawy, zapalił, położył klucze na stole, po czym podszedł do drzwi sypialni i zakomunikował czytającej jak przedtem Indze:

– Wyjeżdżam, być może na długo lub nawet na zawsze. Mieszkanie zostawiam tobie. Żegnaj. Bądź wolna, szczęśliwa.

I skierował się do wyjścia. Inga dogoniła go już u samych drzwi:

– O nie, zaczekaj, niegodziwcze! – powiedziała bez złości i szarpnęła Wiktora za rękaw.

– To znaczy, że odchodzisz. Całe moje życie przekręciłeś, a teraz żegnaj?

– Czymże ja twoje życie zniszczyłem? – zdziwił się Wiktor. Było mi z tobą dobrze, ale również tobie, tak myślę, nie było źle. Teraz będziesz miała własne mieszkanie, strojów dosyć. Żyj sobie, ciesz się, tak jak chciałaś. Czy chcesz jeszcze pieniędzy?

– No, cały ty – po prostu łajdak. Takiemu trzeba splunąć w twarz. Mieszkanie, ciuchy, ciesz się...

– No, już dobrze. Nie urządzaj scen – mam ważne sprawy. Żegnaj.

Wiktor chwycił za klamkę u drzwi. Lecz Inga znów go zatrzymała, schwyciwszy za rękę:

– O nie, mój drogi, poczekaj. Powiedz mi, proszę. Prosiłeś, abym urodziła ci dziecko?

Prosiłeś? – Prosiłem, ale odmówiłaś.

– Najpierw odmówłam. Potem dwa dni myślałam i zgodziłam się. Studia doktoranckie rzuciłam, palenie rzuciłam, rankiem się gimnastykuję, a tu jeszcze książki o życiu, o dzieciach wpadły mi w ręce, nie mogę się oderwać: uczę się, jak rodzić najlepiej, a on "żegnaj". A ja tylko ciebie wyobrażam sobie jako ojca naszego...

Uświadomiwszy sobie to, co usłyszał, Wiktor gwałtownie objął Ingę, zdławionym szeptem powtarzając: "Inga Inga. . .". Potem wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Ostrożnie, jak największy klejnot, położył na łóżku i zaczął się gorączkowo rozbierać. Namiętnie, jak nigdy wcześniej, objął leżącą na łóżku Ingę, zaczął całować jej piersi, ramiona, próbując zdjąć z niej podomkę, lecz Inga nagle stawiła mu milczący opór i zaczęła go odpychać:

– Uspokój się, proszę. Tu nie o to chodzi. Jednym słowem, żadnego seksu między nami dzisiaj nie będzie. Ani jutro, ani przez następny miesiąc – oświadczyła Inga.

– Jak to nie będzie? Przecież powiedziałaś, że zgadzasz się urodzić?

– Powiedziałam.

– Ale jak będziesz mogła urodzić bez seksu?

– Seks powinien być zupełnie inny. Zasadniczo inny.

– Jak to?

– A tak to. Powiedz mi, drogi mój, przyszły kochający tato. Dlaczego chcesz, by urodziło się twoje dziecko?

– Jakże to tak? – Wiktor zdziwiony usiadł na łóżku. – Wszystkim wiadomo dlaczego. I nie ma tu innych opcji.

– Jasno mówisz. Ale jednak uściślijmy, czego chcesz i jaką opcję wybierasz. Chcesz, by twoje dziecko urodziło się jako konsekwencja, jako uboczny efekt twoich lub naszych wspólnych rozkoszy cielesnych? Czy może chcesz w nim widzieć upragniony owoc naszej miłości?

– Myślę, że dziecku byłoby przykro być ubocznym efektem.

– To znaczy, że powinno być owocem miłości. Lecz ty przecież nie jesteś we mnie zakochany. Ja ci się podobam, oczywiście, ale to jeszcze nie miłość.

– Tak. Inga, ty mi się bardzo podobasz.

– Ot i widzisz. I ty mi się bardzo podobasz, lecz to jeszcze nie miłość. My musimy zasłużyć na wzajemną miłość.

– Na pewno się naczytałaś czegoś dziwnego Inga? Miłość – to takie uczucie, które przychodzi samo nie wiadomo skąd. I odchodzi nie wiadomo dokąd. Zasłużyć można na szacunek, lecz miłość...

– A powinniśmy byli zasłużyć właśnie na wzajemną miłość. Pomoże nam w tym nasz syn.

– Syn! Czujesz, że będziemy mieli syna?

– Dlaczego będziemy? Już go mamy.

– Jak to mamy? – Wiktor zerwał się z miejsca. – To znaczy, że już masz dziecko? Znaczy, że ukrywałaś. Czyje ono? Ile ma?

– Twoje. I jeszcze nie ma lat.

– Więc jeszcze go nie ma?

– Jest.

– Słuchaj Inga, ja ciebie absolutnie nie rozumiem. Mówisz jakieś dziwne rzeczy. Możesz mówić trochę jaśniej?

– Spróbuję. Oto ty, Wiktorze, zapragnąłeś dziecka i zacząłeś o nim myśleć. Potem i ja zapragnęłam i też zaczęłam o nim myśleć. Teraz wiadomo: ludzka myśl jest materialna. A to znaczy, że jeżeli wyobrazimy sobie w myślach swoje dziecko, to ono już jest.

– A więc gdzie ono teraz jest?

– Nie wiem. Być może w jakimś innym, nieznanym nam wymiarze. Być może w jakiejś Uniwersalnej galaktyce biega bosymi nóżkami po gwiazdach i ogląda błękitną Ziemię, na której czeka je wcielenie się w materię. Może właśnie teraz wybiera miejsce, gdzie ma się urodzić i w jakich warunkach i jakoś chce nam to zakomunikować. Ty nie słyszysz, nie czujesz jego próśb?

Wiktor patrzył na Ingę szeroko otwartymi oczyma, jakby widział ją po raz pierwszy. Nigdy nie rozważała tej kwestii w taki sposób. Było dla niego niezrozumiałe: czy mówi żartem, czy serio? Ale zdanie: "Może właśnie teraz wybiera miejsce, gdzie ma się urodzić..." – zmusza do zastanowienia.

Ludzie rodzą się w różnych miejscach: zdarza się, że i w samolocie i na statku lub w samochodzie, wielu rodzi się na porodówkach, niektórzy w domu, w wannach. Rodzą się, jak wypadnie, ale gdzie dzieci chciałyby się rodzić? Ot, na przykład on, Wiktor – gdyby była możliwość wyboru, gdzie chciałby się urodzić? W Rosji, czy w najlepszej porodówce Anglii, Ameryki? Żaden z wariantów jakoś szczególnie go nie pociągał. Inga przerwała refleksje Wiktora:

– Mam dokładny plan naszych wspólnych przygotowań do spotkama z naszym synem.

– Co to za plan? – Słuchaj mnie uważnie, mój drogi. – Inga mówiła stanowczo jak nigdy wcześniej, to siadała na fotelu, to przechadzała się po pokoju.Wpierw powinniśmy całkowicie uporządkować swój stan fizyczny. Odtąd nie będziemy palić, pić alkoholu. Przeprowadzimy oczyszczenie organizmu, przede wszystkim nerek i wątroby, za pomocą wywarów i głodówek. Metodę już wybrałam.

Odtąd będziemy pić tylko źródlaną wodę – to bardzo ważne. Mnie już przywożą codziennie po pięć litrów źródlanej wody – prawda, że to jest dwa razy drożej niż w sklepie, lecz to nic, damy sobie radę.

Każdego dnia niezbędne jest nam wysiłek fizyczny, ćwiczenia, by mięśnie stały się mocne, a krew w żyłach płynęła intensywniej. Nieodzowne jest też świeże powietrze i pozytywne emocje, a to nie takie łatwe w realizacji.

Wiktorowi spodobała się stanowczość Ingi i jej plan. Nie wysłuchawszy go do końca, oznajmił:

– Kupimy najlepszy sprzęt do ćwiczeń fizycznych, ściągniemy najlepszych masażystów. Ja codziennie będę wysyłać jednego ze swoich kierowców po wodę źródlaną. Po powietrze też będzie jeździć kierowca do lasu, wtłaczać je kompresorem pod ciśnieniem do balonów, a potem my je po troszeczku będziemy wypuszczać w mieszkaniu. Tylko nie wiem, skąd wziąć czy gdzie kupić pozytywne emocje. Może pojeździmy do dobrych uzdrowisk, w ramach podróży poślubnej? Właśnie w poślubną podróż.

Entuzjazm Wiktora wzrastał z każdą minutą. Nastrój się poprawiał i z powodu stanowczego, poważnego i rozsądnego podejścia Ingi do urodzenia dziecka i dlatego, że ona chce urodzić jego dziecko. I także dlatego, że ujrzanego przezeń we śnie jego przyszłego syna urodzi nie jakaś materialistka, pusta kobieta, ale Inga, tak poważnie i odpowiedzialnie podchodząca do tego. Tak bardzo chciał dziś zrobić coś szczególnie przyjemnego dla Ingi, którą już traktował jak matkę swojego przyszłego syna!

Wiktor wstał, szybko włożyło ubranie, podszedł do Ingi i powiedział uroczyście:

– Ingo, wyjdź za mnie za mąż!

– Naturalnie, wyjdę – tonem Wiktora odpowiedziała Inga, zapinając podomeczkę.

– Nasz syn powinien mieć oficjalnych rodziców. Tylko W podróż poślubną nie warto jechać do eleganckich kurortów, bo to nie jest zgodne z moim planem przygotowania do urodzenia dziecka.

– A co jest zgodne? Gdzie jeszcze możemy uzyskać pozytywne emocje?

– Powinniśmy pojeździć po okolicznych wsiach i znaleźć miejsce, które przypadłoby nam do serca. Spodobać się ono powinno i tobie i mnie, a to znaczy, że i naszemu synowi się spodoba, kiedy je zobaczy. Kupimy w tym miejscu hektar ziemi i zbudujesz nieduży domek, w którym powinno zostać poczęte nasze dziecko. Pozostanę w tym miejscu całe dziewięć miesięcy, być może, oddalając się od niego tylko na krótki czas. Posadzimy na swojej ziemi młody ogród. Będę rodzić naszego syna nie na porodówce, ale w małym domku w naszej rodowej siedzibie.

Wiktor nie mógł uwierzyć w to, że Inga – młoda, atrakcyjna kobieta, która tak kochała bywanie w ekskluzywnych klubach i popularnych kurortach – jest w stanie tak gwałtownie zmienić swój tryb życia. Z jednej strony pochlebiały mu zamysły Ingi, przecież myślała o jego dziecku, ale z drugiej strony, czy nie ma w tych zamysłach jakichś elementów anormalności? Słyszał od jednego swojego znajomego o istnieniu książek opowiadających o nadzwyczajnym przygotowaniu do urodzenia dziecka. Znajomy opowiadał też o znaczeniu własnego hektara ziemi dla każdej rodziny i podarował mu książkę w zielonej oprawie pod tytułem Księga Rodu. Nie zdążył jej przeczytać, ale słyszał, że te książki wywołują burzliwą reakcję w społeczeństwie. Ludzie, którzy je przeczytali, zaczynają zmieniać swój tryb życia.

Nagle spojrzenie Wiktora zatrzymało się na stercie książek w zielonych oprawach, leżących na szafce nocnej przy łóżku. Podszedł, przeczytał nazw ę serii: Dzwoniące Cedry Rosji. Była też wśród nich Księga Rodu. Wiktor zrozumiał: wszystkie niezwykłe pomysły na przygotowanie do urodzenia dziecka, do samego porodu Inga zaczerpnęła z tych książek i ma zamiar nieustępliwie przy nich obstawać. Nie rozumiał, czy to dobrze, czy źle.

Nadzwyczajność przeświadczenia Ingi wzbudziła czujność. Dosłownie jakby ktoś niewidzialny zmienił jej poglądy na obecne życie, zmienił jej światopogląd. Czy jednak te książki zmieniły Ingę na lepsze, czy może uczyniły ją nieco dziwną? – znowu i znowu zadawał sobie to pytanie Wiktor i zaczął jej oponować:

– Wiem Inga, że te pomysły zaczerpnęłaś z tych książek. Słyszałem o nich. Jednych one zachwycają inni mówią: wiele w nich bajkowości, nie do udowodnienia. Być może nie należy ślepo wierzyć wszystkiemu, co w nich napisane? Sama pomyśl, po co mamy nabywać jakiś kawałek ziemi, budować

na nim nieduży domek i kaleczyć się, sadząc drzewa?

Moje środki pozwalają na zakup okazałej willi z dobrze zagospodarowanym terenem, basenem, trawnikami, ścieżkami i ogrodem, jeśli tego chcesz.

– Kupić, oczywiście, można wiele, nawet imitację miłości. Ale ja chcę, abyśmy ogród posadzili sami – z ogromnym wzruszeniem wypaliła Inga.

– Tylko sami! Ponieważ chcę powiedzieć mojemu synowi, kiedy podrośnie: tę jabłonkę, synku i gruszę i wiśnię ja sama posadziłam i podlewałam, gdy byłeś jeszcze zupełnym maluszkiem. Zrobiłam to dla ciebie. Byłeś całkiem mały i drzewka były małe. Teraz urosłeś i one też wyrosły, zaczęły wydawać dla ciebie owoce. I całą przestrzeń wokół twojej małej ojczyzny starałam się uczynić dla ciebie miłą i piękną.

Płomienna wypowiedź Ingi była przekonująca i spodobała się Wiktorowi. Zaczął nawet ubolewać, że nikt w życiu nie może go zaprowadzić do takiego właśnie ogrodu i powiedzieć: "Ten ogród posadzili i wyhodowali dla ciebie twoi rodzice". Tak, naturalnie Inga ma rację, ale dlaczego ona mówi tylko o sobie, tak jakby jego nie było? – pomyślał Wiktor i lekko urażony zapytał:

– A dlaczego to ty Inga, będziesz opowiadać dorastającemu synowi tylko o sobie?

– Bo przecież ty nie chcesz sadzić ogrodu – spokojnie odpowiedziała.

– Co znaczy "nie chcesz"? Chcę i to jeszcze jak, jeżeli to dla przyszłego dziecka niezbędne!

– Zatem jeżeli razem wszystko będziemy robić, opowiem naszemu synowi: ten oto ogród my z tatą posadziliśmy dla ciebie.

– Otóż to – uspokoił się Wiktor.

* * *

Przez dwa miesiące każdego weekendu krążyli po obrzeżach miasta, wyszukując miejsca na budowę swojej przyszłej rodowej siedziby. To bardzo pasjonujące zajęcie i w danym momencie wydawało się Wiktorowi: nie ma w życiu nic ważniejszego niż wyszukiwanie jedynego na świecie miejsca, które powinno przypaść mu do serca – a to oznacza, że i przyszłemu synowi.

I oto pewnego razu zatrzymali się na peryferiach zapadłej wioszczyny, leżącej w odległości trzydziestu kilometrów od miasta.

– To ono – cicho powiedziała Inga, wychodząc pierwsza z samochodu.

– I ja coś tutaj czuję – odpowiedział Wiktor.

Później przyjechali jeszcze raz w to miejsce, spędzili tam cały dzień, oglądali teren, rozmawiali z miejscowymi. Dowiedzieli się, że ziemia jest tu niezbyt urodzajna: płytko są wody gruntowe. Ale Wiktora to nie zmartwiło, gdyż odczuwał w sobie coraz silniejsze przeświadczenie, że ta ziemia, rosnące na niej małe brzózki, niebo i chmury nad nim – wszystko to jest mu bliskie. Jemu i jego przyszłemu synowi. Jego i Ingi wnukom i prawnukom. A że ziemia niezbyt urodzajna, to nie problemuczyni ją urodzajną.

Przygotowanie dokumentów na zakup dwóch hektarów ziemi zajęło niewiele czasu, a już po czterech miesiącach stał na działce śliczny, niczym mały zameczek z bajki, mansardowy dom ze spadzistym dachem z mocnych, ociosanych bali.

W niedużym domku-zameczku była sauna, ekologiczna toaleta, zimna i gorąca woda, czerpana wprost ze studni wykopanej na działce. A na pierwszym piętrze – przytulna sypialnia, z której okna roztaczał się widok na jezioro i las.

Całe urządzenie domku obmyślała Inga, planowała też sadzenie roślin na działce – razem sadzili cedry, świerki, sosny na obrzeżach działki, małe sadzonki drzew owocowych. Każdego wieczoru Wiktor śpieszył się do swojego domku, do swej przyszłej siedziby, gdzie krzątała się w gospodarstwie przyszła matka jego dziecka.

Wszystkie kobiety, które Wiktor znał wcześniej, nie tyle odeszły na dalszy plan ile już po prostu nie istniały dla niego. Nietypowe podejście Ingi do urodzenia dziecka rodziło w nim nowe uczucia. Nie były one jeszcze do końca zrozumiałe, być może nie przypominały zwyczajnej miłości, lecz on wiedział z całym przeświadczeniem, że już nigdy nie będzie mógł się z nią rozstać, to ona i tylko ona.. .

Tylko z nią można zbudować przyszłość. Jeździli razem do Moskwy na kurs rodzenia dzieci w domowych warunkach. Jedno dziwactwo Ingi wprawiało Wiktora w zakłopotanie: stanowczo odmawiała mu intymnych zbliżeń, powołując się na to, że ich dziecko powinno się urodzić nie w konsekwencji cielesnych rozkoszy, ale z innego, niepomiernie większego i znaczącego pragnienia człowieka.

Autor tych zielonych książeczek przeholował: nie w konsekwencji cielesnych rozkoszy – a czy coś takiego jest możliwe?

Ale pewnego razu, kiedy leżał w łóżku obok Ingi, nie mając nadziei na żaden seks i myśląc tylko o przyszłym synu, dotknął jej piersi – Inga nagle przylgnęła do niego i objęła...

Rano, kiedy Inga jeszcze spała, Wiktor poszedł nad jezioro, a świat wokół niego był już zupełnie inny: niezwykły i radosny.

Tego, co zdarzyło się tej nocy, nigdy wcześniej nie doznał ani z Ingą, ani z innymi kobietami. To nie był zwyczajny seks. To był natchniony poryw stwarzania. Okazuje się, że ludzie rodzą się i umierają. Ale jeśli przez całe życie nie doznają czegoś podobnego, omija ich być może to, co jedyne i najważniejsze. Lecz jego ta najważniejsza rzecz nie ominęła dzięki Indze. I nowe, ciepłe, a nawet gorące uczucia zrodziły się w nim ku tej jego jedynej w życiu kobiecie – Indze.

* * *

Całe dziewięć miesięcy swojej ciąży Inga spędziła w rodowej siedzibie, czasem tylko wyjeżdżając do miasta. Planowała, gdzie będzie stał wózek, łóżeczko i nawet zmusiła Wiktora, aby zasiał niewielki trawnik, po którym będzie chodził ich mały syn. A poród zaczął się tydzień przed ustalonym terminem. Widać spieszno było ich przyszłemu synowi pojawić się w przepięknej ziemskiej przestrzeni.

Na kursach rodzenia Wiktor zdobył wiedzę na temat tego, co powinien robić ojciec, pomagając przy porodzie, ale jedyną rozsądną rzeczą, jaką mógł zrobić, było wezwanie znajomej akuszerki i na wszelki wypadek "pogotowia ratunkowego". Indze przyszło samej napełniać wannę wodą, przygotowywać ręcznik, mierzyć temperaturę wody, a on miotał się po pokoju i usiłował sobie przypomnieć, co tak bardzo ważnego miał zrobić, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, co to było.

Inga, nie mając nadziei na pomoc męża, sama wlazła do wanny. Bóle porodowe trwały, lecz ona, kiedy zaczynała przeć, po prostu radośnie i uroczyście śpiewała swoim pięknym głosem.

W końcu z całego ogromu tego, o czym mówiono na kursie, Wiktor przypomniał sobie o pozytywnych emocjach. Spojrzał na parapet i zobaczył, że rozkwita na nim kwiat posadzony przez Ingę. Schwycił doniczkę, wbiegł z nią do łazienki, ze wzruszeniem powtarzając:

– Spójrz inga, twój kwiat zakwitł! Zakwitł twój kwiat! Zakwitł, popatrz tylko!

Stał też tak z tym kwiatem, kiedy pojawiło się w wannie maleńkie ciałko jego syna.

Akuszerka przyszła, kiedy już Inga położyła na brzuch to malusieńkie ciałko. Ujrzawszy Wiktora stojącego z doniczką w rękach, szybko zapytała:

– Co pan robi?

– Rodzę syna – odpowiedział Wiktor.

– A... – akuszerka ze zrozumieniem przytaknęła. – W takim razie proszę postawić na parapecie swoją doniczkę i przynieść mi...

"Trzeba powiedzieć wszystkim mężczyznom..." – myślał Wiktor, już po raz kolejny obiegając wokoło domek.

Prawdziwa i wieczna miłość pojawia się tylko wtedy, kiedy razem z ukochaną rodzisz długo oczekiwane dziecko.

TAK TO JEST

Tak to jest: życie mija, a my nawet nie próbujemy się zorientować w kwestiach dotyczących istoty ustroju społecznego. A przecież to jedno z najważniejszych zagadnień w życiu. To pytanie nurtowało mnie od dawna. Chciałem, aby Anastazja obejrzała związane z budową rodowych siedzib dokumenty, które przywiozłem ze sobą, jak również mój list do Prezydenta Rosji i przygotowane przez czytelników projekty ustaw.

Ale po namyśle postanowiłem ich nie dawać: nie chciałem jej zakłócać spokoju, zwłaszcza że jeżeli ona zaszła w ciążę, to niezbędne są jej pozytywne, a nie negatywne emocje.

Koniec końców całą paczkę dokumentów, które tu przywiozłem, oddałem dziadkowi i poprosiłem go, aby wyraził swój pogląd w tej kwestii.

– Oho – powiedział dziadek, przyjmując z moich rąk ciężką paczkę i zauważył: – A ty cóż, Władimirze, chcesz, bym to wszystko przeczytał?

– Tak, chcę usłyszeć dziadka opinię na temat tej skomplikowanej sytuacji.
– A po co ci to?
– Po to, by ukierunkować swe dalsze działania.
– Swoje działania sam winieneś określać, bez jakichkolwiek rad.
– To znaczy, że nie chce ich dziadek czytać?
– No dobrze, przeczytam, bo jeszcze się obrazisz.
– Nie obrażę się. Jaki sens czytać z taką jawną niechęcią?
– Sens? Sens tkwi w tym, żeby czasu nadaremnie na niepotrzebne rzeczy nie tracić.

Dziadek usiadł na trawie pod cedrem, otworzył teczkę i zaczął nieśpiesznie przerzucać kartki. Czasem jego spojrzenie zatrzymywało się na jakiejś stronie. Czasem, przebiegając wzrokiem, po prostu odwracał kolejną kartkę. Po jakimś czasie powiedział:

– Władimirze, ja muszę uważnie wszystko przejrzeć, pospacerowałbyś tymczasem.

Odszedłem na odległość dwudziestu metrów od dziadka i zacząłem się przechadzać w tę i z powrotem w oczekiwaniu, kiedy on zakończy czytanie przywiezionych przez mnie dokumentów i przygotowanych dla almanachu artykułów. Z ich tekstami chciałbym zaznajomić i was, szanowni czytelnicy.

Rozmowa z prezydentami

Otóż, powiedzcie, proszę, szanowni państwo, prezydenci, premierzy i kanclerze, kto faktycznie rządzi państwami?

Na pierwszy rzut oka takie pytanie wygląda dziwnie, nawet uczeń, odpowiadając na nie, powie: "Krajem rządzą prezydent, rząd, parlament".

Lecz taka odpowiedź świadczy tylko o przeogromnej iluzji, jaka owładnęła społeczeństwem i to nie tylko w naszym kraju. W tej iluzji trwają zarówno ludzie prości, jak i sami rządzący. Drogą logicznego myślenia można i trzeba ją rozwiać. Ludzie nie mogący sobie uświadomić iluzoryczności, która zrodziła się na Ziemi, umrą, nie przeżywszy swojego życia, ponieważ ich tak zwane życie jest tylko iluzją.

Zatem – rozwiać! I tak, przede wszystkim ustalmy, co to takiego "rządzenie krajem". Rzecz najważniejsza: jest to – być może i tylko sterowanie społecznymi procesami i zjawiskami zachodzącymi w społeczeństwie. Za najważniejszą osobę w tym sterowaniu uważa się prezydenta.

Zapytajmy więc:

– Panie prezydencie, proszę powiedzieć, czy steruje pan rozwojem narkomanii w naszym kraju?
– Nie – odpowie prezydent – ja nie steruję tym procesem.
– A gwałtownym rozwojem prostytucji?
– Nie, nie steruję. – A rozwojem korupcji, łapówkarstwa?
– Nie, nie steruję.
– A wymieraniem ludności?
– Ależ skąd! Ja nie steruję wymieraniem.

Można zadać bardzo dużo pytań, na które odpowiedź będzie brzmiała: "Nie, nie steruję'. Innej odpowiedzi dać nie można, ponieważ inna odpowiedź będzie charakteryzować rządzącego jako przestępcę.

Ot co: w społeczeństwie zachodzą wyraźne procesy o bardzo szerokim zasięgu, wywierające wpływ na życie każdego człowieka, lecz ani sprawujący rządy, ani cała armia podległych mu urzędników nie ustosunkowują się w żaden sposób do tychże procesów. W takim razie czym oni kierują?

Jeżeli przyjrzeć się uważnie, okaże się, że oni mimo woli, sami tego nie podejrzewając, sterują ukrywaniem tych naprawdę te rządy sprawujących, prawdziwych rządzących, którzy, jak sami rozumiecie, mają się przed czym ukrywać.

A propos, ani teoretycznie, ani praktycznie żaden prezydent, kanclerz lub premier nie może być osobą rządzącą państwem – oni tylko wyrażają cudzą wolę, przyjmując ją za swoją, a naukowo mogą to uzasadnić na przykład naukowcy-psychologowie.

Możemy zrozumieć to i my, uważnie dokonując wnikliwej analizy swojego życia.

Czy na nasze życie nie wywiera wpływu ktoś w przedszkolu, szkole, na uczelni? Jeśli chcą – wychowują nas na komunistów, jeśli chcą – na faszystów lub też demokratów, jak teraz! przez to wychowywanie-sugestię inspirują odpowiednie procesy społeczne.

"Rzeczywistość musimy określać tylko my sami" – powiedziała Anastazja. Dobre i właściwe słowa. Ale żeby zrozumieć rzeczywistość, trzeba myśleć. Obecny tryb życia jednak nie pozostawia czasu na rozmyślania, korzystamy więc z cudzego, narzuconego sposobu określania rzeczywistości.

A głowa państwa ma znacznie mniej czasu na rozmyślania niż prości ludzie. Jego rozkład dnia jest rozpisany w godzinach i minutach i częstokroć nie przez niego samego.

Jak wzrokiem sięgnąć, przeszłość historyczna również mówi o widocznej dla wszystkich niemożności rządzenia państwem przez głowę państwa.

Wiadomo, że w starożytnym Egipcie faraon był wychowywany przez kapłanów i naturalnie oni zawczasu znali wiele jego przyszłych decyzji. Lecz również w okresie jego rządów oni wciąż udzielali mu rad. Faraon faktycznie tylko wyrażał cudzą wolę.

Na Wschodzie władcy także mieli na dworze mędrców i się ich radzili. I kapłani starożytnego Egiptu i wschodni nadworni mędrcy i nasi wróżbici z epoki Wiedyzmu nie obarczali siebie sprawami państwowymi. Ich główne zadanie polegało na analizie i rozmyślaniach.

Brak takiej możliwości u obecnych rządzących i parlamentarzystów pozbawia ich szansy skutecznego wpływania na zachodzące w społeczeństwie procesy, pozbawia ich władzy.

Potwierdził to pewien dobrze znany delegat trzech kadencji, doktor nauk ekonomicznych, profesor. Lecz zrobił to dopiero wtedy, gdy zostawił swoje poselstwo i zyskał możliwość rozmyślania, analizowania.

Świadczy o tym skandaliczna sytuacja, nagłośniona przez prasę, kiedy poseł obecnej Dumy zwrócił się do Sądu Konstytucyjnego z oświadczeniem, że zastępca szefa administracji Prezydenta w arogancki sposób poradził grupie posłów nie zastanawiać się, tylko robić to, co im każą.

Jakkolwiek paradoksalne by to było, to jednak zastępca szefa administracji okazał się, być może intuicyjnie, najbliższy prawdzie. Łatwiej mu jest operatywnie i efektywnie podejmować decyzje samodzielnie niż patrzeć, jak cały tłum, nie mający możliwości myśleć, drepcze w miejscu wokół tych decyzji. A potwierdzeniem tego jest brak w dzisiejszych partiach, które weszły do Dumy, choć w pewnym stopniu wyraźnego, zrozumiałego dla narodu programu.

Sytuacja z już nagłośnionymi ideami i programem Anastazji najwyraźniej pokazała niezdolność istniejącego systemu do podejmowania samodzielnych decyzji.

Program Anastazji poparło mnóstwo ludzi i jak wykazała analiza, w przytłaczającej większości są to osoby prowadzące trzeźwy tryb życia i skłonne do rozmyślań. Masa ludzi w różnych rejonach kraju, przezwyciężając trudności, przystąpiła do jego realizacji. A na poziomie rządowym znaleźli się ludzie niezdolni nawet uświadomić sobie tego, co zaszło w społeczeństwie.

Co więcej, zaczęły się przeciwdziałania i właśnie one ujawniły wpływ zewnętrznych sił na Rosję, pokazały fakt rządzenia krajem bynajmniej nie przez jego własny rząd.

Oczywiście, te przeciwdziałania nie odbywają się na poziomie kapłanów, którzy programują na stulecia i tysiąclecia. Są one prostsze, a konkretniej: stanowią wytwór upadłego już ustroju politycznego, w którym Rosji przyznano miejsce surowcowego dodatku Zachodu i rynku zbytu dla produktów o niskiej jakości. Pod określeniem "Zachód" nie należy rozumieć ludności Europy, Ameryki. Jest nim grupa międzynarodowych korporacji i finansistów, zainteresowanych własnymi zyskami.

Jak wszyscy możemy się przekonać, w ciągu ostatnich dziesięcioleci ich plany były realizowane z dużą intensywnością, a nasi rządzący w realizacji tych planów – delikatnie mówiąc – nie przeszkadzali. Stanowi to jeszcze jedno wyraźne potwierdzenie, że nie dysponują oni prawdziwą władzą.

Jedynie program Anastazji może udaremnić upadek państwa i wyniszczenie znacznej części jego ludności.

"Zatem po co – słusznie może zauważyć większość czytelników nadal zwracacie się do tego, kto nie ma władzy i nie jest w stanie czegokolwiek zmieniać?". Odpowiem.

Po pierwsze. Szanowni czytelnicy, przecież zwracam się nie tylko do władzy, ale przede wszystkim do was, w nadziei, że wspólnymi siłami będziemy w stanie zrozumieć sytuację, w której się znaleźliśmy. W nadziei, że ta sytuacja zostanie przedstawiona w waszej interpretacji w księgach rodu. Koniecznie to trzeba uczynić. Inaczej nie tylko nas, ale i nasze dzieci czeka przyszłość nie do pozazdroszczenia.

Po drugie. Pamiętam pytanie Anastazji: "Kto jest winien, że jesteśmy głusi na prawdę: ci, którzy ją głoszą, czy ci, którzy jej nie przyjmują?". Myślę, że ja również jestem odpowiedzialny za brak dostatecznego wsparcia ze strony państwa dla tych, którzy zaczęli budować swoje rodowe siedziby. Nie potrafiłem

przedstawić tej idei językiem zrozumiałym dla urzędników. Niby język jest jeden, wspólny, ale różne warstwy ludności w różny sposób się nim posługują i nadają słowom różny sens.

Oznacza to, że nie władam zrozumiałym dla urzędników językiem.

W administracji Prezydenta, Rządzie i Dumie są ludzie tacy sami, jak i my. Oni też mają dzieci, żony i wnuki, dla których pragną, tak jak wszyscy rodzice, świetlanej przyszłości. Jeżeli jednak będą w stanie zrozumieć sytuację, to odzyskają prawdziwą władzę i będą mogli istotnie wpłynąć na pozytywne procesy zachodzące w społeczeństwie. Lecz gdzie i jak znaleźć słowa, zdolne zatrzymać tę marność nad marnościami? Trzeba szukać! Inaczej przyjdą nowi politycy, ale oni również dostaną się w tryby tego samego systemu, blokującego ich myśl.

Dlatego też zwracam się do was, moi czytelnicy, z prośbą: poszukajmy wspólnie słów, zrozumiałych dla różnych warstw społeczeństwa.

Dlatego po raz kolejny, obstając przy swoim stanowisku, zwracam się do naszego Prezydenta i Rządu.

Do Prezydenta i Rządu Federacji Rosyjskiej

Niewątpliwie, jako najwyższy organ władzy państwa rosyjskiego, jest Pan bardziej niż ktokolwiek inny zainteresowany rozkwitem naszego kraju. Jak każda głowa państwa, chciałby Pan zyskać uznanie narodu i po okresie swoich rządów – jako najjaśniejszym, tym, który dał podstawy rozkwitu państwa i jego obywateli – zostawić dobrą pamięć.

Każda rosyjska rodzina też chce uczynić swoje życie, swój byt godnymi ludzkiego istnienia. I każda matka, która urodziła dziecko, marzy o jego szczęśliwej przyszłości, rozumiejąc, że jest ona możliwa tylko w tym przypadku, kiedy państwo całościowo zwróci się w dobrym kierunku – zrozumiałym i przewidywanym.

Stara się Pan ukierunkować na to państwowe instytucje, Rząd, ministerstwa, władze regionalne. Jednakże mimo szczerości Pańskich intencji i wysiłku aparatu państwowego w kraju nadal się szerzą: korupcja, narkomania, prostytucja, przestępczość nieletnich i wiele innych negatywnych zjawisk.

Komplikuje się sytuacja ekologiczna i demograficzna. Rozpadają się rodziny. Liczba ludności kraju z roku na rok maleje. Naród po prostu wymiera.

Wszystko, co Pan czyni, jest bardzo ważne: wzmocnienie linii pionowej władzy, reorganizacja aparatu państwowego, reforma armii, reduplikacja PKB w ekonomii. Wszystkie wskaźniki dotyczące kraju są dodatnie, zatem dynamika rozwoju jest pozytywna, lecz ludzie tego nie czują. Mieszkańcom naszego kraju – sąsiadom, współpracownikom, kolegom z pracy, krewnym, rodzicom i dzieciom – coraz trudniej rozumieć siebie nawzajem, znajdować czułe i dobre słowa, budować swoje relacje na uczciwości, przyzwoitości i zaufaniu. Strach przed jutrzejszym dniem, lęk o przyszłość swoich dzieci nie zmniejszają się. Czy to nie są najważniejsze wskaźniki?

Walka z negatywnymi zjawiskami prowadzona jest coraz aktywniej, ale tego, co negatywne, nie ubywa. Dlaczego? Dlaczego życzenia narodu, dążenia Prezydenta nie pokrywają się z rzeczywistością?

Czyż nie czas, abyśmy wszyscy spojrzeli prawdzie prosto w oczy i wyciągnęli następujący wniosek: walka jest prowadzona tylko z konsekwencjami, a nie z przyczynami, które je zrodziły? Czyż nie pora, by otwarcie Pan przyznał, że istnieje w naszym kraju obca społeczeństwu ideologia, rozumiejąc, że wiele negatywnych procesów jest inspirowanych przez określone siły? Pan, jako były funkcjonariusz służby bezpieczeństwa, nie może o tym nie wiedzieć.

Narody są zwodzone przez te siły do takiego stopnia, że zaczynają nieadekwatnie odbierać rzeczywistość. Najprostszy przykład: reklama. Zarówno uczeni psychoanalitycy, jak i prości ludzie rozumieją: zmasowana reklama jest niczym innym, jak tylko mechanizmem, potężnie oddziałującym na psychikę człowieka. Za pomocą tego mechanizmu można zmusić ludzi z wielu krajów do stosowania w pożywieniu szkodliwych dla zdrowia artykułów spożywczych, noszenia niewygodnej odzieży, głosowania na określonych polityków. I ten mechanizm kolosalnego oddziaływania na masy znajduje się niejako w Pańskich rękach, w rękach rządu kraju. Czy tak? Stanowczo nie! On ma innego pana. Za próby uporządkowania tej kwestii od razu posypią się oskarżenia o naruszanie wolności słowa. Te zarzuty wysuną ci, którzy w istocie nie zakładają wolności słowa w odniesieniu do narodu. Środki masowego przekazu znajdują się faktycznie w rękach magnatów finansowych.

I potworne kłamstwo wpajają całym narodom, ukrywając się za cynicznym wytłumaczeniem, że reklamodawcy opłacają całą telewizję, wszystkie ciekawe programy, które "wy tak lubicie oglądać". Ale żadni reklamodawcy nie opłacają pracy telewizji. Oni tylko przekazują telewizji część zebranych od ludzi pieniędzy, które wliczyli w cenę swoich towarów, na pokrycie kosztów reklamy w telewizji, radiu i na środkach transportu oraz reklamy zewnętrznej. W ten sposób cały naród opłaca pracę telewizji, kupując produkty spożywcze, a właściwie chemiczno-spożywcze – z uwagi na dodatek chemii i niskiej jakości towary masowej konsumpcji. Opłaca nieudolne i ewidentnie banalne programy telewizyjne i seriale, propagujące wzorzec maniakalnie zatroskanego neandertalczyka.

Nauka obrazowości – w czyich rękach znajduje się ideologia kraju?

Od zawsze ideologie państw powstawały za pośrednictwem mechanizmów oddziaływania na ludzką społeczność poprzez wzorce, poprzez ukrytą starożytną znajomość nauki obrazowości. Ktoś z naukowców może zauważyć, jakoby takiej nauki w ogóle nie było. Ale ona istnieje. A jej obecność określa się nie chęcią naukowców, lecz samą istotą człowieka. Człowiek jest tak skonstruowany, że myśli – a myśli kształtują obraz.

W ostatnich czasach istnienie nauki obrazowości często wiąże ze starożytnym Egiptem. Historii znane są fakty, gdy za pomocą tworzonych przez kapłanów obrazów państwa odzyskiwały niepodległość albo przejmowano władzę nad całymi ludami.

Podobną wiedzę próbowały zdobyć służby specjalne hitlerowskich Niemiec, a w okresie radzieckim – trzynasty wydział specjalny KGB.

Dzisiejsi specjaliści od wizerunku politycznego Zachodu, a teraz już i nasi intuicyjnie wykorzystują elementy tej nauki. Stąd i wyrażenia: "stworzyć image", "tryb życia", "wzór myślenia", "wizerunek kandydata".

Dla ekspertów od wizerunku politycznego nie jest ważne, jakie są wewnętrzne dążenia kandydata, jakim jest człowiekiem, dobrym czy też złym specjalistą. Za pieniądze i za pomocą mass mediów socjotechnicy kształtują wizerunek, który powinien się spodobać narodowi. I ludzie głosują w wyborach nie tyle na człowieka ile na wizerunek stworzony przez specjalistów. Jeszcze minie trochę czasu, a będziemy głosować na gumowego posła i gutaperkowego prezydenta.

Największym kunsztem ekspertów zdecydowanie wyższej rangi w tej dziedzinie jest kształtowanie wizerunku państwa i całych narodowości.

W wielowiekowej historii ludzkości znajdziemy masę przykładów rządzenia państwem za pomocą obrazów. Najbardziej jaskrawy i zrozumiały przykład działalności wysokiej klasy specjalistów w zakresie polityki – "nowoczesnych kapłanów" – dla współczesnego człowieka może stanowić sytuacja, która przydarzyła się narodom Rosji w ciągu ostatniego stulecia.

Nastąpił rozpad Związku Radzieckiego – jednego z najpotężniejszych imperiów na świecie. Ale co poprzedzało stworzenie ZSRR, a następnie jego rozpad?

Przed powstaniem ZSRR stworzono porywający wzorzec przyszłego socjalistycznego, a zatem i komunistycznego państwa. Właściciele ziemscy, przemysłowcy zaczęli stanowić w tym wzorcu krwiopijców ludu robotniczego. W Rosji jeszcze panował car. Monarchia zdawała się niezachwiana. Jednakże w tym samym czasie już działał wzorzec przyciągający swoich zwolenników, którzy znajdowali przeróżne drogi zniszczenia monarchii i stworzenia nowego państwa. Według nowego wzorca.

Rozpad ZSRR również poprzedzało ukształtowanie obrazu ZSRR jako państwa totalitarnego i rozważano konieczność stworzenia nowego – szczęśliwego, wolnego, demokratycznego państwa na wzór zachodni. Rząd, przywódcy państwa zaczęli być przedstawiani w roli krwiożerczych ciemięzców wolności i ludu. Ustrój socjalistyczny – stał się ustrojem nie do przyjęcia, prowadzącym w ślepy zaułek. Stworzone przez reżyserów, aktorów i artystów malarzy wizerunki komunistów, na których wychowywały się całe pokolenia, odsunięto na bok. A co w zamian?

Powstałą próżnię zaczęły wypełniać obrazy rozkwitających biznesmenów, bandytów, prostytutek, hollywoodzkich piękności. Młodzież stara się naśladować ich nawyki i zachowanie. Kryterium powodze-

nia bezwarunkowo staje się dobrobyt materialny. Kto i jak go zdobył – to się nie liczy. Całemu narodowi obwieszczono konieczność budowania rozwiniętego demokratycznego państwa, lecz przy tym przemilczano i wciąż się przemilcza problemy nie do pokonania istniejące za granicą: narkomanię, kolosalną korupcję, pogorszenie stanu ekologii, depresję psychiczną, spadek liczby urodzeń i wiele innych.

Kobiety odmawiają rodzenia, jeśli nie widzą przyszłości dla swoich dzieci.

Narody demokratycznych krajów nie widzą świetlanej przyszłości, lecz nowocześni kapłani muszą przedstawić demokrację w obecnej istniejącej formie jako jedyny przystępny dla ludzkiej społeczności ustrój. Dlaczego? Dlatego że w warunkach dzisiejszej demokracji najłatwiej jest sterować. Najłatwiej schować się za wolnością słowa, wolnością biznesu, wolnością wyboru i wciskać narodowi ciemnotę. I czyni się to nie przypadkowo, ale celowo i z rozmysłem. Z jakim wzorcem sympatyzujecie, tacy i sami się staniecie.

Tym specjalistom w zakresie polityki wiadomo, co będzie się dalej działo z całym narodem. Nazwanie po imieniu inicjatorów kataklizmów, które miały miejsce w Rosji, nie jest trudne. Wystarczy prześledzić, dokąd za każdym razem wypływają cenne zasoby ludzkie i materialne.

Po rewolucji 19l7 roku ogromna fala emigracji na Zachód uniosła z Rosji solidny kapitał, historyczne kosztowności i tradycje, ale rzecz najważniejsza – zasoby ludzkie.

Po rozpadzie imperium sowieckiego reformy i mamiący wzorzec pełnych dobrobytu cywilizowanych krajów przejęły i przejmują nadal nasze materialne i intelektualne zasoby.

Lecz najsmutniejszy jest fakt iż nowoczesny wzorzec, stworzony dla naszego państwa, powołany jest do zniszczenia kraju i narodów w nim zamieszkałych. Do tego wcale nie jest potrzebna wojskowa interwencja. Działa siła bardziej znacząca niż materialna broń. Działa wzorzec. Stworzona kombinacja, którą już dzisiaj mogliby określić analitycy. Jest ona zupełnie nieskomplikowana. Spróbujmy się nad nią zastanowić.

Co teraz budujemy? Dokąd zmierzamy? Specjaliści od polityki mówią: "Budujemy rozwinięte demokratyczne państwo na wzór zachodni. A zatem, gdy je zbudujemy, wszyscy będziemy bogaci i szczęśliwi". "Lecz – słusznie zauważają miliony naszych obywateli – jeżeli na Ziemi już istnieją i rozwinięte i demokratyczne i szczęśliwe państwa, to czy nie prościej od razu tam wyjechać?". I wyjechały miliony do Niemiec izraela, Ameryki i wyjeżdżają nadal, dostarczając tym krajom intelektualnego i materialnego kapitału. A tam – stają się niewolnikami. Wzorzec działa!

A cóż mają robić ci, którzy pozostali w kraju?

"Budować rozwinięte demokratyczne państwo i stawać się bogatym" – mówi wzorzec. Ale cóż dla tego budowania powinien robić współpracownik Wydziału Kontroli Ruchu Drogowego? Sprzedawca w sklepie? Urzędnik administracji? Dla wielu jest to niezrozumiałe. Jak stać się bogatym, otrzymując wynagrodzenie w wysokości trzech, pięciu tysięcy rubli, też nie wiadomo. A przecież wielu już w jakiś sposób wykorzystało dobry moment, jeżdżą drogimi samochodami, budują luksusowe wille, odwiedzają drogie kurorty. Jakoś oni wykorzystali dobry moment.

I zaczyna korzystać z okazji cały kraj. Sprzedawcy i nabywcy, drogówka i urzędnicy, oficerowie i żołnierze, nauczyciele i studenci. Lecz ci, którzy znają naukę o działaniu wzorców, tylko się śmieją z takich wysiłków: "Korzystajcie z sytuacji, szczególnie wy, którzy macie szlify, gdyż potem będziecie tworzyć służbę bezpieczeństwa wewnątrz służby bezpieczeństwa". Walczymy nie z przyczynami, ale ze skutkami, wzorzec już odegrał swoją rolę. Jest on w stanie bez przeszkód przenikać do umysłów polityków i generałów, urzędników wysokiej rangi i ludzi prostych. Dla tego wzorca nie istnieją graniczne strażnice, zamknięte drzwi gabinetów. Porwie on rosyjską dziewczynę z odległej wsi do zamorskiego kraju, zwabi do jakoby szczęśliwego życia i zmusi do uprawiania prostytucji na Cyprze, w Izraelu lub Nowym Jorku. Dla tego niby szczęśliwego życia zmusi urzędnika do brania łapówek, a policjanta – do wejścia w układy z przestępcą. Wzorzec ten to ogromna energia. A nasi politycy ciągle powtarzają i powtarzają, umacniając tym samym zgubny dla kraju wzorzec: "rozwinięte demokratyczne kraje", "cywilizowany Zachód".

Ludzie zdają sobie sprawę: z krajem dzieje się coś niedobrego, dlatego też odnoszą się ze zrozumieniem, kiedy Pan, Władimirze Sylwestrowiczu, dąży do zaprowadzenia porządku, lecz jak to zrobić? Samo wzmacnianie władzy w linii pionowej tu nie wystarcza. Umocnił Pan linię pionową władzy, lecz tym samym umocnił Pan nie tylko swoją władzę, lecz również władzę wzorców.

Tysiące urzędników uzyskały większą władzę, lecz znajdując się pod wpływem wzorca, sami tego

nieświadomi, będą działać na korzyść wzorca. Na korzyść tego, kto go stworzył. A jego twórcy już zdecydowali, że los Rosji jest przesądzony. Ich działania stały się zuchwałe i otwarcie bezczelne. Dla utrwalania swojej władzy, poparcia zgubnego dla kraju image'u skierowano do Rosji specjalnie przygotowanych ekspertów.

Oświadczam oficjalnie, że na terytorium Rosji działają specjalnie wyszkoleni ludzie, których zadaniem jest obserwacja i w razie konieczności dokonywanie korekty ideologicznego elementu państwa. Jak sądzę, Panu Prezydentowi też o tym wiadomo.

Pomyślmy, dlaczego w ciągu ostatnich lat w literaturze pięknej, kinie, w telewizji w naszym kraju tak mało pozytywnych wzorców? Wzorców zdolnych porywać ludzi, prowadzić za sobą, pomagać w budowaniu przepięknej przyszłości dla dzieci. Przecież jeszcze pamiętamy i żyjemy tymi wzorcami, a nasze dzieci?

Wmawiają nam, że to taki popyt większości: wszyscy ludzie chcą oglądać tylko hollywoodzkie piękności, filmy o bandyckich porachunkach informacje o krwawych wydarzeniach. Kłamstwo! Ludzie tego nie chcą! Mówią nam: nie chcesz – nie patrz, nie podoba się – nie słuchaj. Niby wolność wyboru. Ale to niezupełnie tak. A raczej – absolutnie nie tak. Wyboru faktycznie brak! Ani dzieci go nie mają, ani dorośli, a już tym bardziej nie mają go ludzie w podeszłym wieku. Jeżeli nie będziesz w życiu twardym, cynicznym, bezdusznym człowiekiem – droga ku namalowanemu dobru zamknięta. A innej drogi nie ma. Czy nie tak dzieje się wokół Pana? Albo wokół nas? Całe te bachanalia narzuca się specjalnie. Już dawno opracowano specjalne ukryte mechanizmy doboru. Poeci, pedagodzy-nowatorzy, reżyserzy, pisarze, którzy odważyli się tworzyć pozytywne obrazy Rosji, okrutnie są prześladowani. Dla nich po prostu wszystko jest zamknięte.

Czyni się tak właśnie pod pozorem walki z sekciarstwem, prowadzonej przez zachodnie służby specjalne. Podobne oświadczenia można usłyszeć z ust nie tylko oficerów rosyjskich służb specjalnych, lecz również działaczy społecznych i politycznych.

Co do wyższych urzędników administracji Prezydenta Federacji Rosyjskiej – zatem Pańskiej administracji; tak na przykład zastępca szefa administracji Surkow w wywiadzie udzielonym jednej z gazet oświadcza:

"Przeciw Rosji prowadzona jest tajna wojna przez te kręgi w Ameryce, Europie i na Wschodzie, które widzą w naszym kraju potencjalnego przeciwnika. Uważają oni za swoją zasługę prawie bezkrwawy kollaps Związku Radzieckiego i próbują rozszerzyć sukces. Ich cel – to zniszczenie Rosji i zapełnienie jej ogromnej przestrzeni przez wiele niezdolnych do działań quasi-państwowych tworów".

Podobne stwierdzenie jest absolutnie logiczne chociażby z tego względu iż siły, które spowodowały rozpad ZSRR istnieją i zupełnie naturalne jest, że odniósłszy zwycięstwo na określonym etapie, nie wyciszą się i obowiązkowo będą z powodzeniem kontynuować natarcie.

I tutaj szczególnie ważna jest nie tyle konstatacja faktu, ale zrozumienie mechanizmu, poprzez który dokonuje się niszczącego oddziaływania.

Już wiemy: rozpad ZSRR nastąpił nie pod wpływem interwencji zbrojnej, ale wskutek ideologicznej manipulacji ludnością. Ideologia – oto główny mechanizm, za pomocą którego można zniszczyć lub wzmocnić każde państwo. Jednak każda ideologia może oddziaływać na masy, jeżeli jest dobrze skonstruowana i osadzona struktura oddziaływania. Ona istnieje, ale nie jest nasza: działają poprzez nią nie nasze wzorce. A gdzie się podziała nasza? My ją zniszczyliśmy!

W ZSRR istniała – oprócz ideologicznych instytutów i centrów transmisji ideologicznych wydziałów KC KPZR i Ministerstwa Kultury, prasy – ogromna sieć, obejmująca pałace i domy kultury, rejonowe i wiejskie kluby.

Instytucje te umożliwiały milionom młodych obywateli udział w bezpłatnych zajęciach w kołach amatorskiej twórczości artystycznej. W ramach tych zajęć wygłaszano odczyty, przeprowadzano zebrania. Przyjęta w państwie ideologia docierała do mas i stawała się zrozumiała.

W początkowej fazie pierestrojki, kiedy ideologia się zmieniła, sieć tych instytucji zlikwidowano, zaprzestając ich finansowania.

Trudno sobie wyobrazić, aby jadący autostradą kierowca samochodu, zorientowawszy się nagle, że jedzie w niewłaściwym kierunku, zamiast zawrócić i pojechać we właściwym, zaczął nagle rozbierać swój samochód na części. Jednak właśnie coś podobnego miało miejsce w kraju. Kiedy społeczeństwo zdecydowało (nie bez pomocy określonych sił, oczywiście), że podążamy w niewłaściwym kierunku, to

zamiast zawrócić i wykorzystać już istniejący mechanizm, po prostu go zniszczono. A co w zamian?

Podstawowe zadanie w zakresie duchowego wychowania ludności, a przede wszystkim młodzieży, zgodnie z założeniami miała przejąć Rosyjska Cerkiew Prawosławna. Ale coraz częściej potwierdza się to, że wychowywać trzeba przede wszystkim znaczną część samego duchowieństwa.

Rosyjska Cerkiew Prawosławna, jako instytucja duchowości, katastrofalnie zawiodła nadzieje. Dlaczego? Ano dlatego, że w ciągu niespełna kilku lat, przy wykorzystaniu państwowego poparcia, otwarcie dwudziestu tysięcy cerkwi okazało się możliwe, a na wychowanie dwudziestu tysięcy kapłanów o głębokiej duchowości, sprawujących posługę, prawdziwie zdolnych do pokrzepiania serc i wychowywania ludzi, potrzeba stuleci i określonych warunków.

I nie o takie warunki chodzi, kiedy państwo sypie ulgami i finansami, co jedynie deprawuje, przyciąga koniunkturalistów i typów spod ciemnej gwiazdy. W takiej sytuacji wygrywają nie duchowo nastawieni, pełniący posługę duszpasterze, ale ci sprytniejsi i mający bliżej do koryta. Zwycięża nie ta parafia, na której czele stoi proboszcz o głębokiej duchowości, ale ta, która potrafi uzyskać dofinansowanie.

Przecież proces przyciągnięcia parafian i rozwijania ich duchowości jest procesem długotrwałym, ciągnącym się latami. Ot i łata sobie sutannę wiejski kapłan, nie będąc w stanie nabyć nowej, podczas gdy inny jeździ drogim zagranicznym samochodem.

O dorobkiewiczostwie i chciwości, które już opanowały duchownych Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, mówi też Świątobliwy Patriarcha Moskwy i całej Rosji Aleksy II. 15 grudnia 2004 roku w sali kościelnych zgromadzeń Świątyni Katedralnej Chrystusa Zbawiciela na corocznym posiedzeniu Soboru Diecezjalnego Moskwy powiedział on:

"Dzisiaj przychodzi nam obserwować szereg negatywnych zjawisk – to jest też ogólna stagnacja bytu kościelnego, brak dynamiki w życiu parafialnym, niska frekwencja wiernych w nabożeństwach kościelnych, brak religijnych zainteresowań u dorastającego pokolenia".

"Niepokojący przejaw zaniku chrześcijańskiej świadomości, spadku stopnia kościelnego charakteru, duchowego zaślepienia stanowi coraz to intensywniej wzmacniająca się komercjalizacja wielu stron życia parafialnego... Materialne zainteresowanie coraz częściej wysuwa się na pierwsze miejsce, przysłaniając sobą i zabijając wszystko, co żywe i duchowe. Nierzadko świątynie podobne są do firm handlowych – handlują «usługami kościelnymi»".

"Nic tak nie odpycha ludzi od wiary, jak interesowność duchownych i kapłanów posługujących w świątyniach. Nienadaremnie chciwość nazywa się nikczemną, morderczą namiętnością i jedyną zdradą wobec Boga, grzechem piekielnym".

Patriarcha zakazał pobierania opłat za udzielanie kościelnych sakramentów – komunii świętej, ślubu, ostatniego namaszczenia i nabożeństwa żałobnego – oraz handlowania "usługami" Cerkwi. Czy jednak posługujący w kościele podporządkowują się zakazowi, nałożonemu przez najwyższego hierarchę kościelnego, skoro już się dopuścili przekroczenia czegoś niepomiernie bardziej znaczącego – przykazań Boskich?

Rosyjska Cerkiew Prawosławna – czy aby rosyjska?

Oprócz wielu innych czynników bodaj najsilniejsze zgubne oddziaływanie na Rosyjską Cerkiew Prawosławną przejawiły zachodnie służby specjalne. I to można było przewidzieć, oczywiście, gdyby tylko komuś przewidywanie zostało zlecone. Rzecz jasna: przekształcenia w naszym kraju zawsze poprzedza wywarcie wpływu ideologicznego.

Czy wydziały zachodnich służb specjalnych, odpowiedzialne za przekształcenia w Rosji potrzebne ich zwierzchnikom, mogły zignorować tak ważną instytucję, jak Rosyjska Cerkiew Prawosławna? Oczywiście, że nie! Inaczej ich praca nie byłaby fachowa. Tym bardziej że uwarunkowania dla ideologicznych dywersji w Rosji stworzone zostały w sposób więcej niż pomyślny. Zajęte wewnętrzną reorganizacją nasze służby specjalne, łagodnie rzecz ujmując, były zajęte opanowywaniem porachunków wewnętrznych, które, jak sądzę i teraz ciągle trwają.

Nie można ocenić wszystkich operacji zachodnich służb specjalnych, przeprowadzonych poprzez struktury Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Lecz jedna z nich zyskała oddźwięk w społeczeństwie. Jej

zgubnych skutków doświadczyli i doświadczają nadal miliony Rosjan, wraz z duchownymi Cerkwi.

Chodzi tu o strukturę, która rozlokowała się pod dachem Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, a przyczepiając metki świeckim i religijnym organizacjom Rosji, wzbudzała w nich niechęć do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

"Sektoborcy" (funkcjonariusze powołani do walki z sektami) działali w imieniu Cerkwi i nawet, jak oświadczają, z błogosławieństwem Patriarchy Aleksego II. W odpowiedzi na ich działania ludzie, wcześniej odnoszący się do Cerkwi lojalnie lub nawet praktykujący, ochrzczeni, po prostu zaczęli zrywać swoje wiszące na szyi krzyżyki.

Kolejna przebiegłość "sektoborców" polegała na tym, że zajmując się demaskowaniem wymyślonych przez siebie "sekt", w rzeczywistości krytykowali oni i wyśmiewali Rosyjską Cerkiew Prawosławną.

Tak więc Cerkiew doznała silnego uderzenia, stając się niejako obiektem takowych działań.

Następnie postanowili oni sterować również najwyższymi organami władzy państwowej Federacji Rosyjskiej.

Ludzie, którzy całą duszą i sercem przyjęli ideę wspaniałej przyszłości Rosji, ukazaną w moich książkach, zwracali się i zwracają nadal do miejscowej administracji z prośbą o wydzielenie ich rodzinom działek na stworzenie rodowych siedzib.

I co zadziwiające, po raz pierwszy ludzie proszą nie o ulgi i "dodatki", ale o niewielką część przyrody swojego kraju, gdzie sami stworzą dla siebie warunki, aby żyć, a nie tylko przeżyć.

Wydawałoby się, że poryw, który narodził się w ludziach, można tylko przywitać. A poryw ten nie jest tylko chwilowy. Ostatnie cztery lata świadczą o tym, że pragnienia tych ludzi są przemyślane i niezmienne. Idea ogarnia swym zasięgiem różne warstwy ludności: uczniów szkół, naukowców i przedsiębiorców, nauczycieli, lekarzy i emerytów, wojskowych i polityków, artystów malarzy, poetów i pisarzy. Są wśród nich i akademicy i gubernatorzy i żony prezydentów byłych republik radzieckich.

Z pomocą tych ludzi można rozwiązać wiele problemów społecznogospodarczych w kraju, diametralnie zmienić sytuację demograficzną, znikną problemy bezpieczeństwa aprowizacyjnego, zatrudnienia ludności, zdrowia narodu. Ale rzecz najważniejsza: można dotrzeć do potężnej siły narodu, który tworząc swoją przestrzeń, umacnia ukochany kraj i państwo dające mu taką możliwość.

Jednak komuś, jak widać, bardzo się nie spodobały powstałe w narodzie rosyjskim pozytywne dążenia.

Okupanci w działaniu

Do wykonawczych organów władzy podmiotów Federacji Rosyjskiej, a nawet do struktur municypalnych dotarły wytyczne, aby czytelników moich książek uznawać za sekciarzy i terrorystów, a zatem – przeciwstawiać się wszelkim ich przedsięwzięciom, a zwłaszcza tych spośród nich, którzy zechcą urządzić swoje rodowe siedziby w wiejskiej zakątku.

Mass mediom nakazano – wręcz pod groźbą zwolnienia dziennikarzy – nie poruszać tematu tych przedsięwzięć. A jeżeli już wspominać, to tylko jak o "odlotowych", przywołujących wszystkich do lasu, do cofnięcia się w przeszłość.

Pracownikom instytucji kulturalnych zalecono uniemożliwianie przeprowadzania przedsięwzięć związanych z książkami i ideami, które zostały w nich przedstawione.

Docierające od czytelników informacje ewidentnie świadczą o tym, że na terytorium naszego kraju działa pewna społeczność, mająca swoich agentów w strukturach państwowych i kościelnych, prowadząca swoją destruktywną politykę.

Nie tylko ja tak twierdzę. Mówią o tym również specjaliści analitycy, którzy zapoznali się ze zgromadzonymi materiałami.

Pojawił się nawet termin "kult Anastazji". A co lub kogo rozumie się pod tym określeniem? Mnie – jako pisarza? Moją książkę pod tytułem Anastazja? Bohaterkę książki, którą wszyscy nazywają Anastazją? Miliony czytelników książek? Czy ich dążenie do urzeczywistnienia idei Anastazji o przepięknej i opływającej w dostatki Ziemi? Wygląda na to, że wszystko. I wszystko jednocześnie.

Smutno obserwować, jak zamorscy i miejscowi diakoni, zgoła nie chrześcijańskiego wyznania, okupujący Cerkiew Prawosławną, wywierają wpływ na urzędników aparatu państwowego. Chrześcijaństwo to dla nich tylko wygodna przykrywka, po ich działaniach widać wyraźnie, że dalecy są od chrześcijań-

skiej moralności. Ich metody są stare. Takimi samymi metodami kłamstwa i przemocy niszczono kulturę dawnej Rusi i wpajano narodowi obcą ideologię. Pisałem o tym w swoich książkach. Z miejsca zaczęto mnie oskarżać o pogaństwo. Czymże jednak jest oskarżenie o pogaństwo? Niczym innym, jak tylko oskarżeniem o chęć poznania historii swojego kraju, kultury swoich przodków Słowian.

Ale są i całkiem radosne, niosące nadzieję wydarzenia. Życie coraz częściej zaczęło stwarzać sytuacje, w których ich niestosowne działania dosłownie wyświetlane są niewidocznym promieniem. Stawia ich to, można powiedzieć, w komicznej sytuacji. Osądźcie sami.

KSIĘGA RODU I RODZINNA KRONIKA

W 2002 roku wydawnictwo DILA wydaje kolejną książkę z serii Dzwoniące Cedry Rosji pod tytułem Księga Rodu, w której informuje czytelników: Idea «Księgi Rodu» stała się zrozumiała i dla naszego wydawnictwa. Przekazując tę książkę do druku, zdecydowaliśmy bezzwłocznie przystąpić do wydania Księgi Rodu – w celu prowadzenia osobistej kroniki rodzinnej. Wkrótce w ślad za wydawnictwem DILA w 2003 roku wydawnictwo Russkij Dom wydaje książkę pod tytułem Kronika rodzinna, której jednym z autorów jest archimandryta Tichon (Szewkunow).

Ze słowami komentarza na początku książki wystąpili Prezydent Rosji W.W. Putin, Patriarcha Moskwy i całej Rosji Aleksy II.

Rodzinna kronika – to nie zwyczajne opowiadanie o losach kilku osób, czy nawet o całym rodzie, to opowiadanie o historii całego państwa. Los Rosji – to historia rodzin w szeregu następujących po sobie pokoleń.

Taka wiedza potrzebna jest po to, aby każdy obywatel Rosji był świadom swoich korzeni, swojego bezpośredniego związku z historią naszej wielkiej Ojczyzny.

Prezydent Rosji W.W. Putin

Atmosfera rodziny, ognisk domowych, wzajemnych relacji z krewnymi, pamięć o swoich przodkach i wychowanie potomków – wszystko to ma ogromne znaczenie dla moralnego wzmacniania osobowości, a to znaczy – i państwa. Nieprzypadkowo w wielu narodach mówi się, że miłość do Ojczyzny bierze swój początek w rodzinie.

Patriarcha Moskwy i całej Rosji Aleksy II

A jako pierwsza zwerbalizowała tę ideę Anastazja:

Niewiele dni przemine, a księgę rodu będą tworzyć, ręką swoją zapisywać strony zapełniając, miliony ojców i matek. Rodowych ksiąg będzie wielkie mnóstwo. A w każdej – prawda, płynąca z serca, skierowana do swoich dzieci. Obłudy w tych książkach nie będzie. Przed nimi kłamstwo historyczne upadnie.

Anastazja

Nie będziemy wdawać się w szczegóły, w jaki sposób i dzięki komu wydawnictwo Russkij Dom poszło w ślad za wydawnictwem DILA. Ważna jest realizacja samej idei. Teraz widzimy: idea została poparta przez Prezydenta Rosji, Patriarchę, marszałka Państwowej Dumy, który wręczał uczniom Rodzinną kronikę w Dniu Wiedzy.

Cóż więc mają teraz robić biedni oszczercy? Zaliczyć Prezydenta i Patriarchę oraz marszałka Dumy Państwowej do sekciarzy? A zatem i byłego Prezydenta Ukrainy, który podpisał dekret o Chłopskiej gospodarce, zgodnie z którym Ukraińcy mają przydzielony nie jeden, ale dwa hektary. I jeszcze gubernatora Ajackowa, który powiedział w wywiadzie telewizyjnym NTV na temat anastazjowców: "Za nimi stoi przyszłość kraju" i zaproponował swoim urzędnikom, aby brali ziemię i budowali rodowe siedziby.

I Tulewa, gubernatora obwodu Kemerowskiego, który przydzielił ziemie pod osadę. I naczelnego muftiego Rosji Tałgata Tadżuddina, który na pytanie korespondenta studia Stworzenie: "Jaki jest pański stosunek do serii książek Dzwoniące Cedry Rosji? – odpowiedział:

"Kocham te książki, czytam i wiele z nich czerpię dla siebie. Czuję, że czytając te książki, człowiek

umacnia się w wierze w Boga. Wszak wiara w Boga potrzebuje dokarmiania każdego dnia. Lecz w tym celu nie tylko oczy powinny były być otwarte, ale rzecz najważniejsza serce winno być otwarte. Serce po to nam dano, aby kochać, a książki Władimira Nikołajewicza Megre pomagają kochać Boga. On doprowadza tę prawdę do ludzi słowami Anastazji. Może dla teologów istnieją jakieś kwestie sporne, może ktoś powie, że to niejako hipoteza, jednak wiara w Boga, a jeszcze więcej, miłość do Boga – ona wpierw gromadzi się drobinkami, a potem staje się niezmierzona. A człowiek, jeszcze zanim się znajdzie na tamtym świecie, to już na tym świecie staje się szczęśliwy. I książki z serii Dzwoniące Cedry Rosji w tym nam pomagają".

A w przeddzień tych wydarzeń, ewidentnie pod naciskiem intryg i pogróżek ciągle tych samych "sektoborców", jeden z prawosławnych arcybiskupów (nie będę wymieniać jego nazwiska, by nie wprowadzać do historii) podpisał list, w którym odgrażał się wykluczeniem z Cerkwi wszystkich czytających i rozpowszechniających książki z serii Dzwoniące Cedry Rosji.

W ten sposób, arcybiskup "wyklucza" z Cerkwi również samego Patriarchę, który poparł ideę stworzenia Rodzinnej kroniki i razem z Prezydentem podpisał swój komentarz. Przypuśćmy, że Patriarcha nawet nie wziął moich książek do rąk, to nie jest ważne, przecież w książce nie są ważne papier ani druk, ale idee w nich wyrażone. Jedna z idei została poparta, jestem przekonany, że wkrótce na szczeblu państwowym uzyskają poparcie również i inne. A tymczasem...

W takim razie może najwyższy czas zwrócić uwagę ministerstwa spraw wewnętrznych, kim faktycznie są tak zwani "sektoborcy". Jakimi metodami intrygami oni działają, tak wygodnie rozlokowawszy się pod sklepieniami Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej? Oczywiste jest, że wcale nie dla modlitw! Wzniecanie rozdźwięku pomiędzy religiami, zniesławianie organów władzy państwowej – oto, czym się oni zajmują.

I głupio nawet będzie przypuszczać, że pewną grupę "sektoborców" mocno zaniepokoił stan mojej duchowości. Ich działania wyraźnie świadczą iż wykonują oni na zlecenie zadanie niedopuszczenia w Rosji do absolutnie żadnych pozytywnych transformacji. Ich ideologiczną, dywersyjną pracę można w sposób namacalny prześledzić na następującym przykładzie.

Kwestia żydowska

W ostatnich czasach znowu, już po raz kolejny w ciągu ostatniego tysiąclecia, zaogniają się dyskusje wokół kwestii żydowskiej.

Coraz częściej mówi się o wzroście w Europie i Rosji nastrojów ekstremistycznych, w tym również przeciwko Żydom. Kongres wspólnot żydowskich, który odbył się w Europie, powiązał tę sytuację ze wzrostem liczby ludności muzułmańskiej w krajach europejskich, a ona, jak powiadają, nastawiona jest agresywnie w stosunku do Żydów. Jednak mnóstwo konkretnych historycznych przykładów świadczy o tym, że agresję można sprowokować. I tak obecnie czynią niezwykle aktywnie pewne określone kręgi. Prowokatorzy mogą znajdować się również wśród samych Żydów.

Rodzi się odczucie, że otrzymano "zamówienie" na organizowanie pogromów. Pogromy żydowskie są dla kogoś niezwykle wygodne, wziąwszy pod uwagę również korzyści materialne. Ekstremistycznym organizacjom pogromy te nie mogą przynieść korzyści materialnej, prędzej przysparzają im wydatków. A kraje, do których, ratując się przed pogromami, wyrywa się wraz ze swoim kapitałem część finansowej oligarchii żydowskiej, aby zalegalizować wielomiliardowe dochody i uzyskać nietykalność międzynarodową, czerpią odczuwalną korzyść.

To dla swojej korzyści są oni gotowi wystawić na cios prostych i niczemu niewinnych Żydów, zamieszkałych na terytorium Rosji. Tak już nie raz bywało w historii męczeńskiego narodu żydowskiego.

W jakim celu potrzebny jest pogrom? Logika jest prosta. W społeczeństwie rośnie niezadowolenie z oligarchów i działaczy finansowych. Według danych Państwowej Komisji Statystycznej, około 70% ludności kraju będzie uważać, że trzeba ich natychmiast pozbawić majątku i praw politycznych oraz osądzić. Prezydent, rząd, Prokuratura Rosji, powołując się na prawo, próbują badać działalność szeregu oligarchów. Zadeklarowano kierunek walki z korupcją, a w ciągu najbliższych czterech lat oligarchowie mogą stracić swoje kapitały. W takiej sytuacji naturalnie dążą do opuszczenia Rosji. Jednak problem w tym, jak zalegalizować przeprowadzony na Zachód kapitał. Najlepszym sposobem jest sprowokowanie takich pogromów, które poruszą całą światową społeczność. Dalej wszystko jest proste. Znalazłszy się w czasie pogromów w jednym z krajów zachodnich, finansowi magnaci ogłaszają się uchodźcami politycznymi

i naturalnie uzyskują azyl polityczny oraz możliwość legalizacji kapitału, zachowując chociażby częściowo kontrolę nad zasobami i zakładami poprzez podstawionych czy zaufanych ludzi.

I tu trzeba zwrócić się do wszystkich Rosjan, a przede wszystkim do organizacji uważających się za patriotyczne. W żadnym wypadku nie ulegajcie prowokacji i nie zniżajcie się do niszczenia synagog. Inaczej zagracie według opracowanego nie przez was scenariusza.

Nie wolno oskarżać wszystkich Żydów o intryganctwo i czyny niegodne. Wśród Żydów, jak i wśród Polaków, Ukraińców i Rosjan, są różni ludzie. Na potwierdzenie tego coś opowiem. W trakcie wystąpienia na czytelniczej konferencji w Kazaniu, gdzie na sali byli obecni ludzie różnych narodowości, w tym również wielu muzułmanów, przeczytałem rozdział z książki żydowskiego pisarza i poety Jefima Kusznera „Bezkrwawa rewolucja". Zanim zacząłem czytać, powiedziałem, że jest to żydowski pisarz mieszkający w Izraelu, ale piszący o Rosji, o jej przyszłości. Przeczytałem rozdział, a kiedy skończyłem, sala zawrzała burzą oklasków.

Muzułmanie bili brawo żydowskiemu pisarzowi i poecie.

Dlaczego coś takiego miało miejsce? Dlaczego muzułmanie, uznawani za agresywnych, szczerze oklaskiwali żydowskiego pisarza?

A dlatego, że w swojej książce mówi on o przepięknej przyszłości Rosji, wiążąc ją z ideami przestawionymi w książkach z serii Dzwoniące Cedry Rosji. Wzywa rosyjskie władze do przyjęcia programu, powołując się na te idee.

Powiem od razu, że nie jest on jedynym Żydem przyjmującym i popierającym koncepcję Anastazji, zaprezentowaną w książkach.

W Izraelu jest klub, skupiający czytelników książek o Sybiraczce Anastazji. Izraelczycy wymyślają pieśni w języku rosyjskim i hebrajskim o bohaterach książek z serii Dzwoniące Cedry Rosji. Mówiąc ogólnie, rodzi się we mnie odczucie, że na czele ruchu w kierunku urzeczywistnienia tych idei ostatecznie staną Żydzi i powiodą za sobą ludy wielu państw.

Ostatecznie ja przecież dysponuję informacją o tym, że właśnie w Izraelu już wyasygnowano niemałe środki na budowę ekologicznie czystych osad. "Ach, spryciarze. Przejmują rosyjską ideę" – powiedzą potem.

Oni przecież niczego nie przejmują, ale ratują. No powiedzcie, na miłość Boską, kto przeszkadza rosyjskim władzom wcielać w życie przestawione w książkach idee? A przecież właśnie do nich zwracali się i zwracają nadal już od prawie pięciu lat Rosjanie z bliskiej i dalekiej zagranicy z listami zbiorowymi i indywidualnymi.

Sytuacja staje się śmieszna. Szereg analityków potwierdza pojawienie się wśród ludności w Rosji idei narodowej. A wcielanie jej w życie, w związku z zaistniałą sytuacją, trzeba będzie zacząć najpierw w Izraelu. Kto jest temu winien?

Mówiąc ogólnie, rozważania na temat kwestii żydowskiej, przynajmniej te, które zdarzyło mi się przeczytać w publikacjach na ten temat, są dość prymitywne. Prawie wszystkie sprowadzają się do zwyczajnej konstatacji faktów: "Żydzi zagarnęli prasę różnych krajów"; "Cała telewizja jest żydowska"; "Większość finansowych systemów kontrolują Żydzi".

Wszystko to niewątpliwie tak wygląda również w obecnej Rosji. Jednak to tylko konstatacja faktów i nic więcej. Znacznie bardziej interesujące jest wytłumaczenie, dlaczego podobne sytuacje mają miejsce w różnych krajach, z konsekwencją godną pozazdroszczenia i to już od ponad szeregu stuleci?

Od razu powiem rzecz następującą. Żydzi są po prostu zobowiązani to uczynić, a my jesteśmy zobowiązani im się podporządkować na szczeblu prawodawczym.

Sami się zastanówcie: Państwowa Duma Federacji Rosyjskiej uznała prawo, zgodnie z którym w naszym kraju cztery religie uznaje się za podstawowe. Dwie z nich – to chrześcijaństwo i judaizm.

Z koncepcji religii chrześcijańskiej wynika, że człowiek-chrześcijanin jest służebnikiem Boskim. Bogactwa się nie spodziewa. W Sankt Petersburgu z okna hotelu, gdzie piszę te słowa, widoczna jest ogromna prawosławna katedra Matki Bożej Władymirskiej, na fasadzie której wielkimi złotymi literami jest napisane: "Przyjmij, o Pani, modlitwy służebnika twego".

Z koncepcji judaizmu wynika, że człowiek-Żyd jest wybrańcem Bożym, do niego należą bogactwa, ziemie, lichwiarstwo się kłania.

Powszechnie wiadomo, jaki ogromny wpływ wywierają religie na psychikę, kształtowanie osobowości, tryb życia człowieka.

Bądźmy zatem konsekwentni w logice swoich działań. Najwyższy organ ustawodawczy naszego państwa przyjął te dwie koncepcje, określając tym samym, kto ma być służebnikiem, a kto rządzącym.

I nie zawracajmy sobie nawzajem głowy: jeżeli my jesteśmy posłusznymi prawu obywatelami, zgodnie z prawem uznanym przez nasze władze, to przyjmiemy w należyty sposób władzę Żydów nad nami.

Jednego taka sytuacja może nie usatysfakcjonować. Inny uzna to stwierdzenie za absurdalne. Ale nie zamykajmy oczu na realia życia, trzeba widzieć przyczyny zjawiska, a nie delektować się tępą konsekwencją skutku.

Jeżeli komuś nie odpowiada zaistniała sytuacja, to wspólnie szukajmy z niej wyjścia.

Wyjściem może być idea, przyjmowana z takim samym natchnieniem przez muzułmanów, chrześcijan, wyznawców judaizmu i przedstawicieli innych wyznań.

Taka idea istnieje. To ona naprawi sytuację, za ideą tą przyszłość. Świadczą o tym konkretne fakty i sytuacje życiowe.

Twórzmy więc

Prezydent Federacji Rosyjskiej w Liście do Zgromadzenia Federalnego wyznaczył zadanie podwojenia w ciągu dziesięciu lat produktu krajowego brutto (PKB). No cóż, zadanie jak zadanie. I trzeba przedsięwziąć kroki w celu jego realizacji. A przede wzbudzić zapał w narodzie. Przecież właśnie on powinien zadziałać tak, by podwoiły się wskaźniki PKB. A co się wydarzyło po wyznaczeniu zadania przez najwyższego funkcjonariusza obecnego państwa?

Zaczęły mieć miejsca niewiarygodne zdarzenia.

Zamiast chociaż spróbować zrealizować wyznaczone zadanie, jedni wysocy rangą urzędnicy zaczęli mówić o nierealności jego wykonania inni zaś o tym, że trzeba by je mimo wszystko wykonać. I tyle! Nic więcej. Na te rozmowy tylko tracono czas. W sumie 2004 rok zakończył się żałośnie: PKB wzrósł zaledwie o 6,4%.

Od momentu wyznaczenia zadania nieustannie mówiono o nim w prasie z wielce interesującym podtekstem "wykonalne – niewykonalne" i znowu żadnej chociażby próby realizacji.

Sytuacja ta ukazuje więc, że w Rosji następuje pełen kollaps władzy. I choćbyś tutaj wybierał, choćbyś wyznaczał urzędników – rozporządzenia pod różnymi pretekstami nie zostaną zrealizowane.

Wyobraźcie sobie taką sytuację: głównodowodzący wydaje rozkaz "przygotowywać się do natarcia", a jego pomocnicy – generałowie i pułkownicy – zamiast opracowywać plan natarcia, zaczynają dyskutować, "czy jest ono możliwe, czy też nie". W konsekwencji porażka jest oczywista. Co też i miało miejsce.

Ale być może wyznaczone przez Prezydenta zadanie rzeczywiście okazało się niedorzeczne? Nie możemy o tym rozstrzygać, dopóki sami nie spróbujemy się zorientować w temacie. Jednakże wybiegając do przodu, powiem: jego wykonanie jest możliwe!

Uprzedzę konsternację czytelników: a co wspólnego mają ze sobą Rosyjska Cerkiew Prawosławna, "sektoborcy", zachodnie służby specjalne i wyznaczone przez Prezydenta zadanie podwojenia PKB? Powoli. Wzajemna zależność jest tutaj jak najściślejsza.

Zastanówmy się, w czyim interesie jest podwojenie PKB? Oczywiście Rosji. A dla kogo jest to niekorzystne? Oczywiście dla Zachodu, postrzegającego Rosję tylko jako rynek zbytu na swoje nie zawsze dobrej jakości towary.

I zachodnie służby specjalne jak zawsze stanęły na wysokości zadania, "opuszczając" i urzędników i Prezydenta Rosji. Wykpiły ich już na etapie wyznaczania zadania. Ale po kolei.

Aby podwoić PKB, trzeba było, ogólnie rzecz biorąc, ujawnić te dziedziny gospodarki narodowej, gdzie konieczne jest znaczne zwiększenie produkcji, oraz te, gdzie jest ono niepożądane. Na przykład nie należy przecież podwajać produkcji wyrobów alkoholowych i tytoniowych: Rosja już i tak zachłystuje się wódką i dusi w dymie papierosowym. Nie wolno podwajać produkcji broni, budować nowych kasyn i zwiększać dwukrotnie odpływu zasobów surowcowych z kraju.

A jeżeli tak, to na pozostałych gałęziach gospodarki narodowej spocznie zadanie nie podwojenia, ale potrojenia, a nawet czterokrotnego zwiększenia produkcji. Gałęzie te nie są określone, a więc i zadań przed nimi nawet nie postawiono.

Ktoś pomyśli: po co stawiać takie zadanie, skoro spór dotyczy kwestii możliwości podwojenia, a tu

raptem – zwiększyć czterokrotnie? Czterokrotne zwiększenie jest niemożliwe.

A ja wam mówię, że możliwe! Możliwe i to nawet bez dodatkowych inwestycji kapitałowych.

Dla przykładu weźmiemy rolnictwo, w którym produkcja artykułów z roku na rok się zmniejsza, a to już zagraża bezpieczeństwu narodowemu. Mówią o tym wybitni politycy, posłowie Dumy Państwowej i niektórzy urzędnicy rządowi.

Nie na próżno mówią: dzisiaj do kraju importuje się z zagranicy do 40% niektórych gatunków żywności. Taka sytuacja stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. A zatem cóż nas czeka? Ot co.

Do 2005 roku oczekuje się zmniejszenia liczby ludności wiejskiej o 25%, co jeszcze bardziej spotęguje problem. A dokładniej, uczyni kraj całkowicie zależnym. Przyjdzie wtedy rządowi w zamian za żywność oddawać nie tylko bogactwa naturalne, lecz również rakiety, bo w przeciwnym razie ludność go rozszarpie.

Wszystko to oznacza, że należy zmienić sytuację w dziedzinie rolnoprzemysłowej: podwoić, a nawet potroić produkcję. Jednak sposób potrojenia nie może być standardowy, podczas gdy wszystkie propozycje sprowadzają się w zasadzie tylko do konieczności wyasygnowania dodatkowych subsydiów. Nie jest jasne, dla kogo mają być te subsydia przeznaczone, skoro zdolnej do pracy ludności wiejskiej pozostaje coraz mniej i mniej. A skoro tak, to żadne najnowsze technologie, supertechnika nie pomogą. Po prostu nie ma już komu pracować z ich zastosowaniem.

To znaczy, że najpilniejsze zadanie jest określone: na wsi muszą się pojawić ludzie zdolni do pracy. Miliony ludzi. Dziesiątki milionów. I żeby jeszcze ci ludzie z miłością pragnęli kontaktu z ziemią. Jeżeli oni się nie pojawią, mówienie o wszystkim innym będzie w ogóle bezsensowne.

Jednakże dla wielu urzędników pojawienie się tych ludzi graniczy z cudem. Oni w cuda nie wierzą i nie uwierzyli nawet wtedy, kiedy się zdarzył.

Tak, proszę państwa, zdarzył się cud!

Dzięki tylko jednemu człowiekowi – syberyjskiej pustelnicy Anastazji.

Być może jej słowa wydadzą się komuś nieprawdopodobne i fantastyczne, lecz one działają. Zrodziły w sercach i duszach ludzi zryw nieprzemijający. Dziesiątki tysięcy ludzi w różnych regionach kraju zechciały urządzić swoją przyszłość na wsi. Zbudować tam swoje rodowe siedziby i zamieszkać na stałe. Liczba tych ludzi wzrasta z każdym rokiem.

Tworzą oni swoje regionalne społeczne organizacje i proszą: DAJCIE ZIEMIĘ! My jesteśmy gotowi ją zagospodarować.

Ci ludzie zjednoczyli się w społeczną organizację, założoną 5 czerwca 2004 roku na konferencji, która odbywała się w mieście Władymir.

Konferencja ta pokazała, że po raz pierwszy w postsowieckiej rzeczywistości pojawiła się siła ludowa, nie mająca obecnie sobie równej. Na sali zabrakło miejsc, ponieważ przyjechało mnóstwo ludzi nie będących delegatami, lecz chętnych chociażby posłuchać, zetknąć się z tym, co się tam dzieje.

Na konferencji postanowiono założyć i założono ruch narodowy Dzwoniące Cedry Rosji, którego podstawowym zadaniem stało się poparcie idei dóbr rodowych. Narodowy ruch, który nie jest opozycją ani względem władz, ani względem partii. Wręcz przeciwnie, pragnie porozumienia ze wszystkimi i mówi: "Spieszmy tworzyć".

Powstał ruch narodowy posiadający konkretny, jasny i zrozumiały dla ludu oraz poparty przez naród program.

Co może uzyskać każde państwo przy realizacji tylko jednego punktu z tego programu?

Punktu pozornie bardzo prostego, w którym jest mowa o jednym hektarze ziemi, a w efekcie następuje:

* znaczna poprawa sytuacji ekologicznej;
* przywrócenie urodzai jakości gleb;
* rozwiązanie problemu zabezpieczenia ludności kraju w żywność wysokiej jakości;
* znaczny, dwu-trzykrotny wzrost wysokości wynagrodzenia we wszystkich sektorach gospodarki narodowej przy braku inflacji;
* momentalna zmiana na lepsze sytuacji demograficznej. Uzdrowienie i odmłodzenie ludności;
* rozwiązanie problemu zdolności obronnej kraju;
* zahamowanie odpływu kapitału z kraju, a wręcz przeciwnie, jego przypływ; przywrócenie zasobów

intelektualnych;

* znaczące ukrócenie, a w konsekwencji w najbliższej przyszłości wykorzenienie łapownictwa, korupcji, bandytyzmu i terroryzmu;

* zjednoczenie w jeden potężny związek wszystkich krajów bliskiej zagranicy i krajów byłego Układu Warszawskiego – Polski, Czech, Słowacji, Węgier, Bułgarii, wszystkich państw nadbałtyckich;

* zaprzestanie wyścigu zbrojeń i ścisła współpraca Rosji, USA, wschodnich państw muzułmańskich.

Te wnioski wysnułem nie tylko ja, potwierdzają je także studenci w swoich dyplomowych pracach (przykład – praca dyplomowa przyszłego prawnika Tatiany Borodinej). Mówią o nich w swoich pracach naukowcy (na przykład doktor nauk ekonomicznych, poseł trzeciej kadencji Zgromadzenia Ustawodawczego, profesor Wiktor Jakowlewicz Medykow).

Piszą w dysydenckich broszurach badacze specjaliści i prości ludzie. Ja natomiast postaram się przytoczyć tu krótkie uzasadnienie do niektórych punktów.

Zatem wyobraźmy sobie: kraj przystąpił do realizacji zaproponowanego przez Anastazję programu.

Każdej chętnej rodzinie oddaje się bezpłatnie w dożywotnie korzystanie jeden hektar ziemi z prawem przekazywania w spadku, w celu urządzenia na nim swej rodowej siedziby. Wyroby wyprodukowane w rodowej siedzibie, jak i sama ziemia, nie są obciążone żadnymi podatkami. Na skutek tego nastąpi:

* Znaczna poprawa sytuacji ekologicznej

Jak wykazała praktyka, ludzie, którzy już otrzymali ziemię pod rodowe siedziby, przede wszystkim zaczynają wysadzać dziko rosnące drzewa, przeciętnie do 200 na każdą rodzinę. Krzewy, zielone ogrodzenie, jagodowe – średnio do 2000 sztuk, owocowe – średnio 50 sztuk.

Zdaniem analityków, przy najskromniejszych obliczeniach w przypadku przyjęcia tego programu na szczeblu państwowym, z właściwą jego interpretacją – rodzin, które zechciałyby budować swoje siedziby rodowe w Rosji, będzie na początkowym etapie około 10 milionów.

A to oznacza, że już w najbliższym roku, dwóch po przyjęciu programu, bez jakichkolwiek dodatkowych subsydiów w kraju będzie wysadzone 2 miliardy dziko rosnących drzew, 20 miliardów krzewiastych, 500 milionów owocowych. A to dopiero początek procesu.

* Przywrócenie urodzajności gleb

Jak wiadomo z praktyki, ludzie, którzy otrzymali ziemię nie w krótkoterminową dzierżawę, ale w dożywotnie korzystanie, przede wszystkim od razu dążą do przywrócenia glebom urodzajności. Przy czym robi się to nie tylko za pomocą organicznych nawozów, lecz również w sposób bardziej naturalny – siejąc w pierwszych latach rośliny tworzące glebę.

* Rozwiązanie problemu zabezpieczenia ludności kraju w żywność wysokiej jakości

Przypomnijcie sobie" walkę o urodzaj" w okresie sowieckim. Przypomnijcie sobie, jak studentów, uczniów, przedsiębiorstwa wywożono na sprzęt plonów do kołchozów i sowchozów. Też brałem udział w podobnych masowych przedsięwzięciach: pełłem i sprzątałem cebulę na polach podmiejskiego sowchozu.

Ale w kraju nie było nadmiaru produktów wysokiej jakości. Starsze pokolenie oczywiście pamięta sprzedawane w sklepach zgniłe w jednej trzeciej ziemniaki i niepozornego wyglądu warzywa.

Potem nastąpił letniskowy ruch. Zaczęto ludziom przydzielać po sześć arów ziemi. I zdarzył się cud. Dane statystyczne są wszystkim znane. Ludność kraju na własną rękę, bez jakichkolwiek ministerstw i resortów, zapewniła w 80% produkcję warzyw (niestety, teraz warunki dla letników zaczęły się komplikować: wzrost opłaty za przejazd, podatek gruntowy od działek, podrożenie energii elektrycznej). I to na sześciu arach, gdzie nie jest możliwe stworzenie jakiejkolwiek doskonałej ekonomii, posadzenie wysoko rosnących drzew użyźniających glebę, urządzenie zbiornika wodnego. I to w zasadzie pracując tylko w dni wolne od pracy i w święta, bez wystarczającego doświadczenia i wiedzy.

Hektar pozwala stworzyć bardziej doskonałą ekonomię. Przy właściwej jej organizacji nakłady pracy na jeden metr kwadratowy obszaru obniżają się w tym przypadku trzydziestokrotnie. Nie od razu oczywiście i powtórzę: przy właściwym jej uruchomieniu. W ten sposób i już istniejąca praktyka i teoretyczne rachunki potwierdzają, że realizacja przedstawionego programu całkowicie zaopatrzy kraj w całą niezbędną żywność.

Teraz o jej jakości. Należy powiedzieć, że człowiek uprawiający rośliny rolnicze, którymi odżywia się jego rodzina, nie będzie dodawał do gleby trujących środków chemicznych, nawozów chemicznych. Nie będzie hodował upraw genetycznie zmutowanych. Całe to świństwo trafia do naszego kraju i jest kupowane przez ludność wyłącznie z powodu braku żywności. Przy wystarczającej jej ilości na pierwsze miejsce od razu wybija się jakość. Mam nadzieję, że powiedziałem to w sposób przekonujący?

* Znaczny, dwu–, trzykrotny wzrost wysokości wynagrodzenia we wszystkich sektorach gospodarki narodowej przy braku inflacji i obniżenie wewnątrzpaństwowych cen na wszystkie rodzaje towarów. Spadek napięcia społecznego

Ktoś pomyśli: jaki związek może mieć realizacja programu "Dobra rodowe" ze wzrostem pensji, powiedzmy, sprzedawcy, kierowcy trolejbusu, pielęgniarki lub nauczyciela? Ale on istnieje! A przy tym jest ścisły i oczywisty.

Pomyślcie sami. Większość przedsiębiorstw zostało wykupionych na własność i znajduje się w rękach prywatnych. Ludzie, których nazywamy oligarchami, osiągają bajońskie zyski, ale kosztem czego? W zasadzie kosztem minimalnego wynagrodzenia pracowników. A jaki jest sens podnosić to wynagrodzenie, powiedzmy, z pięciu tysięcy do dwudziestu, jeżeli i tak ludzie ustawiają się w kolejce po pracę? Ludzie po prostu nie mają wyjścia.

Zupełnie inna jest sytuacja, kiedy rodzina posiadająca własny majątek otrzymuje za pracę w nim przeciętnie dziesięć tysięcy miesięcznie (co jest absolutnie realne i potwierdzone w praktyce) przy minimalnych wydatkach na życie. Nie trzeba wnosić opłat komunalnych, marnować czasu na codzienny przejazd do miejscu pracy i z powrotem, jak również na jedzenie w miejskich barach. Aby żyjącego w majątku człowieka przyciągnąć do pracy w fabryce lub innej prywatnej firmie produkcyjnej, trzeba by mu zaproponować płacę minimum półtora, dwa razy przekraczającą dochód, uzyskiwany przez niego z pracy w majątku i jeszcze zwrócić koszty przejazdów i wyżywienia.

Teraz oligarcha, który sprywatyzował fabrykę lub przedsiębiorstwo, zajmujący się wydobyciem ropy, może mieszkać nawet w londyńskim zamku (co też ma miejsce) i uzyskiwać dochód do miliona dolarów miesięcznie, podczas gdy robotnicy, zapewniający mu ten dochód, nie otrzymują nawet tysięcznej części.

Taka sytuacja nie może trwać w nieskończoność. Naturalnie doprowadzi ona do rewolucji, pozbawienia właściciela jego przedsiębiorstwa i do obalenia rządu, który pozwolił na taką niesprawiedliwość. Wyjście jest jedno: dzielić się z pracownikami sprawiedliwie. Dobrowolnie oligarcha na to nie pójdzie, ale w związku z zaistniałymi okolicznościami się zdecyduje.

Mówimy o współzależności właściciela rodowej siedziby i właściciela przedsiębiorstwa przemysłowego. Ale również ludziom, którzy pozostali w miastach, będą zmuszeni podnieść płacę, aby utrzymać ich na miejscach pracy. Przecież oni też mają możliwość dokonania wyboru: pracować nadal, mieszkając tylko w miejskich warunkach, czy podjąć działania zmierzające do obrania innego trybu życia.

I ostatnie pytanie do tego punktu. Dlaczego nie będzie inflacji, wzrostu cen?

Inflacja jest zawsze skutkiem spowodowanym przez konkretne, specjalnie stworzone procesy. Wzrost cen to tylko następstwo. Przyczyna to wyeliminowanie człowieka z naturalnego trybu życia. Łatwo podnieść ceny na benzynę, artykuły spożywcze, kiedy ludzie nie mają w posiadaniu ani jednego, ani drugiego. Są całkowicie zależni. Ale spróbujcie podnieść ceny na jabłka człowiekowi mającemu własny ogród. Absurd.

Benzyna? Tu też jest jakaś granica. Dzisiaj ceny na benzynę są tak wysokie, że obrobienie dwóch, trzech hektarów ziemi własnym koniem który w dodatku daje pierwszorzędny nawóz – jest znacznie bardziej korzystne.

* Momentalna zmiana na lepsze sytuacji demograficznej. Uzdrowienie i odmłodzenie ludności.

Jak wiadomo, sytuacja demograficzna w kraju jest katastrofalna. I nawet to słowo nie oddaje jej w pełni. Jeżeli w kraju w czasie pokoju z roku na rok liczba ludności spada prawie o milion – to jest straszne! Rządzący w takim kraju winni ukrywać swoje nazwiska przed ludnością i przed potomnymi. Rozmowy o konieczności zmiany zaistniałej sytuacji są tylko żałosnym bełkotem. To niczego nie zmienia. Zwiększenie wsparcia materialnego dla rodzących matek jest naturalnie konieczne, ale pomoc materialna również istotnie niczego nie zmienia.

Historia obejmująca wiele tysięcy lat pokazuje iż kobiety przestają rodzić zawsze wówczas, gdy nie

widzą jasnej przyszłości dla swoich dzieci. Przede wszystkim trzeba wyznaczyć dokładnie i jasno przyszły rozwój całego społeczeństwa i konkretnie rodziny jako jego podstawowej komórki.

Fundusz " Anastazja " miasta Władymir przeprowadził badanie rodzin, przymierzających się do urządzenia swych rodowych siedzib. Spośród ponad dwu tysięcy przebadanych 1995 odpowiedziało, że będą rodzić dzieci. Chciałyby mieć trójkę i więcej.

Ci, którzy nie mogą mieć własnych dzieci ze względu na stan zdrowia, przymierzają się do adopcji dzieci z domów dziecka. Dlaczego tak się dzieje? Otóż dlatego, że człowiek stwarzający przepiękną żywą oazę rozumie iż tworzy wieczność i chce, aby jego dzieci też cieszyły się życiem.

Co zaś się tyczy uzdrowienia i odmłodzenia narodu, spójrzmy ponownie, jak to wygląda w praktyce. Popatrzcie, jak ożywają i młodnieją wasi dziadkowie i babcie, wyjeżdżając wiosną na działki letniskowe. Zatem czy trzeba jeszcze udowadniać, że ciężarna kobieta, odżywiająca się ekologicznie czystymi produktami, pijąca czystą wodę, wdychająca czyste powietrze, będzie rodzić zdrowe dzieci? Bez porównania zdrowsze niż dzisiejsze.

* Rozwiązanie problemu zdolności obronnej kraju. Znaczące ukrócenie, a w konsekwencji w najbliższej przyszłości wykorzenienie łapownictwa, korupcji, bandytyzmu i terroryzmu

Zdolność bojowa i morale dzisiejszych Sił Zbrojnych, wraz z wojskami wewnętrznymi i milicją, przekroczywszy punkt zerowy, staczają się do znaku minus. Dla nikogo nie jest tajemnicą, jak problematyczne jest dla Wojskowych Komisji Rejonowych zrealizowanie planu powołania młodzieży do służby wojskowej. Uchylanie się od wojskowego obowiązku wśród młodzieży zaczęło być uznawane nie za hańbę, ale za waleczność. Co bogatsi próbują się wykupić, a biedniejsi – wymigać, posuwając się wręcz do samookaleczenia.

Jakimś sposobem zaciągają do wojska poborowych z najbiedniejszych warstw ludności. Taka armia nie jest w stanie obronić nikogo i niczego przed poważnym przeciwnikiem. Co więcej, jest ona potencjalnie niebezpieczna dla samego kraju, który ją utrzymuje.

Spróbujmy się zorientować w następującej kwestii: dla czyjej obrony dzisiaj powołany jest żołnierz Armii Rosyjskiej? Ojczyzny – pojawi się standardowa odpowiedź. Ale dziś pojęcie Ojczyzny uległo rozmyciu i wielu osobom trudno jest sobie w ogóle wyobrazić, co to jest Ojczyzna. Całkiem niedawno rosyjscy oficerowie i żołnierze przysięgali wierność ZSRR, który był właśnie Ojczyzną. Nagle granice się zmieniły i część terytoriów nagle stała się absolutnie" nieojczyzną ". Ugrupowania żołnierskie dyslokowane na tym terytorium tak w ogóle nazywa się najeźdźcami. Pozostaje obrona ludzi na zachowanym terytorium pod nazwą " Rosja ". Ale jakich ludzi? Urzędników, biorących łapówki, oligarchów? Swojej rodziny? Lecz jeżeli żołnierz lub oficer pochodzi z biednej rodziny, to przed kim winien ją bronić?

Propaganda na szczeblu państwowym już od ponad dziesięciu lat powtarza, że budujemy" cywilizowane demokratyczne państwo na wzór zachodni". Teraz wyobraźcie sobie, jak mogą stanąć do walki rosyjscy żołnierze przeciw wojskom NATO lub USA, jeżeli im już wpojono, że są to przeciwnicy cywilizowani, rozwinięci, a zatem my jesteśmy nierozwinięci i niecywilizowani? Absurd.

Psychologiczna abrakadabra lub rozmyślna, z premedytacją opracowana taktyka? Za panaceum na wyjście z tego ślepego zaułka uważa się profesjonalną armię. Jednak to jeszcze większy absurd. Zawodowa armia, jak wiadomo, składa się z najemników, którzy biorą do ręki broń i strzelają za pieniądze do tego, do kogo im kazano. Podporządkowują się rozkazom tego, kto więcej płaci.

Historii znanych jest wiele faktów, kiedy władze obawiały się kierować z powrotem do kraju armie, składające się z najemników. Tak było w starożytnym Rzymie, podobne niebezpieczeństwo istnieje w USA. Lokalnie jest już ono również i w Rosji.

Armia zawodowa winna nieustannie walczyć i najlepiej nie na terytorium państwa, które ją utrzymuje. Jeżeli armia wraca do swojego kraju, to nieuchronnie powołają ją siły przeciwstawne istniejącej władzy albo rozpadnie się ona na wiele grup, z których część przekształci się w bandyckie formacje. Uzbrojeni najemnicy w przytłaczającej większości nie bywają bezrobotni. Jeżeli nie dać im pracy, znajdą ją sobie sami i to zgodną z kwalifikacjami. Ponadto armię, składającą się z ludzi pełniących swoją funkcję tylko za pieniądze, bardzo łatwo przekupić.

Zatem wyobraźcie sobie zagraniczną bazę wojskową, zlokalizowaną w Gruzji, Turkmenii czy na Ukrainie, której żołnierze otrzymują trzy tysiące dolarów miesięcznie, a nasi tylko pięćset. Ale po co sobie wyobrażać! Są już przecież konkretne wewnętrzne przykłady. Spójrzcie, jakie mnóstwo wysoko wykwalifikowanych zawodowo przygotowanych oficerów byłego KGB pracuje teraz w ochronie struktur biz-

nesu, w tym również i zagranicznych banków.

Gdzie więc wyjście? Jest jedno jedyne. Trzeba sprawić, aby rosyjscy żołnierze, oficerowie i generałowie mieli czego bronić.

* Każdy lejtnant Armii Rosyjskiej, wojsk wewnętrznych i milicji przy nadaniu stopnia lejtnanta, wraz z otrzymaniem małej gwiazdki na pagonach, powinien mieć prawo otrzymania hektara ziemi na urządzenie swej przyszłej rodowej siedziby

Przydział ziemi winien być nie na "głuchą prowincję", a na specjalnie wyznaczone przez państwo elitarne tereny przydzielone pod zasiedlanie. Oficer może wybrać sam w ramach tych terenów swój hektar. I zasadzić, przyjechawszy na urlop, sam lub razem z rodzicami młody ogród, wykopać staw, wyznaczyć miejsce pod budowę domu.

I nawet jeśli rozkazy przerzucają go na służbę w różne regiony, a choćby i do innych krajów i nawet jeśli tymczasem mieszka w oficerskim internacie, koszarach lub w namiocie w warunkach polowych każdy oficer Rosyjskiej Armii powinien wiedzieć: tam, w wybranym przez niego miejscu, które przypadło mu do serca, rozkwita wiosną ogród jego małej Ojczyzny. Jego ogród! I dziewczyna, której on się spodoba, spojrzawszy na gwiazdeczkę na pagonach, będzie wiedziała: jej ukochany ma przyszłość, ma Ojczyznę, ma rodowe gniazdo dla ich przyszłych dzieci.

I nawet gdy będzie musiała tymczasem dzielić niełatwe oficerskie życie ze swoim ukochanym, to nie ma znaczenia, jeśli chociaż tylko raz na rok przyjadą oni na urlop do swojej małej Ojczyzny i pomarzą, zaplanują przyszłą siedzibę rodową. Wyznaczą, gdzie powinien być wykopany staw, gdzie postawiony dom.

I nawet jeżeli będą musieli cały miesiąc swojego urlopu spędzić na swojej ziemi w namiocie, to nie ma znaczenia, bo będą mogli odczuwać radość z wizji przepięknej przyszłości swojego rodu.

Niech drzewka przyszłego ogrodu będą jeszcze całkiem małe, a zielone ogrodzenie przyszłej siedziby ledwie widoczne, ale one już są i będą rosły i rozkwitały w oczekiwaniu na nich – swoich twórców.

* Jeżeli żona oficera zajdzie w ciążę, państwo w ciągu trzech miesięcy winno postawić we wskazanym miejscu na ich ziemi niedużą willę według projektu wybranego przez przyszłych rodziców, ze wszystkimi wygodami (nowoczesne technologie umożliwiają wykonanie tego)

A żona rosyjskiego oficera spędzi ostatnie miesiące swojej ciąży we własnym domu. Być może będą w tym domu jej rodzice. Może będzie sama, kontaktując się z miłymi sąsiadami. Jednak, co najważniejsze będą przy niej i w niej tak niezbędne pozytywne emocje. Przecież będzie ją otaczać przestrzeń małej Ojczyzny. Ojczyzny jej i jej ukochanego.

Nie pojedzie rodzić dziecka do zamorskiego kraju ani nawet do inkubatora, który z jakichś powodów nazywa się "porodówką". Żona oficera urodzi dziecko w swoim majątku, jak to już robi wiele kobiet. Niech to będzie pod nadzorem lekarzy, ale w domu, w zwyczajnej przychylnej i sprzyjającej atmosferze, a nie w fotelu, który słyszał jęki i krzyki setek rodzących.

* Dziecko rosyjskiego oficera winno się urodzić tylko w jego własnej rodowej siedzibie.

I nawet jeśli w tym momencie młody lejtnant będzie gdzieś daleko usłyszy, z pewnością usłyszy, poczuje pierwszy radosny krzyk swojego dziecka – i nie wejdzie żaden wróg do jego wielkiej Ojczyzny. On właśnie – młody lejtnant, rosyjski oficer, nie wpuści wroga, ponieważ w sercu jego dużej Ojczyzny jest jego mała, lecz najbliższa i rodzinna, mała Ojczyzna. Tam jego ukochana w kwitnącym ogrodzie trzyma za rączkę jego małego syna, próbującego zrobić swoje pierwsze w życiu kroczki.

Społeczeństwo! Nasze społeczeństwo, z którego składa się państwo, już dzisiaj może zrobić tak, by młoda mama – żona rosyjskiego oficera – nie zastanawiała się, jak ma zdobyć pożywienie dla swojego dziecka. Ona powinna zostać zaopatrzona. Nie tak, jak żony oligarchów. I nie są jej potrzebne tanie wynalazki niby drogich aut. Ona będzie mieć więcej – miłość i przyszłość. A najważniejsze jest to, że dzięki niej odradza się Ojczyzna. To jej główna praca, główne zadanie.

I społeczeństwo powinno płacić jej wynagrodzenie, równe wynagrodzeniu jej męża. To mało, oczywiście, za jej wielkie stworzenie, lecz niech taki właśnie krok stanie się początkiem dobrej woli społeczeństwa i państwa.

Taka możliwość istnieje już teraz, tylko nie należy zawracać głowy wyższą ekonomią.

Rurociąg naftowy polewa Rosję dolarowym deszczem. I co z tego, skoro ani jedna kropelka tego deszczu nie spada na rosyjskiego oficera, jego żonę, dziecko, na jego małą Ojczyznę?

Kto wymyślił takie porządki, ukrywające się za jakoby panaceum na wszelkie nieszczęścia – demo-

kracją?

Co to za demokracja, kiedy niezamożni żołnierze lub oficerowie Rosji zobowiązani bronić bogaczy ich willi na szosie Rublowskiej i masę tym podobnych w innych regionach kraju. Nie demokracja to, a bredniokrakcja!

I jeżeli nie zmienimy tych bredni – nie będziemy mieli ni obrony, ni ochrony. Nie będzie jej miał ani prosty obywatel, ani prezydent, a już tym bardziej drobni i wielcy oligarchowie.

Korupcja, narkomania, milicjant, który stał się już legendą wśród ludzi, oraz funkcjonariusz drogówki, ściągający pobór od kierowców, znikną, jeżeli wykorzenić te brednie.

No powiedzcie, dlaczego pracownik wydziału kontroli ruchu drogowego powinien stać na drodze i wdychać swoimi płucami przydrożny kurz i spaliny z rur wydechowych przemykających obok niego drogich i niezbyt drogich aut? Jakby oni wszyscy mądrzy, a on to głupiec. Stoi i zapewnia im bezpieczeństwo, otrzymując przy tym żebraczą pensję.

Ale jeżeli on nie będzie pobierać łapówek od właścicieli tych aut, wyśmieją go krewni, uznają za rzeczywiście nienormalnego, żona będzie doskwierać, dzieci odwrócą się od ojca, który nie jest w stanie kupić im nawet niezbyt modnych dżinsów.

Na pracy w służbie bezpieczeństwa mu nie zależy. Jeśli go zwolnią z pracy – niewielka strata. Ta praca, jeżeli pracować uczciwie, nie zapewni bytu jego rodzinie. Znaczy to, trzeba szukać innej. A jakiej? Takiej, która pozwala, pozostając uczciwym, zapewnić byt.

Ot i stoi zakurzony w przydrożnych spalinach i pobiera datek. I społeczeństwo nie bardzo też go potępia, ale płaci. Co więc uczynić, wszyscy stajemy się tacy – a myślimy społeczeństwo. I to jest straszne! Ponieważ my się do tego przyzwyczajamy! Przestajemy marzyć o innych sytuacjach.

Przyzwyczajamy się do tłumów prostytutek, do bezdomnych dzieci i do bandytów. Do show pod nazwą" wybory" też się przyzwyczajamy. Albo jesteśmy do tego przyuczani?

A przecież do niedawna najstraszniejsze dla człowieka, który żył w rosyjskiej wsi, było społeczne potępienie współmieszkańców wsi: "Ona się źle prowadzi", "On jest złym gospodarzem ".

Otóż, czas ten powinien wrócić. Obowiązkowo powróci czas, kiedy największą przyjemnością dla Rosjanina stanie się ocena społeczeństwa:

" On jest dobrym człowiekiem", "On ma wrażliwe i dobrze wychowane dzieci", " Piękna jest jego siedziba". Wtedy to nie będzie żadnej przestępczości, korupcji i narkomanii. Ten czas z pewnością nastanie.

* * *

Na ławce w cienistym ogrodzie siedzi siwiejący człowiek w podeszłym wieku i ostrożnie gładzi jasnowłosą główkę trzyletniej wnuczki, która przytuliła się do jego piersi. A jedenastoletni wnuk zdjął generalski mundur wiszący na oparciu ławki i próbuje go przymierzyć. Dwie duże generalskie gwiazdy na pagonach munduru. A były to dwie całkiem małe gwiazdki lejtnanta.

Ale nie to jest najważniejsze, myśli, patrząc na wnuki, siwiejący generał. Rzecz najważniejsza – stworzył i zachował on dla wnuków ten ogród, staw i całą przepiękną przestrzeń swojej rodowej siedziby, swojej małej Ojczyzny w sercu Rosji. Zachował Rosję. I Ona kwitnie! Jego Ojczyzna! Rześki wietrzyk roznosi zapach jej ogrodów po całym świecie. I międzyplanetarne wiatry niosą wieść o rozkwicie Ziemi innym światom. I płoną białą zawiścią gwiazdy na niebie i marzą o powitaniu gości z Ziemi, mądrych i światłych córek i synów Boga.

Tak będzie! A tymczasem... Słyszycie, lejtnanci, jak bije na alarm serce rosyjskiej ziemi?! Jak prosi: weźcie mnie sobie po trochu i zasadźcie ogrody. Wypielęgnuję dla każdego z was rajskie przestrzenie i podaruję wieczność?! Słyszycie? Z pewnością usłyszycie!

* Zahamowanie odpływu kapitału z kraju i spowodowanie jego przypływu do Rosji. Odzyskanie zasobów intelektualnych

Teoretycznie mogę udowodnić, że przy przyjęciu w pełnej mierze programu Anastazji taka sytuacja będzie miała miejsce. Teoretycznie ukazują to znani naukowcy-badacze, studenc-dyplomanci.

Z tą kwestią można i polemizować. Bezsprzeczne dowody może przedstawić tylko praktyka. Ona też je przedstawiła.

Do już powstających osad, nie posiadających stałego prawnego statusu, zaczęli przyjeżdżać ludzie z bliskiej i dalekiej zagranicy. Mnie na przykład wiadomo: tylko w jednej osadzie w pobliżu miasta Wła-

dymir buduje się nauczyciel z Turkmenistanu, młoda para z USA. Coś podobnego można zaobserwować również w wielu innych powstających osadach na terytorium Rosji, Ukrainy. Ludzie, nie doczekawszy się ustawy o przydziale ziemi, próbują się dostosowywać do istniejących praw i zakupują ziemię. Będą kupować swoją Ojczyznę. Obowiązkiem społeczeństwa, państwa jest zwrócenie im tych pieniędzy. Inaczej spadnie przekleństwo na wszystkich, którzy wpadli na pomysł, by od człowieka urodzonego na tej ziemi brać zapłatę za to, że zaczął zagospodarowywać ziemię, na której się rodził.

Niemniej ludzie wracają, chociaż na razie są to tylko jednostki. Pomyślcie sami, co nastąpi w przypadku pomyślnego zbiegu okoliczności, to znaczy po przyjęciu ustawy o nadawaniu każdej chętnej rodzinie przydziału ziemi pod budowę rodowej siedziby.

List do Prezydenta Rosji z Niemiec

ADMINISTRACJA PREZYDENTA
FEDERACJI ROSYJSKIEJ
Staraja płoszczadź, 4, l02132, Moskwa,

ANASTASIA e.V
Schuetzlerbergerstr. 43
D–67468 Frankeneck
Telefon: +49 6325 955 99 39
Fax: +49 6325 l8 38 59
www.anastasia-de.com
E–Mail: info@anastasia–de.com
ANASTASIA e.v.

Szanowny Panie Prezydencie Rosji,
Władimirze Władimirowiczu Putinie!

Jest to list od byłych obywateli kraju, którego już nie ma – ZSRR. Z różnych przyczyn wielu z nas znalazło się za granicą. Niemcy stały się schronieniem dla ponad trzech milionów uchodźców ze ZSRR. Skierowawszy się tam i znalazłszy zachodni, " cywilizowany raj", wielu uświadomiło sobie, że jednocześnie stracili Ojczyznę, bez czego człowiek w ogóle nigdy nie może być w pełni szczęśliwy.

Dzisiaj w Rosji pojawiła się absolutnie nowa idea, gwarantująca fizyczne i duchowe zdrowie człowieka, przyjęta już przez wielu ludzi różnych narodowości, w tym również w krajach Europy Zachodniej. Dzięki tej idei zrozumieliśmy, że właśnie Rosja posiada w tym momencie ten duchowy potencjał, który potrzebny jest dla odrodzenia harmonijnego człowieka i odtworzenia harmonijnego państwa.

Szczegółowe informacje na temat tej idei można zaczerpnąć z książek Władimira Megre z serii Dzwoniące Cedry Rosji. Całkowity nakład wydanych przez niego książek stanowi prawie 6 milionów egzemplarzy. Wraz z książkami W Megre Rosjanie, mieszkańcy Wspólnoty Niepodległych Państw i innych krajów zyskali tę nową, przepiękną nadzieję na odrodzenie, tak niezbędną każdemu człowiekowi, rodzinie i państwu.

Istotę idei można przedstawić następująco:

Każda rodzina czy obywatel powinni mieć prawo otrzymania bezpłatnie jednego hektara ziemi, na którym urządzą swoją małą Ojczyznę, swoją rodową siedzibę, która mogłaby być przekazywana w spadku z pokolenia na pokolenie. Człowiek urodził się na ziemi i powinien mieć swój konkretny kawałeczek Ojczyzny, stworzony i wypielęgnowany własnymi rękoma, rękoma kilku pokoleń swojego rodu.

W jednym z wystąpień wspomniał Pan, że Rosja zrodziła się i długo żyła we wsiach, na ziemi i że to jest jej droga. My się z tym zgadzamy! Zaznawszy radości zachodniej cywilizacji, zrozumieliśmy jasno, że ‚I' narkomania, prostytucja, bezdomne dzieci, złodziejstwo, mord – to płody tejże osławionej cywilizacji. Nie mówimy już o najbardziej bolesnych europejskich problemach – ekologicznym i demograficznym. Cały ten bukiet problemów dostaje również Rosja, próbując przeprowadzić transformacje na wzór zachodni. Dziś dla wielu ludzi na Zachodzie staje się zrozumiałe, że droga, którą kroczą zachodnie demokratyczne państwa, prowadzi w ślepy zaułek, żeby nie powiedzieć: do samounicestwienia.

Rosja przeszła bardzo ciężkie wielowiekowe próby, w rezultacie których wychowany został szczególny duch w narodzie. I dzięki niemu Rosjanie w epoce najokrutniejszego duchowego i ekologicznego kryzysu będą mogli zatrzymać się na skraju przepaści i na przekór wszystkiemu rodzić nie tylko nową narodową ideę – wypielęgnować nowe życie –lecz również zapobiec katastrofie samozniszczenia całej ludzkości.

My, byli obywatele ZSRR, w pełni uświadomiliśmy sobie znaczenie prostego pojęcia – Ojczyzna. Otrzymawszy zagraniczne obywatelstwo lub pozostawiwszy dawne, wielu ludzi zrozumiało, że dusze i serca zostały w miejscach, gdzie przeżyliśmy znaczną część swojego życia.

Chcielibyśmy wrócić do Rosji i zacząć tworzyć swoje rodowe siedziby, budując w ten sposób osady nowego typu. Działalność związana z wyposażaniem rodowej siedziby doprowadzi do jakościowej zmiany życia ogromnej społeczności ludzi. Rozumiemy, że wiele zależy od nas, od naszej pracy, umiejętności, doświadczenia. Wielu z nas uzyskało w Europie nowe zawody, nauczyło się języków obcych, niektórzy mają swój biznes. Niemało jest takich, którzy zaczęli badać eksperyment zachodnich osad ekologicznych i nietradycyjnej uprawy ziemi.

W osadach będziemy sami budować szkoły, kluby, szpitale. Specjalne dotacje państwa mogą okazać się niepotrzebne, ponieważ wśród nas są wszelkiego rodzaju specjaliści, a środki i możliwości jesteśmy gotowi i jesteśmy w stanie wyszukiwać sami.

Taka działalność doprowadzi do jakościowej zmiany życia ogromnej społeczności ludzi. Ziemie, dotychczas nie chciane, porzucone, wyjałowione, staną się urodzajnymi ogrodami, a w nich urodzi się pokolenie nowych Rosjan z nową świadomością, nowym sposobem odczuwania i postrzegania świata, nowym światopoglądem.

Przy tym my przede wszystkim pragniemy pomóc swoim krewnym i bliskim, mieszkającym teraz w Rosji i Wspólnocie Niepodległych Państw, co także pomoże w rozwiązaniu problemów młodzieży, zatrudnienia i problemu mieszkaniowego. Jesteśmy gotowi już dzisiaj dołożyć wszelkich sił z kilkoma pokoleniami swojego rodu, jak również wszelkich swoich umiejętności, doświadczenia, wiedzy, finansów dla wspólnego stworzenia potężnej, majestatycznej, dumnej Ojczyzny – Rosji.

W celu urzeczywistniania tej idei prosimy o rozpatrzenie następujących kwestii:

1. Przyznanie każdej chętnej rodzinie lub samotnemu obywatelowi prawa do otrzymania bezpłatnie jednego hektara ziemi w dożywotnie posiadanie z prawem dziedziczenia, bez prawa sprzedaży, w celu stworzenia rodowej siedziby.

2. Uproszczenie procedury uzyskania rosyjskiego obywatelstwa dla osób chętnych tworzyć swoją małą Ojczyznę i dużą Rosję, urodzonych na terytorium RFSRR lub innych republik byłego Związku Radzieckiego i posiadających w przeszłości obywatelstwo ZSRR.

Z wiarą i szacunkiem, przyszli obywatele Rosji.
Niemcy, l60 podpisów.

* * *

Niestety, na ten list nie było z Rosji żadnej odpowiedzi. Nawet zwykłej zdawkowej odpowiedzi jakiegokolwiek urzędnika. Ot i przechowują rosyjsko językowi Rosjanie, zamieszkali w Niemczech, kwitek pocztowy, powiadamiający ich o tym, że administracja rosyjskiego Prezydenta otrzymała ich list. Cóż, to już reguła. Nie odpowiadają nie tylko wam, lecz również nam, mieszkającym tutaj, w Rosji. Na stronie internetowej jest już cała rubryka listów, napisanych również po angielsku, w tym także do prezydenta Rosji. Pięć lat ludzie piszą na ten sam temat – rodowych siedzib, lecz nie ma odpowiedzi na żaden list-odezwę. Nie ma odpowiedzi ani na listy zbiorowe, ani na indywidualne.

Jak wkrótce zrozumiecie inaczej też być nie mogło, ponieważ są w Rosji siły, które usytuowały siebie ponad Prezydentem i Rządem. Uważają one, jakoby stały również ponad ludem, tylko, jak myślę, niepotrzebnie tak uważają. Oczywiście, można postawić siebie nad pijanym narodem. Ale nad narodem, w którego sercach już żyje marzenie o przyszłości i palące pragnienie urzeczywistnienia tego marzenia, nie ma i nie może być żadnej siły.

Przyjdzie mi i za urzędników i za Prezydenta udzielić wam odpowiedzi, drodzy byli współobywatele.

Przede wszystkim dziękuję wam, mieszkającym obecnie w Niemczech, Ameryce Izraelu, Polsce, Czechach i Słowacji, Włoszech i Francje, w Gruzji, Białorusi i Kazachstanie, w Mongolii. To dzięki wa-

szym staraniom książki o Anastazji zostały przetłumaczone i wydrukowane w krajach waszego obecnego zamieszkania. Nie znałem was i dlatego nie mogłem o to prosić. Lecz wiem coś innego. Wiem, jak drżały wasze serca i jak chodziliście do wydawców i tłumaczy, a kiedy nie rozumieli was, próbowaliście przetłumaczyć i wydawać moje książki sami. Tak na przykład było w Czechach i Polsce, w Kanadzie i Ameryce.

A potem zaczęli was rozumieć! Po raz pierwszy poczułem to w Niemczech, występując przed czytelnikami w Berlinie i Stuttgarcie.

Rosyjsko języczni Niemcy, którzy wyemigrowali z Rosji do Niemiec i rodowici mieszkańcy, którzy nie znają języka rosyjskiego, siedzieli wspólnie w przepełnionych salach. Było ich po równo. Wiem: niezbyt są ze sobą zaprzyjaźnieni Niemcy, którzy przyjechali z Rosji i rdzenni mieszkańcy. A tu siedzieli razem i życzliwie starali się objaśnić sobie nawzajem pewnie nie zawsze zrozumiałe tłumaczenie z rosyjskiego. Wcześniej uważałem Niemców za nację pedantyczną i niezbyt emocjonalną. Ale życie pokazało co innego. Właśnie niemiecki farmer, przeczytawszy książkę o Anastazji, wsiadł do swego samochodu i pojechał na Syberię. Pojechał, nie znając języka ani rosyjskich dróg, rosyjskiego wydziału kontroli ruchu drogowego ani pogody. Dojechał. Wrócił do domu i przywiózł przyjaciołom prezenty z Rosji.

Oczywiście, dziękuję ogromnie wszystkim tym, którzy z własnej inicjatywy, a czasem i za własne pieniądze tłumaczyli i wydawali książki za granicą. Jednak rzecz przecież nie tylko w książkach. Sedno tkwi w czymś innym. Dziękuję wam za zrozumienie i poparcie dla pochodzącej z syberyjskiej Rosji idei i marzenia. Teraz to marzenie jest nie tylko rosyjskie. W takim samym stopniu jest ono i wasze. Niech uda się wam je zachować, ucieleśnić i przekazać dzieciom do udoskonalenia.

Nie wiadomo, czyje działania są bardziej znaczące: płomienne wypowiedzi Anastazji, książki czy wszyscy, którzy podchwycili ideę jak pochodnię i unieśli ją...

"Ja ludziom Duszę całą oddam swoją, ja w ludziach przetrwam duszą swoją. Gotuj się, zło, opuścić Ziemię" – powiedziała Anastazja.

Myślałem, że to są proste słowa. Jednak życie pokazało, że nie są to zwyczajne słowa.

Maleńkimi ognikami zapłonęło jej marzenie w duszach milionów ludzi, rozproszonych po różnych krajach, ludzi różnych narodowości i wyznania. To marzenie stało sięjuż nie tylko marzeniem Anastazji. Jest ono dobrem wielu ludzi, jest nieprzemijające. Jest ono teraz, na wieki i wieczność!

HEKTAR – KAWAŁECZEK PLANETY ZIEMIA

Czasem mi mówią: "A ty co, ciągle o ten hektar się troszczysz – a są ważniejsze rzeczy". Uważam jednak, że nie ma w naszym życiu dzisiaj niczego ważniejszego, niż przywrócić ziemi pierwotny rozkwit.

A dlatego też mówię o hektarze ziemi rodowej, bo za nim stoi coś niepomiernie bardziej znaczącego. Nie zawsze starcza rozumu intelektu, a być może temperamentu na wytłumaczenie tego, ale kiedy choć troszeczkę to się udaje i ludzie rozumieją – to jest zwycięstwo.

Tak było i tym razem. Rok 2003. Szwajcaria. Zurych. Forum międzynarodowe. Zaprosili mnie na nie organizatorzy i dali czas na wystąpienie. Zacząłem mówić o zrodzonej w Rosji idei, ale sala nie za bardzo to odbierała.

Pytanie z sali:

– W jaki sposób łączy pan hektar ziemi z duchowym rozwojem człowieka? Być może problem uprawy ziemi jest ważny dla Rosji, ale w Europie te kwestie zostały już dawno rozwiązane. Zebraliśmy się tutaj, aby pomówić o duchowości.

Nieco zaniepokojony zacząłem odpowiadać:

– Mówię o hektarze ziemi, o urządzeniu na nim rodowej siedziby. Niektórzy pomyślą – to prymitywne. Trzeba więc mówić o wielkich naukach, o duchowości, ponieważ taki jest temat tego prestiżowego forum europejskiego. Wiem, powiedzieli mi o tym organizatorzy, że teraz w tej sali siedzą przede mną znani w Europie pedagodzy-nowatorzy, filozofowie, pisarze, których tematem utworów jest duchowość, oraz inni nie mniej znaczący ludzie, rozmyślający na temat duchowości. Ale właśnie dlatego, że zdaję sobie sprawę z tego, kto znajduje się teraz przede mną w tej sali, mówię o tym hektarze ziemi.

Proszę państwa, jestem przekonany, że takie pojęcia, jak miłość, duchowość, koniecznie winny mieć swoje materialne ucieleśnienie.

Hektar ziemi, który mam na uwadze i o którym mówi Anastazja to nie jest zwykły hektar ziemi i tyl-

ko to. To przestrzeń, poprzez którą będziecie związani z kosmosem. Na tę przestrzeń, a więc i na was, będą reagować wszystkie planety Wszechświata. Będą one waszymi przyjaciółmi, pomocnikami i współtwórcami.

Spójrzcie, co się dzieje zgodnie z prawami natury: zwykły kwiat rumianek – i ten nierozerwalnie związany z kosmosem, z planetami, ze słońcem. Kwiat otwiera swoje płatki, kiedy wschodzi słońce i zamyka, kiedy słońce zachodzi. Są jedyne we wzajemnej harmonii. Tryliony kilometrów i lat świetlnych nie mogą ich rozdzielić. One są razem ogromne słońce i mały ziemski kwiat. Wiedzą, że tylko razem są twórcami wielkiej harmonii Wszechświata

Jednakże nie tylko na słońce reaguje każde ziemskie źdźbło trawy. Reaguje też na inne planety, reaguje na człowieka, na energię jego uczuć.

Naukowcy przeprowadzali taki eksperyment. Do rośliny, kwiatka pokojowego, podłączali nadajniki, a strzałki przyrządu rejestrowały najmniejsze impulsy energetyczne pochodzące od kwiatka. Kolejno do pokoju wchodziło kilka osób. Jeden przechodził obok inny podchodził i podlewał kwiatek, a jeszcze inny wchodził i odrywał listek. Przyrządy zarejestrowały, że kiedy wchodzi człowiek, który odrywa listek, roślina zaczyna się niepokoić i strzałka aparatu się odchyla.

Często można obserwować i taki fenomen: kwiaty więdną, kiedy gospodarz wyjeżdża. To znaczy, rozumiemy, że wszystkie rośliny reagują na człowieka. Mogą człowieka kochać, a mogą go nie kochać. Zatem miłość lub jej brak komunikować swoim planetom.

A teraz oto wyobraźcie sobie, że macie pewną przestrzeń – hektar ziemi. Nie jest to zwykły hektar ziemi, na którym posadzono ziemniaki na sprzedaż, ale hektar ziemi, na którym zaczęliście tworzyć, mając określony poziom świadomości i określony poziom duchowości.

Macie swoje terytorium, a na nim mnóstwo roślin, wysadzonych nie przez najętych pracowników, ale bezpośrednio przez was. Każda roślina, każde źdźbło trawy odnosi się do was z miłością i oto te rośliny, żywe istoty, zdolne są zgromadzić dla was wszystkie najlepsze energie W szechświata. Zgromadzić i oddać wam. Rośliny odżywiają się nie tylko energią Ziemi. Przecież wy też wiecie, że są takie rośliny, które mogą rosnąć bez gleby.

Pięć tysięcy lat temu w starożytnym Egipcie żyli kapłani, którzy stworzyli mnóstwo religii. I ci kapłani kierowali całymi narodami. Owi kapłani byli naj bogatszymi ludźmi tamtych czasów. W podziemiach ich pałaców przechowywane były kufry ze złotem i kosztownościami, znali oni wiele tajnych nauk, a po radę i pieniądze przychodził do nich faraon. Lecz każdy z kapłanów zajmujących wysoki szczebel w hierarchii miał swój hektar ziemi, na którym nie pozwalał pracować niewolnikom. Ci najbogatsi ludzie, znając mnóstwo nauk, znali też tajemnicę hektara ziemi. Na ścianach starożytnych świątyń Egiptu, świątyń kapłańskich, było napisane: "Nie przyjmuj pożywienia od niewolnika swojego". To jeden przykład.

Drugi przykład. W starożytnym Rzymie senatorzy wydali dekret, że jeżeli niewolnik potrafi pracować na roli i otrzymał ziemię, to tego niewolnika można sprzedać innemu właścicielowi tylko razem z ziemią, aby nie dopuszczać obcych do tego, co na tej ziemi rośnie. A dlaczego rzymscy senatorzy dawali niektórym niewolnikom ziemię? I jeszcze dawali pieniądze, aby ci zbudowali tam sobie dom? Z jednej jedynej przyczyny – by zabrać im lO% plonu, wyhodowanego i wykarmionego przez miłość i troskę człowieka, który go hodował. Tylko z takiej produkcji może być pożytek.

Egipscy kapłani i senatorzy starożytnego Rzymu wiedzieli, jakie pożywienie jest pożyteczne dla człowieka. Produktów, które my teraz jemy, w pożywieniu w żadnym wypadku używać nie wolno: to "martwe" pożywienie. Istnieje ogromna różnica między tą jagodą, którą zrywacie z krzaka i od razu zjadacie, a tą, którą sprzedaje się w sklepie. Rzecz nie tylko w tym, że ona już zwiędła. Chodzi o to, że w niej nie ma energii. Ona nie może nakarmić ludzkiej duszy. Nie mówię już o tym, że nasz technokratyczny świat stworzył takie rodzaje roślin, które są mutantami.

Tak więc, jeżeli nie macie swojego hektara ziemi, nigdzie nie znajdziecie pokarmu godnego człowieka. Możecie wziąć pieniądze i kupić jakiekolwiek warzywa. Jednak wiedzcie: te warzywa rosły nie dla was. One rosły w ogóle nie dla człowieka. Rosły dla pieniędzy.

Nie istnieje choroba, której nie mogłaby wyleczyć Przestrzeń Miłości, ta przestrzeń, którą stworzyliście własnymi rękoma i duszą.

Ludzie – to dzieci Boga. Świat roślinny i zwierzęcy, powietrze i przestrzeń nas otaczająca też są dziełem Boga. A wszystko razem jest niczym innym, jak materializacją ducha Boga. Jeżeli ktoś nazywa siebie człowiekiem o wysokim poziomie duchowości, to niech pokaże materializację swojej duchowości.

Wyobraźcie sobie, że teraz Bóg patrzy na was z góry. I widzi, jak ktoś kieruje tramwajem, któreś z Jego dzieci buduje domy, ktoś stoi w sklepie i sprzedaje za ladą – to ekspedient. Takich zawodów Bóg nie tworzył. To zawody dla niewolników. Bóg nie chciał, by jego dzieci były niewolnikami. I On stworzył cudowny świat i oddał go, aby ten był podporządkowany jego dzieciom. Bierzcie go i korzystajcie! Ale w tym celu trzeba zrozumieć ten świat. Zrozumieć, czym jest księżyc i zrozumieć, czym jest źdźbło trawy, które nazywa się krwawnikiem.

I czymże takim jest hektar ziemi? To miejsce, na którym człowiek powinien pracować w pocie czoła? NIE! To miejsce, na którym człowiek w ogóle nie powinien pracować! To miejsce, za pośrednictwem którego człowiek powinien kierować światem. Powiedzcie, kto więcej zadowolenia przyniesie Bogu: człowiek, który kieruje tramwajem, czy człowiek, który chociażby tylko mały kawałeczek ziemi, ale zamienił w raj? Oczywiście, że ten drugi.

Czy można przed dzisiejszymi ludźmi otworzyć drogę w kosmos? I nauczyć ich zagospodarowywać Marsa, Księżyc? Nie wolno tego robić! Dlatego że tam pojawi się broń, tam pojawi się brud, będą tam takie same wojny, j ak na Ziemi. Jednakże człowiek jest stworzony do tego, by opanowywać inne światy. A stanie się tak tylko wówczas, kiedy człowiek zrozumie i opanuje Ziemię. Sposób opanowywania planet Wszechświata absolutnie nie jest sposobem technicznym, jest to sposób psychotelepatyczny.

Człowiek musi sobie uświadomić, w czym tkwi prawdziwe piękno Wszechświata.

Wasze miasto Zurych uważa się za przepiękne. Możemy tysiąc razy powiedzieć, że jest ono przepiękne. A co konkretnie jest w nim przepiękne? Tak, jest tu bardzo czysto i wielu ludzi z wyglądu zasobnych, mających zapewniony byt. Ale czy przepiękna jest ziemia pokryta tym oto asfaltem? Czy to dobrze, że tylko w pewnych miejscach przebijają się zielone wysepki? Czy dobrze, że w centrum waszego miasta umiera wspaniałe drzewo – cedr? On dusi się od spalenizny. Dusi się od spalin. Umiera nie tylko on i dusi się też nie tylko on. Od tych spalin dusi się człowiek, który chodzi po tym mieście.

Powinniśmy się zastanowić, co nawyprawialiśmy na tej Ziemi. I lepiej mówić bardzo prosto. Niech każdy z nas weźmie po małej działce swojej ziemi, zbierze cały swój intelekt i całą swoją duchowość i stworzy mały, maleńki, lecz konkretny raj. Zamieni mały kawałeczek ziemi na dużej planecie w kwitnący ogród, materializując swoją duchowość, jak uczynił to Bóg. Jeżeli uczynią tak miliony ludzi w różnych krajach, to cała Ziemia będzie kwitnącym ogrodem i nie będzie wojen, ponieważ miliony ludzi będą pochłonięte przez wielkie współtworzenie. A jeżeli nawet Rosjanie pójdą na Szwajcarię albo na Niemcy, to tylko po to, aby nacieszyć się kontemplowaniem przepięknych żywych oaz, przejąć doświadczenie materializacji prawdziwej duchowości.

Rosja, niestety, stara się teraz upodobnić do Zachodu, rosyjscy politycy, mówiąc o zachodnich krajach w swoich przemówieniach, używają takich wyrażeń, jak "rozwinięte", "cywilizowane", wzywają ludzi, aby dogonić je pod względem "stopnia rozwoju" i "ucywilizowania". Nasi politycy jeszcze nie wiedzą tego, że można nie tylko szybko dogonić, ale również znacznie prześcignąć. A zdarzyć się to może tylko wtedy, gdy się pobiegnie w przeciwnym kierunku.

Ja żadną miarą nie chcę bagatelizować ani obrażać waszej zachodniej cywilizacji. Lecz przecież mówimy o duchowości, powinniśmy być wobec siebie nawzajem szczerzy. Miernikiem duchowości nie może być tylko materialny dobrobyt, osiągnięcia techniczne. Taka jednostronna, technokratyczna droga rozwoju ludzkości niezmiennie wiedzie ją ku przepaści, co wy, tu zebrani, niewątpliwie przyznajecie, lecz w takim razie winniście przyznać i to, że na dystansie do przepaści wy biegniecie pierwsi, a my za wami. Spróbujcie się zatrzymać, pomyśleć, co się stało z naszym światem. Jeżeli będziecie w stanie sobie to uświadomić, zawołajcie do biegnących za wami: "Stójcie, dzieci, nie biegnijcie: tu jest przepaść, a my już na jej krawędzi. Szukajcie innej drogi".

Wspólnie, wsłuchawszy się w głos swojego serca, winniśmy od słów o duchowości przejść do jej materializacji. Jeden hektar – to zaledwie malusieńki punkt na planecie Ziemia. Lecz miliony takich punktów zamienią całą planetę w kwitnący ogród. Trylionami płatków kwiatów, szczęśliwymi uśmiechami dzieci i staruszków oznajmią Wszechświatu:

– Ludzie Ziemi są gotowi do wielkiego stworzenia.

– Czekamy na ciebie, człowieku – odpowiedzą planety Wszechświata.

– Czekamy na ciebie, godnego syna Boga.

Początek wielkiemu przekształceniu na Ziemi dało nasze tysiąclecie. Dziesiątki tysięcy rosyjskich rodzin już skierowały się do swojego hektara. Ojciec i matka, realnie tworzący Przestrzeń Miłości dla swo-

ich dzieci, bardziej uduchowieni niż najbardziej znani mędrcy, którzy tylko mówią o duchowości.

Niech z Ziemi kiełkuje duch każdego człowieka przepięknym kwiatem, drzewem z aromatycznym owocem i niech tak się dzieje na każdym hektarze naszej planety.

Po tych słowach w sali na pewien czas zapadła absolutna cisza, potem – burza oklasków.

Występowałem w Zurychu również następnego dnia. I znów sala była pełna. Byli tu i nasi rodacy.

Myślę, że mówiłem niezbyt składnie, tym bardziej że przez tłumacza. Ale ludzie nie odchodzili, słuchali, ponieważ mówiłem do ludzi na tej sali nie tylko ja – mówiła wielka siła. Bardzo prosta i konkretna, a jednocześnie niezwykła, przez tysiąclecia przechowywana w głębinach ludzkiej duszy – nostalgia za prawdziwym trybem życia człowieka-stwórcy.

I wówczas pomyślałem: "Czy trzeba komukolwiek udowadniać, że obowiązkowo wrócą do Rosji wszyscy jej synowie i córki, uniesieni przez niedobry wiatr? Wrócą!". Wy przypomnijcie sobie słowa Anastazji:

"Do Rosji tego dnia przyjadą goście. Wszyscy ci, których Ziemia zrodziła przez atlantów, powrócą jak marnotrawni synowie. I bardowie niech wszędy grają na gitarach. I staruszkowie napiszą listy do dzieci, a dzieci wszystkie – do swoich rodziców. I my nagle staniemy się bardzo młodzi. Jak młodymi będą ludzie po raz pierwszy".

WŁADZA NARODOWA

I jeszcze jeden apel-pytanie chciałbym skierować do czytelników serii książek Dzwoniące Cedry Rosji.

Teraz trwa proces tworzenia przez was narodowego programu rozwoju państwa rosyjskiego. Część artykułów publikuje się w almanachach, część zamieszczana jest w Internecie na stronie "Anastazja". Jak widzę, w przytłaczającej większości materiały są bardzo ciekawe. Aczkolwiek jedno zagadnienie – o władzy – naświetlone jest niedostatecznie. A to bardzo ważne zagadnienie. Zastanówmy się więc nad tą kwestią wspólnie. Na początek podzielę się swoimi wnioskami.

Władza zmienia się często. Tylko przez ostatnie sto lat ludzie żyli i za cara i za komunistów i za kilku rządzących-demokratów. Władza się zmienia, lecz życie na lepsze się nie zmienia. Dlaczego? Do władzy dochodzą bez przerwy źli ludzie? Wątpliwe. Najprawdopodobniej upadły system czyni wszelkich polityków, którzy doszli do władzy, urzędnikami niezdolnymi do działania w rozwiązywaniu problemu realnego polepszenia życia społeczeństwa.

Weźmy zgromadzenia ustawodawcze ostatnich kadencji. Niby głosujemy na normalnych ludzi, mających rodziny, a otrzymujemy podczas ich działalności, delikatnie mówiąc, dziwne projekty ustaw. Dlaczego? Być może, doszedłszy do władzy, trafiają do innego świata, oderwanego od narodu? Mieszkanie w poselskim domu, samochód z lampą sygnałową, gabinet, do którego zwykli ludzie nie mają wstępu, wszelkie możliwe ulgi – i marność nad marnościami.

Dziadek Anastazji zaproponował ciekawy projekt prawa dla deputowanych. Wszyscy oni winni otrzymać ziemię i mieszkać koniecznie w zbudowanych na tej ziemi osadach, w sąsiedztwie z ludem. Obywatelka Ukrainy, absolwentka wydziału prawa, Tatiana Borodina uszczegółowiła ten projekt i jak sądzę, zasługuje on na uwagę. Z tego też względu zdecydowałem się wydrukować w tej książce jego podstawowe artykuły i prosić czytelników o zaproponowanie go posłom na zgromadzenia ustawodawcze wszystkich szczebli w swoich regionach.

I jeszcze wzywam czytelników do obowiązkowego wzięcia udziału w wyborach regionalnych i federalnych, lecz głosowania tylko na tych kandydatów na posłów, którzy mieszkają we własnych rodowych siedzibach.

Czyż tylko stempel w dowodzie osobistym mówi o przynależności tego lub innego obywatela do Rosji? Jest mnóstwo przypadków, kiedy kandydujący ma rosyjskie obywatelstwo, mieszkanie z meldunkiem, a jego wytworny majątek znajduje się w innym kraju.

Czy on będzie myślał o potrzebach rosyjskiego ludu? Prędzej jego zamysły będą skierowane na zupełnie inny tor.

Jeżeli kandydat ma swoją małą Ojczyznę – swoją siedzibę rodową w Rosji – i mieszka w niej wśród rosyjskich obywateli, można się po nim spodziewać pracy ukierunkowanej na dobro tych obywateli oraz na dobro Wielkiej Ojczyzny.

To staje się zrozumiałe dla wielu ludzi. Studenci nawet zaczynają pisać ustawy w ramach pomocy prawodawcom.

Prawo Rosji o rodowych osadach, tworzonych przez narodowych posłów Rosji wszystkich szczebli (projekt)

Ustawa określa prawne, społeczne i ekonomiczne podstawy stworzenia i funkcjonowania rodowych osad tworzonych przez narodowych deputowanych Rosji oraz rodowych siedzib, jak również zabezpiecza proklamowane w Konstytucji Rosji prawo obywateli Rosji do ziemi jako podstawowego bogactwa narodowego.

Ustawa jest ukierunkowana na stworzenie dobrych warunków dla wysokojakościowej, owocnej pracy narodowego posła Rosji w zakresie opracowania, stworzenia i uchwalenia ustaw Rosji, jak również na zapewnienie maksymalnego zbliżenia go do wyborców.

Artykuł 1. Podstawowe terminy i pojęcia wykorzystywane w Ustawie

W niniejszej Ustawie terminy wykorzystywane są w takim znaczeniu: rodowa siedziba (dobra rodzinne) – działka gruntu o obszarze l do 1,3 hektara, oddana pełnoletnim obywatelom Rosji w dożywotnie korzystanie z prawem przekazywania w spadku, bez opodatkowania ziemi i plonów;

Rodowa osada – osiedle, zorganizowane w początkowym etapie miejscowego samorządu, składające się z siedzib rodowych (dóbr rodzinnych) i obiektów o przeznaczeniu socjalno-kulturalnym i społecznym;

Dożywotnie korzystanie – bezwarunkowe, bezterminowe, nieodpłatne posiadanie i korzystanie z działki gruntu; żywopłot – drzewiasta i krzewiasta roślinność, posadzona wzdłuż obwodu rodowej siedziby i rodowej osady.

Artykuł 2. Ustawodawstwo o rodowych siedzibach i rodowych osadach

Relacje związane z udzieleniem narodowemu posłowi Rosji przydziału gruntu w celu stworzenia rodowej osady, określenie trybu prawnego rodowej siedziby i rodowej osady ich funkcjonowanie regulowane są przez Konstytucję Rosji, Kodeks Ziemski Rosji, niniejszą Ustawę, Prawo Rosji "O rodowych siedzibach i rodowych osadach w Rosji" oraz Inne prawa.

Artykuł 3. Podstawowe zasady prawodawstwa w sferze rodowych osad

Przy tworzeniu przez narodowych deputowanych Rosji rodowych osad należy się kierować następującymi podstawowymi zasadami:

a) przestrzeganie praworządności,

b) stworzenie warunków do realizacji przez wszystkich obywateli Rosji prawa do ziemi, jako podstawowego bogactwa narodowego,

c) nieodpłatność, bezwarunkowość i bezterminowość posiadania i korzystania z działki gruntu, oddanej w celu stworzenia siedziby rodowej,

d) zwolnienie posiadaczy siedzib rodowych z płacenia podatków od sprzedaży produkcji, wyhodowanej i wyprodukowanej w dobrach rodzinnych,

e) stworzenie jednej rodowej osady przez jednego narodowego posła Rosji bieżącej kadencji,

f) inne zasady.

Artykuł 4. Sfera działania Prawa

Działanie niniejszego Prawa rozpowszechnia się na narodowych posłów Rosji wszystkich szczebli, wybranych zgodnie z ustawodawstwem o wyborach, jak również na pełnoletnich obywateli Rosji, którzy wyrazili chęć mieszkania w rodowej osadzie, zorganizowanej na zasadach wyłożonych w tym Prawie.

Artykuł 5. Udzielenie narodowemu posłowi Rosji przydziału gruntu na stworzenie rodowej osady

l. Każdemu narodowemu posłowi Rosji tej i kolejnej kadencji w ciągu roku od dnia jego wyboru oddaje się przydział gruntu o wielkości najmniej 150 hektarów na stworzenia rodowej osady (dalej – przydział gruntu).

2. Przy wyborze narodowego posła Rosji w systemie proporcjonalnym w wielomandatowym ogólno

państwowym okręgu wyborczym, w spisach wyborczych kandydatów na deputowanego z partii politycznych, wyborczych bloków politycznych partii, przydziału gruntu udziela się narodowemu posłowi Rosji w jednym z regionów Rosji zgodnie z jego wyborem.

Przy wyborze narodowego deputowanego Rosji w większościowym systemie względnej większości w jednomandatowych okręgach wyborczych, przydziału gruntu udziela się mu w ramach tego wyborczego okręgu, z którego deputowany został wybrany.

3. Zakazuje się tworzenia jednej rodowej osady przez dwu i więcej, posłów Rosji, jak również zamieszkiwania w jednej rodowej osadzie dwu i więcej posłów Rosji bieżącej kadencji.

4. Przydziału gruntu udziela sięjednym masywem wraz z usytuowanymi nań źródłami wodnymi, z ziem własności państwowej lub komunalnej. Ziemia może być także skonfiskowana osobom, które mają ją w stałym korzystaniu i oddana narodowemu deputowanemu Rosji w celu stworzenia rodowej osady.

5. W razie konieczności ziemia może być wykupiona u właścicieli gruntowych działek dla społecznych potrzeb. Właściciel gruntowej działki nie później niż na rok przed przypuszczalnym terminem wykupu powinien być zawczasu uprzedzony pisemnie przez organ, który podejmuje decyzję o wykupie działki gruntu. Wykupienie działki gruntu dochodzi do skutku po zgodzie jego właściciela. Jego wartość kształtuje się zgodnie z pieniężną i ekspertyzową wyceną ziem, którą przeprowadza się według metody zatwierdzonej przez Gabinet Ministrów Rosji.

6. Działka gruntu, którą proponuje się włączyć w skład przydziału gruntu na stworzenie przez posła Rosji rodowej osady, lecz znajdująca się w posiadaniu osoby fizycznej lub prawnej, za zgodą właściciela może być zamieniona na inną działkę gruntu o równej wartości w ramach danego regionu lub, na życzenie właściciela, w innym regionie Rosji.

7. Obywatele Rosji – właściciele działek gruntowych i udziałów gruntowych przyległych do terytorium tworzonej rodowej osady, wyznaczonych w naturze (na miejscowości) – mają prawo nieodpłatnie oddać należące do nich działki gruntowe na stworzenie przez deputowanych narodowych Rosji rodowej osady i otrzymać w powstającej rodowej osadzie na prawie dożywotniego korzystania działkę gruntu na stworzenia rodowej siedziby.

8. Obywatel Rosji, posiadający na własność udział gruntu, nie wydzielony w naturze (na miejscowości), ma prawo przyłączyć go całkowicie lub częściowo (obszar najmniej jednego hektara) do tworzonej przez narodowego deputowanego Rosji rodowej osady i otrzymać w nim na prawie dożywotniego korzystania działkę gruntu na stworzenie rodowej siedziby.

Artykuł 6. Skład ziem w rodowej osadzie

l. Ziemie rodowej osady składają się z takich rodzajów działek gruntowych:

* działki gruntowe na stworzenie rodowej siedziby,

* działki gruntowe na stworzenie rodowej siedziby przez dzieci posła Rosji (fundusz rezerwowy) w ilości nie większej niż dwie działki na jedną rodową osadę.

2. Działki gruntowe pod obiekty o przeznaczeniu społeczno-kulturalnym i społecznym wyznaczane są zgodnie z generalnym planem rodowej osady. Obszar zajmowany przez te działki gruntu winien stanowić nie więcej niż 7% ogólnego obszaru rodowej osady. Te działki gruntowe znajdują się pod zarządem rady terytorialnej odpowiedniej rodowej osady.

3. Pozostała część przydziału gruntu podlega podziałowi na działki gruntowe pod stworzenie rodowych siedzib, o powierzchni co najmniej l hektara każda. Wielkości działki gruntowej mogą sięgać do 1,3 hektara, z uwzględnieniem rzeźby terenu miejscowości i innych czynników.

4. Pomiędzy działkami gruntowymi wszystkich rodzajów powstaną przejścia o szerokości przynajmniej 3-4 metrów, rozmieszczone zgodnie z wytycznymi obowiązującego porządku. Na obwodzie każdej działki gruntowej, wyznaczonej na stworzenia rodowej siedziby, jej właściciel ma prawo posadzić żywopłot.

5. Na działkach gruntowych, przeznaczonych na stworzenia rodowej siedziby, obywatele Rosji mają prawo sadzić roślinność drzewną i krzewiastą (w tym odmian leśnych), tworzyć sztuczne zbiorniki wodne, budować mieszkania, wznosić pomieszczenia pomocnicze i inne obiekty, z przestrzeganiem zasad dobrosąsiedzkich.

Artykuł 7. Porządek rozdziału pomiędzy obywateli Rosji działek gruntowych, przeznaczo-

nych pod budowę rodowych siedzib

l. W tworzonej rodowej osadzie poseł ma prawo jako pierwszy otrzymać jedną gruntową działkę na stworzenie rodowej siedziby, zgodnie ze swoim wyborem, w dożywotnie korzystanie z prawem przekazywania w spadku.

2. Każde z dzieci posła, posiadające własną rodzinę, ma prawo otrzymać w dożywotnie korzystanie działkę gruntu na stworzenia rodowej siedziby.

3. Jedna lub dwie działki gruntowe w rodowej osadzie, zgodnie z obowiązującym porządkiem, przeznacza się dla dzieci – wychowanków domów dziecka, uchodźców.

4. Narodowy poseł Rosji ma prawo do 30% ilości pozostałych działek gruntowych rozdać obywatelom Rosji według swojego uznania, aby mogli oni stworzyć na nich dobra rodzinne.

5. Pozostałe działki gruntowe winny być rozdane obywatelom Rosji należącym do różnych warstw ludności (przedsiębiorcy, pracownicy społecznej sfery, emeryci, przedstawiciele twórczej inteligencji, wojskowi itp.). Działki gruntowe rozdzielane są pomiędzy obywatelami Rosji drogą losowania, przeprowadzanego otwarcie na walnym zebraniu przyszłych mieszkańców rodowej osady.

Artykuł 8. Rada terytorialna rodowej osady

l. Rada terytorialna rodowej osady – to mieszkańcy zjednoczeni stałym zamieszkaniem w ramach rodowej osady, stanowiącej samodzielną jednostkę administracyjno-terytorialną.

2. Rada terytorialna rodowej osady ma prawo stworzyć przedstawicielski organ miejscowego samorządu – radę rodowej osady, składającą się tylko z mieszkańców tej osady.

3. Posłowi Rosji zakazuje się wysuwania swojej kandydatury w wyborach i zostania wybranym do rady rodowej osady. W razie wyboru posła Rosji do rady rodowej osady wybory uznaje się za nieważne.

4. W celu uregulowania charakterystyki stworzenia miejscowego samorządu rada terytorialna rodowej osady ma prawo na zebraniu miejscowej rady lub na miejscowym referendum przyjąć Statut rady terytorialnej rodowej osady (dalej – Statut). Statut podlega rejestracji w rejonowych organach sądownictwa.

Artykuł 9. Status działki gruntowej pod stworzenie rodowej siedziby

l. Działkę gruntu na stworzenia rodowej siedziby oddaje się w dożywotnie korzystanie z prawem przekazywania w spadku tylko obywatelowi Rosji. Zakazuje się nadawania działek gruntu na tworzenie rodowej siedziby zagranicznym obywatelom i osobom bez obywatelstwa, oprócz osób, które otrzymały w ustanowionym przez prawo trybie status uchodźcy (lecz nie więcej niż dwie rodziny na jedną rodową osadę, tworzoną przez posła Rosji)*.

* Szczegółowy projekt ustawy i komentarz do niego będą opublikowane w kolejnym numerze almanachu "Dzwoniące cedry Rosji". Almanach można nabyć. I dobrze by było, gdyby czytelnicy poradzili posłom wszystkich szczebli władzy zapoznanie się z nim.

* * *

Nie wiem, jak długo spacerowałem, podczas gdy dziadek Anastazji zapoznawał się z zawartością przywiezionej przez mnie teczki z dokumentami. Nagle usłyszałem gromki, głośny i zupełnie nie starczy śmiech. Śmiał się nadal również wtedy, kiedy szybko do niego podszedłem.

– Dobrze... Oj, ubawiłeś mnie... Dziękuję ci... Dziękuję, Władimirze. A ja z początku nie chciałem tego zgłębiać.

– Ale jeżeli dziadek zgłębił, to dlaczego się śmieje? Sytuacja jest przecież bardzo poważna. Bardzo skomplikowana!

– Dla kogo bardzo skomplikowana? – spytał ponownie dziadek.

– Dla mnie, dla czytelników, którzy zechcieli budować rodowe siedziby, o których mówiła Anastazja.

Możliwe, że ton mój był nieco rozdrażniony i urażony, kiedy to mówiłem. Dziadek przestał się śmiać, uważnie na mnie spojrzał i odpowiedział spokojnie i poważnie:

– Tak też do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego wnuczka tak się z tobą cacka, a jeszcze i dzieci rodzi. Ty tylko się nie obrażaj na mnie, staruszka, Władimirze. Ja zrozumieć nie mogę inni też może nie zrozumieją, lecz w tym niepojęciu możliwe jest, że tkwi sens wielki. I dlatego do ciebie odnoszę się bez niechęci. Nie potępiam wnuczki, a wręcz zachwycam się tym, co się dokonało.

– A co do sedna tego, co napisane, może coś dziadek powiedzieć?

– Przecież powiedziałem – zachwycam się tym, co się dokonało.

– Przez kogo się dokonało?

– Przez wnuczkę.

– Ale ja przecież pytałem dziadka o to, co napisałem.

Dziadek popatrzył na teczkę z papierami. Potem – milcząco i uważnie – na mnie i odparł:

– Nie wiem, Władimirze, na ile konieczny jest ten apel do ludzi. Może i on jest dla nich ważny. Dla mnie to, co przeczytałem, jest tylko potwierdzeniem przypuszczenia, że wnuczka już dziesięć lat temu przewidziała wszystkie perypetie i wszystko to, co – jak się tobie wydaje dzieje się w ramach przeciwstawienia, ona dawno w dobro przekształciła.

– Jakże można uważać obrażanie czytelników i mnie za dobro?

– A zrozumiałeś, kto ciebie obraża, twoich czytelników?

– Pewna struktura, która: rozlokowała się pod dachem Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

– Uczucie urazy w tobie powstało?

– Tak.

– To i dobrze. Teraz nie rozumem, ale uczuciami, powstałymi w tobie i mnóstwie ludzi, będziesz mógł pojąć, jak waszych przodków przed potomnymi oczerniono. Nazwano ich poganami i na przestrzeni wieków przypisywano im czyny niegodne, których przodkowie się nie dopuszczali. Nie tylko ty próbowałeś o tym pisać. Na przestrzeni wieków znalazło się wielu historyków, którzy obalić oszczerstwo próbowali. Lecz nadaremnie.

Teraz powstała sytuacja, kiedy w taki sam sposób spotwarza się ludzi, którzy zechcieli stworzeń Boga dotknąć. Takich ludzi teraz niemało i oni na sobie czują, jak okłamano ich przodków. Poprzez tych, którzy dzisiaj są oczerniani, odrodzone zostaną dusze dalekich przodków. Jak aniołowie-stróżowie, dalecy rodzice strzec zaczną swoich dzisiejszych dzieci. Nie będzie lepszej i jaśniejszej siły od tej, która powstaje teraz na świecie. Uwierz. Jeżeli dzisiaj tak zdarzyło się dla ludzi... Jeżeli niewidzialna nić zdolna będzie zjednoczyć dzisiejszego syna z jego rodzicem, który żył dwa tysiące lat temu i jeżeli dalej nić połączenia przetrwa, to z Bogiem człowiek dzisiejszy, z pierwszym rodzicem swoim się połączy.

Dziadek mówił to, wyraźnie powstrzymując wzruszenie. A ja chciałem uściślić:

– Możliwe, że to, co dziadek mówi, jest czymś bardzo ważnym. Lecz przecież nastąpiło zatrzymanie tworzenia rodowych siedzib.

– A może ono jest niezbędne dla uświadomienia sobie i stworzenia projektu przyszłości?

– Być może. Wszystko jakoś nadzwyczajnie się kręci. Niby pierwsza książka zaczynała się od prostych działań, następnie – druga, czytelnicze kluby, a teraz – Księga Rodu się pojawiła i Rodzinna kronika.

Przy tych słowach dziadek ponownie się zaśmiał, lecz od razu zamilkł, z dobrodusznym uśmiechem powiedział:

– Z Rodzinną kroniką wnuczka wyraźnie osobiście się zabawiła. Może aby was jakoś pocieszyć.

No i jak należy, powstała sytuacja, kiedy ideę wnuczki poparli rządzący najwyższego szczebla w kraju oraz Patriarcha. Ale samą tylko ideę, jej filozofię przemilczając bądź jej nie rozumiejąc. Oni nie wejdą do wieczności, są tylko połowiczni, nie są odważni.

Do historii i do wieczności wejdą ci ludzie, którzy teraz, chociażby tylko w myślach, ale tworzą swoje miłe Bogu siedziby. Czy ideę wybrali sami, czy ich wybrano – to już nie będzie ważne. Wieczność przed tymi ludźmi, którzy współtworzą przyszłość dla dzieci. Swoich dzieci i dla siebie. Po raz pierwszy na Ziemi człowiek dla wieczności zrodzony zostanie wieczności przywrócony.

Władimirze, zaczynam rozumieć działania wnuczki. Przypuszczam, że odkryto przed Anastazją wiele tajemnic bytu. Ale jest jedna, która do końca nie jest znana nawet najwyższym kapłanom. Tylko oni zawsze wiedzieli: życie ludzkie może być wieczne. Część wiedzy pozwalała im też reinkarnować. Lecz ich ponowne wcielenie nie było pełne. I dlatego czyny nie dawały radości ani im, ani ludzkości. Teraz – jestem pewien, uwierz i ty – Anastazja wie absolutnie, jakie twórcze działanie jest niezbędne dla osiągnięcia wieczności życia. Zapytaj ją o to i staraj się zrozumieć. A jeżeli znajdzie w sobie słowa, zrozumiałe dla mnóstwa ludzi, otworzą się wtedy światy godne człowieka-boga.

Idź, Władimirze, do wnuczki, porozmawiaj z nią. Teraz siedzi pod cedrem nad brzegiem jeziora. Może się zdarzyć coś bardzo znaczącego na świecie, kiedy znajdą się słowa o wieczności, zrozumiałe

dla rozumu i uczuc. Trysną w górę dążenia obudzonej wielkiej cywilizacji. Galaktyka poczuje wielkie dążenia i z drżącym wzruszeniem będzie czekać dotyku tych, którzy mogą obdarzyć planety cudownym życiem. Idź, nie zwlekaj.

Zrobiłem kilka kroków, ale wołanie dziadka Anastazji mnie zatrzymało:

– Władimirze, a tak w ogóle to nadeszła pora, abyście wy, anastazjowcy, stworzyli partię rodzinną.

– Partię? Jaką?

– Przecież mówię. I nazwać ją – Partia Rodzinna.

NOWA CYWILIZACJA

Anastazja siedziała pod cedrem w jasnoszarej, zrobionej na drutach lnianej sukience. Objąwszy rękoma kolana i nieco pochyliwszy głowę, wpatrywała się w wodną taflę jeziora. Nie od razu do niej podszedłem. Przez jakiś czas stałem w oddali i obserwowałem cicho siedzącą na brzegu pustelnicę. Nie. To określenie nie pasuje do Anastazji. Prędzej już można nazwać pustelnikami ludzi żyjących w nowoczesnych mieszkaniach.

Człowiek mieszka w mieszkaniu i nie zna nawet sąsiadów z klatki schodowej. Idzie taki człowiek ulicą i nie obchodzą go przechodzący obok ludzie. Podobnie jak idący człowiek nie obchodzi podążających z naprzeciwka czy w tym samym kierunku przechodniów.

To znaczy, że nie jest straszne, gdy człowiek mieszka sam. Znacznie straszniejsza jest jego samotność pośród ludzi jemu podobnych.

Anastazja siedzi sama na brzegu tajgowego jeziora, lecz jej serce bije unisono z milionami ludzkich serc, żyjących w różnych krajach. Jeden nazywa ją przyjaciółką inny siostrą, niczym krewni.

A jej cicho wypowiedziane słowa spokojnie przenikają przez nieskończony strumień informacji, grzmiącej, wyjącej z ekranów telewizorów i z mnóstwa innych źródeł. Jej słowa przenikają i są odbierane przez ludzi. A ci, którzy je usłyszeli, odpowiadają pieśnią i brzmieniem gitarowej struny, a częstokroć i czynem. Inaczej już organizują swoje życie. I dziadek. Po raz pierwszy widziałem, jak płomiennie się wypowiadał, prosił, bym porozmawiał z Anastazją o wieczności.

Kiedy usiadłem obok, ona odwróciła się do mnie. Czułe spojrzenie szaroniebieskich oczu koiło. Przez jakiś czas po prostu tylko patrzyliśmy na siebie.

A ja, dosłownie wymknąwszy się sobie samemu spod kontroli, ująłem jej rękę, szybko pocałowałem i położyłem z powrotem na jej kolana. Na policzkach Anastazji zapłonął rumieniec, a rzęsy zatrzepotały. I mnie też ni stąd, ni zowąd opanowało jakieś onieśmielenie. Jakie to dziwne: peszyć się na widok kobiety po dziesięciu latach znajomości z nią! I jakże przyjemne.

Żeby pokonać tę niezręczność zmieszania, przemówiłem pierwszy:

– Rozmawiałem teraz, Anastazjo, z twoim dziadkiem. On jakoś tak w niezwykły dla niego sposób, w uniesieniu mówił o tym, że niezbędne są jakieś słowa o wieczności. Mówił, że te słowa powinny być takie, aby człowiek był w stanie pojąć je nie tylko rozumem, lecz również uczuciami. Czy to rzeczywiście ważne słowa?

– Tak, ważne, Władimirze. Lecz nie słowa są ważne, ale ludzka świadomość. Aby wśród ludzi zaistniało pełne uświadomienie sobie, naturalnie niezbędne są słowa. Całkowite uświadomienie sobie wiecznego życia pomoże człowiekowi uczynić tryb swego życia doskonałym.

– Ale jaki związek mają ze sobą tryb życia i pełne uświadomienie sobie wieczności?

– Bezpośredni. Dzisiejsi ludzie uważają, że mogą żyć tylko kilkadziesiąt lat, po czym na wieczne czasy opuszczają życie, odchodząc donikąd. A życie człowieka może być wieczne. Trzeba o tym powiedzieć, ażeby zrozumiał to każdy człowiek lub większość ludzi.

– Ale ty o tym mówiłaś. I twoje słowa zapisywałem w różnych książkach.

– Tak, mówiłam, lecz widocznie moja mowa była niezrozumiała przez tysiąclecia bądź wpajane sugestie dotyczące przemijalności ludzkiego istnienia były bardzo silne. Trzeba znaleźć nowe słowa i argumenty.

– Spróbuj zatem znaleźć.

– Spróbuję. Trzeba ich widocznie szukać razem z tymi ludźmi, którzy zrozumieją.

– Lecz ty najpierw przytocz swoje.

– Dobrze. Być może trzeba powiedzieć tak.

Większość ludzi żyjących na Ziemi uważa, że sami planują swoje życie. Wybierają zawód, zakładają rodzinę, rodzą im się dzieci albo przeciwnie – rezygnują z posiadania dzieci. Jednak ich decyzje są w znacznej mierze niesamodzielne. Silny wpływ wywiera cudza wola, działająca za pośrednictwem opinii publicznej. Na przykład posiadacie taki przedmiot, nazywa się go "wieszakiem na ubrania". Pewnego razu ktoś postanowił udoskonalić ten przedmiot: wykorzystywać w charakterze wieszaka na ubrania samego człowieka. I powstał zawód, tak zwana modelka – od słowa "model". Zawód nie do pozazdroszczenia, który nie przystoi człowiekowi i jego przeznaczeniu.

Ktoś jednak postanowił uczynić ten zawód jednym z najatrakcyjniejszych zawodów i tak też uczynił. Zaczęli pokazywać żywe manekiny w różnych kolorowych czasopismach i programach telewizyjnych, opowiadać o ich jakoby szczęśliwym życiu. Zaczęli mówić o tym, jak wiele zarabiają pieniędzy i jak bogaci mężczyźni się z nimi żenią.

Miliony młodziutkich dziewcząt marzą o tym, żeby zostać najlepszą na świecie modelką, a zatem – szczęśliwą. Miliony młodziutkich dziewcząt w różnych krajach zaczęły podejmować wszelkie możliwe działania, starając się zdobyć złudną sławę. Jedna na milion stawała się znaną modelką, w istocie pozostając przy tym zaledwie żywym wieszakiem na ubrania. Pozostałe ogarniało rozczarowanie w życiu, ponieważ ich marzenie się nie zrealizowało.

A zdarzyło się tak dlatego, że nie były one w stanie samodzielnie określić swojego przeznaczenia, ponieważ próbowały budować swoje życie pod wpływem cudzej woli.

Można przytoczyć mnóstwo podobnych przykładów, kiedy mężczyźni, kobiety i nawet dzieci dążą ku złudnym wartościom, lekceważąc swoje przeznaczenie.

A ogólnie cała społeczność ludzka, składająca się z takich właśnie ludzi – dokąd może zmierzać? Jak uważasz, Władimirze?

– Ta ludzka społeczność nie zmierza w żadnym kierunku. Weźmy nasz kraj, Rosję: ani żadna partia, ani państwo ogólnie żadnego programu w zakresie budowania przyszłości nie posiada. Z tego, co powiedziałaś, Anastazjo, zainteresowało mnie określenie przeznaczenia człowieka. Na czym ono polega? Jak to określić?

– Niech myśl twoja, Władimirze i myśl innych ludzi spróbuje poznać dzieła Boga, Jego program-marzenie.

– A czy to możliwe, aby poznać marzenie Boga?

– Możliwe. On przecież niczego nie ukrywał i nie ukrywa przed ludźmi – swoimi dziećmi. Zawiłych tekstów nie pisał, wszystko pokazał na przykładach. I pierwszą, niezbędną każdemu rzeczą jest zrozumieć, poczuć: jakie czyny prowadzą człowieka do wieczności. Pomyśl sam, Władimirze, dlaczego Bóg, który stworzył tak różnorodny i żywy świat, nie stworzył samochodu, telewizorów, rakiety w ich obecnej postaci?

– Może po prostu nie potrafił stworzyć, a ludzie – potrafili?...

– On stworzył wszystko niezbędne dla człowieka: człowiek ma taką wyobraźnię i sposoby przemieszczania się, dzięki którym można widzieć obrazki lepiej, niż rysujące się na ekranie telewizorów. Człowiek też może oswajać planety Wszechświata bez pomocy sztucznych, prymitywnych urządzeń.

On określił przeznaczenie człowieka i program rozwoju życia całego Wszechświata. Aby zrozumieć Jego program, nie powinno się niszczyć, ale badać, studiować i określać znaczenie wszystkiego, co ziemskie.

Nieśmiertelność

– Bóg stworzył człowieka nieśmiertelnym, lecz aby tak było, trzeba spełniać tylko trzy warunki. Pierwszy: stworzyć żywą przestrzeń, która przyciągnęłaby do siebie człowieka i do której człowiek by dążył.

Drugi: na Ziemi powinien być chociażby jeden człowiek myślący o tobie dobrze i z miłością.

Trzeci: nigdy nie dopuszczać do siebie myśli o tym, że śmierć będzie w stanie ciebie dosięgnąć. To jest bardzo ważne. Jeżeli zasypiającemu człowiekowi tylko się zasugeruje, że umiera i on sam w to uwierzy, to umrze, podporządkowując się swej myśli. Ale jeśli nawet człowiek w podeszłym wieku, w ziemskim pojęciu, będzie miał zniedołężniałe ciało i leżał na łożu śmierci, lecz nie będzie myślał o śmierci, tylko wyobrazi sobie swoje życie w stworzonej przez siebie żywej przestrzeni, to odrodzi się ponownie, ta-

kie jest prawo Wszechświata – on nie może dopuścić do tego, żeby umarła myśl stwarzająca życie.

Macie takie pojęcie, jak dobór naturalny. Oto i teraz program Boga wybiera dla ponownego wcielenia wszystko co najlepsze. Jednak możliwość wyboru nie była zbyt wielka. Teraz wzrasta ona wielokrotnie. Ten, kto będzie z miłością budował siedzibę, zacznie wcielać się ponownie i ponownie.

Wszystko, co im przeszkadza, na wieczne czasy będzie znikać z Ziemi, ustępując miejsca nowej, rodzącej się cywilizacji.

– Dlaczego nowej cywilizacji: ci sami ludzie, rośliny, ta sama planeta?

– Nowa cywilizacja, Władimirze, charakteryzuje się nową świadomością i nowym odczuwaniem otaczającego świata. Ten wielki początek, zrodzony w dzisiejszym człowieku, niewidoczny zwyczajnym wzrokiem, tymczasem zmieni oblicze całej planety o nazwie Ziemia. Przejawi wpływ na życie całego Wszechświata.

– Ale w jaki sposób z powodu zmiany oblicza Ziemi może zmieniać się Wszechświat?

– Może, Władimirze. Przecież nasza planeta – jest małą cząsteczką, jednakże ściśle współdziałającą z innymi częściami Wszechświata. Jeśli nawet mała cząsteczka się zmienia, swoimi zmianami może wpłynąć na całą różnorodność Wszechświata.

– Tak interesujące. Anastazjo, a czy nie mogłabyś pokazać jakiegoś obrazu z przyszłości, w jaki sposób Wszechświat może się zmieniać?

– Mogłabym, zatem patrz.

Miłość tworząca światy

Na planecie Jalmeza rozkwitała wiosna. Zioła, podobne do ziemskich kwiaty na drzewach i krzewach roztaczały rozkoszną woń. Ścieżką pośród wiosennej wspaniałości szedł na sympozjum Władysław. Czekało go wygłoszenie referatu o pochodzeniu życia na planecie Jalmeza. Jako oponent będzie występował jego przyjaciel z dzieciństwa, Radomir.

W wieku dziewiętnastu lat Władysław posiadał wystarczająco dużo informacji, aby przedstawić swoją teorię na radzie naukowej dowolnego szczebla. Ale wiedza jego przyjaciela Radomira była nie mniejsza. Radomir i grupa jego popleczników wykorzystają każdy słaby punkt referatu lub niewystarczającą argumentację mających miejsce w przeszłości wydarzeń. Na sympozjum będzie i Ludmiła. Ludmiła... Tak się zdarzyło, że obaj kochali tę dziewczynę od wczesnego dzieciństwa. Kochali, lecz nie przyznawali się do swojej miłości ani sobie nawzajem, ani dziewczynie, tylko ciągle czekali na jakikolwiek znak ze strony Ludmiły: którego obdarzy ona swoimi względami.

Władysław specjalnie poszedł dalszą drogą, aby jeszcze raz przemyśleć swoje wystąpienie. Lecz coś przeszkadzało mu się skupić. Pojawiło się odczucie, jakby ktoś go obserwował. I kiedy z tyłu rozległ się jakiś szmer, Władysław gwałtownie się odwrócił. Ze ścieżki ktoś się rzucił w krzaki i zastygł w trawie. Władysław zrobił kilka kroków w powrotnym kierunku i zobaczył swoją czteroletnią siostrę Katię, która przyczaiła się w trawie pod krzakami.

– Tak, Katierinka, znowu się do mnie przyczepiłaś – czule powiedział do siostry Władysław.

– Czeka mnie poważna sprawa. Ty nie rozumiesz, że możesz przeszkodzić? Rozumiesz, oczywiście, dlatego też chowasz się w trawie.

– Ja się nie chowam, leżę po prostu. Kwiatkowi, robaczkom różnym się przyglądam – oświadczyła maleńka Katia i udała, że niby rzeczywiście interesuje ją maleńki kwiatuszek.

– Ot co. Zatem leż sobie dalej i oglądaj. A ja idę.

Katia z miejsca wyskoczyła, podbiegła do Władysława i szybko powiedziała:

– Idź, Władeczku. Ja będę szła za tobą cichuteńko, aby nie przeszkadzać ci myśleć. Kiedy przyjdziemy do tego miejsca, gdzie ludzie się zebrali, weź mnie za rączkę, żeby wszyscy widzieli, jakiego mam ładnego i mądrego braciszka.

– No dobrze. Nie podlizuj się. Dawaj swoją rączkę. Tylko zapamiętaj: kiedy ja lub ktoś inny będzie występować, niech ci nie przyjdzie do głowy komentować to, co powiedzieli dorośli, tak jak zeszłym razem.

Zadowolona Katierinka schwyciła Władka za rękę i obiecała: – Ze wszystkich sił, Władeczku, będę się starać nie komentować.

* * *

Naturalny amfiteatr zapełniali starsi i młodzi przedstawiciele różnych regionów planety Jalmeza. Nie mieli żadnych długopisów ani notesów lub jakichkolwiek aparatów nagrywających. Naturalna pamięć pozwalała zapamiętywać to, co zostało powiedziane, w naj drobniej szych szczegółach. Władysław, który wyszedł przed audytorium, także nie miał żadnych pomocy. Siłą swojej myśli mógł on budować w przestrzeni hologramy, pokazujące dowolne obrazy przeszłości, rekonstruować przedmioty użytkowe i nawet uczucia.

Denerwując się nieco, Władysław zaczął swój referat:

– Planeta, na której żyjemy, nazywa się Jalmeza. Jej wiek określa się na ponad dziewięćdziesiąt tryliardów lat. Jednak życie powstało na niej zaledwie trzysta lat temu. Pojawienie się tutaj życia zawdzięczamy naszym przodkom, dwojgu mieszkańcom planety Ziemia. Ściślej mówiąc, życie na planecie Jalmeza powstało pod wpływem energii miłości i marzenia dwojga mieszkańców planety Ziemia. Z tej przyczyny przedstawiam historyczną informację z życia Ziemian.

Wysoce prawdopodobne, że pierwotny okres życia ludzi Ziemi był taki sam, jak i nasz. Oni dobrze znali i czuli swoją planetę i przeznaczenie Wszechświata.

Ziemianie określali przeznaczenie wszystkich żywych organizmów swojej planety, mądrze zeń korzystając.

Lecz pewnego razu wydarzyła się katastrofa. Do świadomości jednego z mieszkańców Ziemi wtargnął wirus, który zaczął się intensywnie rozpowszechniać wśród innych mieszkańców planety. Nasi naukowcy nazwali ten wirus słowem "śmierć". Zewnętrzne przejawy tego wirusa, jak świadczą historyczne dane, wyglądają następująco: ludzie nim dotknięci zaczynają niszczyć żywą doskonałą różnorodność planety, w zamian budując prymitywny sztuczny świat. Ten okres życia sami Ziemianie nazywali technokratycznym.

Ludzie zarażeni wirusem śmierci zaczęli się przekształcać z istot rozumnych w istoty antyrozumne. Gromadzili się w wielkiej liczbie na niewielkich działkach ziemi i budowali sobie mieszkania podobne do kamiennych grobowców, stawione jedno na drugim.

Wyobraźcie sobie kamienną górę z mnóstwem wybitych w niej nor. Podobne do niej kamienne góry ludzie budowali własnymi rękoma i nazywali je domami. Nory-grobowce w sztucznej górze nazywali mieszkaniami. Wielkie skupisko przylegających do siebie sztucznych kamiennych gór z grobowcami nazywali miastami.

W tak zwanych miastach powietrze nie nadawało się do wdychania, woda była niezdatna do picia, a pożywienie nieświeże. Poszczególne organy ludzkiej istoty jeszcze za życia zaczynały gnić i rozkładać się. Oczywiście, trudno sobie wyobrazić poruszające się ludzkie ciało, wewnątrz którego gniją i rozkładają się organy. Ale tak było.

Źródła historyczne świadczą o tym, że ludzie technokratycznego okresu mieli nawet naukę, która nazywała się medycyną. Za wielkie osiągnięcie tej nauki uznawali oni możliwość zamiany wewnętrznych organów. Ludzie nie rozumieli, że już samo istnienie podobnej nauki świadczy o niepełnowartościowości ich świadomości.

Rozkładowi ulegało nie tylko ludzkie ciało, ale także miała miejsce intensywna degradacja ich świadomości – rozumu, spowolnieniu ulegała ich myśl, ludzie zaczęli nawet tracić umiejętność liczenia i wynaleźli kalkulator. Zaczęli tracić zdolność budowania w przestrzeni hologramów – i wynaleźli telewizor, takie prymitywne urządzenie, pokazujące coś na podobieństwo hologramów.

Utraciwszy zdolność przenoszenia się w przestrzeni, zaczęli stwarzać sztuczne udogodnienia, nazywając je samochodami, samolotami, rakietami.

Od czasu do czasu jedne grupy ludzi napadały na inne i mordowały się nawzajem. Lecz co najbardziej niezwykłe – wirus śmierci zasugerował ludziom, że nie są wieczni, lecz tylko czasowo znajdują się w uświadamianej sobie przestrzeni.

Działania ludzi technokratycznego okresu zamieniały coraz to bardziej planetę Ziemia w cuchnący, kopcący fetorem punkt we Wszechświecie. A Uniwersalny Rozum ciągle jeszcze na coś czekał, nie niszcząc tego szkodliwego punktu.

– Proszę się na minutkę zatrzymać – referat Władysława przerwał głos dochodzący z grupy oponentów, na czele której stał jego przyjaciel Radomir.

– Pańskie dalsze wystąpienie jest bezsensowne. Coś takiego nie mogło się dziać na Ziemi.

– Dobrze, przerwę swój referat, jeżeli rzeczywiście udowodnicie nieprawdziwość tego, co powiedziałem.

Z grupy oponentów wstał młody człowiek i oznajmił rzecz następującą:

– Z wiarygodnych źródeł wiadomo o istnieniu religii w społeczności Ziemian. W religijnych traktatach była mowa o tym, że Ziemię i wszystko, co na niej rośnie, stworzył Uniwersalny Rozum, a oni nazywali go Bogiem. Czcili go i ku jego czci dokonywali mnóstwa obrzędów. Mam nadzieję, szanowny referencie, że nie będzie pan negował tego faktu?

– Nie, nie będę – odpowiedział Władysław.

– W takim razie proszę powiedzieć, jak można dokonywać obrzędów na cześć swojego bóstwa, a jednocześnie niszczyć to, co ono stworzyło? Równolegle tego czynić nie sposób. A zatem nie mogło być na Ziemi gęsto zaludnionych miast. Ludzie nie mogli zanieczyszczać wody, stworzonej przez wielbionego przez nich Boga. Uniwersalny Rozum nie mógł też dopuścić do takich bachanaliów, gdyż inaczej jego samego nie można by nazywać Rozumem, wręcz przeciwnie, trzeba zakwestionować rozumność tego, co stworzył, a w pierwszym rzędzie człowieka. Co powie na to szanowny referent?

– Powiem, że istnienie Rozumu, a tym bardziej Uniwersalnego, to jedność dwóch wielkich pierwiastków – Rozumu i Antyrozumu.

Antyrozumny okres życia ludzi planety Ziemia był niezbędny. I jeżeli pozwolicie, w swojej kolejnej wypowiedzi udowodnię istnienie w człowieku dwu wielkich początków.

– Dobrze, proszę kontynuować – zgodził się młody człowiek i usiadł na swoje miejsce.

– Uniwersalny Wszechświat – to jedność przeciwieństw – kontynuował pewnie Władysław.

– Człowiek również odzwierciedla sobą jedność przeciwieństw. W nieprawdopodobnym chaosie, który ogarnął świadomość ludzi Ziemi, nagle pojawiali się ludzie, którzy potrafili zrozumieć... Ludzie ci nie w słowach, nie za pośrednictwem religijnych traktatów zmienili swój stosunek do stworzeń ziemskich. Zaczęli zmieniać swój tryb życia. Jeszcze sami do końca nie zdając sobie sprawy ze skali swojego aktu twórczego, nazywali oni swoje działania po prostu "budowaniem rodowej siedziby".

Nie wiedzieli jeszcze, że dotykając ziemi z nową świadomością, zaczynają ożywiać planety Wszechświata. Że dla nich nie będzie istniała śmierć. A dzieci z nich zrodzone potomni nazwą bogami. Oni po prostu budowali swoje rodowe siedziby na planecie Ziemia. Rozum Uniwersalny zamarł, z drżeniem śledząc ich poczynania. I nastał okres, kiedy wszyscy ludzie Ziemi zaczęli żyć w swoich przepięknych siedzibach. I nastał dzień, kiedy... Spójrzcie, pokażę wam hologram, a w nim dwoje ludzi.

W przestrzeni przed audytorium powstał ziemski pejzaż. Drogą wiodącą do lasu szło ze swego rodowego majątku, ująwszy się za ręce, dwoje starszych ludzi, mężczyzna i kobieta. Mieli wyraźnie ponad sto lat. Zmierzchało, na niebie pojawiły się ledwie jeszcze widoczne gwiazdy. Ludzie podeszli do cedru i starsza kobieta przylgnęła do niego plecaml.

– Już zostałam babcią i prababcią, a ty mnie ciągle namawiasz, jak w młodości, do spacerów pod rozgwieżdżonym niebem – kobieta zwróciła się czule do swojego współtowarzysza.

– Czyżbyś ty sama tego nie chciała?

– Oczywiście, że chcę, ukochany.

Ujął ją za ramiona, objął gwałtownie i pocałował w usta.

Następnie, odsunąwszy ramiączko jej sukienki, obnażył jej ramię. W księżycowym świetle na lewym ramieniu kobiety wyraźnie były widoczne trzy pieprzyki, ułożone w rządku. Mężczyzna pocałował każdy z nich.

– Ciągle tak samo jak przedtem, mój ukochany, nie chcę się z tobą rozstawać.

– Ale my się przecież nie rozstaniemy. Umrzemy i odrodzimy się ponowme.

– Nie wolno się nam odradzać – smutno powiedziała kobieta.Spójrz, wolnej ziemi na Ziemi pozostaje coraz mniej, dookoła ogrody, siedziby. I może nie wystarczyć miejsca dla naszych wnuków. Z pewnością czegoś nasz Stwórca nie uwzględnił, stwarzając naszą Ziemię.

– Ja tak nie myślę. Jest jakieś wyjście, tylko my go jeszcze nie znamy. Jestem jednak pewien, że nasza miłość nie może się skończyć. Umrzemy razem, ażeby wcielić się ponownie.

– Ale gdzie?

– Popatrz, ukochana – na tej gwieździe. Niech nasza myśl stworzy życie, podobne do ziemskiego, na nowej planecie. Sama pomyśl, w jakim celu On powziął zamysł stworzenia tak wielu planet? Wszystko to – nie ot tak sobie. Nasza myśl jest materialna i stworzy dla nas życie na planecie bez życia. Bę-

dziemy wcielać się znowu i znowu. Nasza miłość...

– Dziękuję za przepiękne marzenie, ukochany mój. Z tobą. .. pomogę ci zrodzić życie na nowej planecie.

– Jak nazwiemy, ukochana, planetę naszego nowego życia?

– Jalmeza – niech tak się ona nazywa.

– Jalmezo, poczekaj na nas, a tymczasem ogrodami rozkwitaj, pokryj się trawami, tak jak pragnę – żarliwie i z przekonaniem powiedział mężczyzna.

– I ja – odpowiedziała mu kobieta.

Hologram zginął. Władysław ukłonił się audytorium i odszedł na bok, ustępując miejsca swojemu przyjacielowi i oponentowi Radomirowi.

Radomir stanął na miejscu Władysława, obrzucił wzorkiem audytorium i przemówił:

– Powinienem był oponować swojemu przyjacielowi. I od razu powiem: w jego wersji jest bardzo dużo informacji nie do udowodnienia, a nawet sprzecznych. Zarówno ja, jak i moi przyjaciele nie możemy uwierzyć w istnienie całkowicie absurdalnego okresu życia ludzi.

Pokazany przez niego hologram, jak wszyscy rozumiemy, to wola jego myśli, jego wyobraźni – to wymaga potwierdzenia. Chociaż ten hologram wzbudził we mnie jakieś dziwne odczucie. Wydało mi się, że mój przyjaciel zaczerpnął go z historii już znanych, tylko po prostu nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego źródła.

Przez amfiteatr przebiegł szmer i rozległy się okrzyki:

– Czyżby plagiat?! Niesłychane! Możliwe jednak, referent nie wiedział.. .

– Plagiat. Rzeczywiście pojawia się wrażenie, że to już widziano. Władysław stał z boku, opuściwszy głowę. Drgnął, kiedy usłyszał dobiegający z dalekich rzędów dziecięcy krzyk. "A–a–a... a–a–a"krzyczała jego nieposkromiona siostra Jekatierinka.

"Dobrze, że chociaż po prostu krzyczy, a nie komentuje tego, co się dzieje" – pomyślał Władysław. Lecz się pomylił.

Doczekawszy się chwili, kiedy nastąpiła cisza, Jekatierina głośno oświadczyła:

– I nawet nie myślcie spierać się z moim braciszkiem. Ponieważ on jest bardzo mądry i czuły.

– Tak, ważki argument – rozległy się kpiny.

– Dokładnie, bardzo ważki – kontynuowała mała Jekatierinka.I ty, Radomirku, już więcej się tak nie wpatruj w Ludmiłę. Nie wpatruj się w nią i już!

– Katia, zamilknij! – krzyknął Władysław.

– Nie zamilknę. Ludmiłka ciebie kocha i ty ją kochasz, ja to dokładme wiem.

– Katia! – jeszcze raz krzyknął Władysław i skierował się w stronę siostry.

– Ludmiłko, a ty co tak siedzisz? – wykrzyknęła Katia. – Zatrzymaj go. Nie pozwoli mi dokończyć mówić. Zabierze mnie stąd teraz. Siłą.

Z dalekiego rzędu wstała jasnowłosa dziewczyna, wyszła Władysławowi naprzeciw i zagrodziła mu drogę. Na policzkach Ludmiły płonął rumieniec. Opuściwszy głowę, wyszeptała:

– Twoja siostra ma rację, Władysławie.

Jej szept usłyszała wyciszona sala. Głowy obecnych zwróciły się ku małej Jekatierince, ludzie uśmiechali się do niej i oklaskiwali. I natchniona poparciem sali dziewczynka pobiegła do stojącego przed audytorium Radomira, stanęła obok niego i uniosła w górę rączki, gestem uspokajając salę.

Kiedy wszyscy ucichli, ponownie przemówiła, zwracając się do Radomira:

– A ty, Radomirku, o mało zdrajcą nie zostałeś. Nie krytykuj mojego brata. On wszystko pokazał właściwie. Jest twoim przyjacielem. A ty jesteś jego przyjacielem. I nie krytykuj.

Radomir spojrzał pobłażliwie z góry na dół na małą dziewczynkę i z taką samą pobłażliwością zwracając się do niej i do siedzących w amfiteatrze ludzi, powiedział:

– Ja nie krytykuję. Po prostu konstatuję fakt. Na ukazany hologram brak potwierdzeń. Ich po prostu nie ma – ani jednego.

– Jest jedno. Albo nawet dwa – twardo oświadczyła Katierinka.

– A zatem gdzie ono lub one, jeżeli są dwa?

– Jedno – to ja. Drugie – to ty, Radomirku – pewnie powiedziała dziewczynka.

Przy tych słowach rozpięła dwa guziczki swojej sukienki i obnażyła ramionko. Na lewym ramionku małej Jekatierinki Radomir zobaczył trzy pieprzyki, dokładnie takie same, jak u starszej ziemskiej kobie-

ty, pokazanej w hologramie. Radomir wpatrywał się w pieprzyki na ramiączku małej dziewczynki i krew coraz intensywniej pulsowała w jego żyłach. Przypominał sobie z wysiłkiem. Pojawił się przed nim widoczny tylko dla niego samego hologram.

Ziemski pejzaż. On całuje trzy pieprzyki na ramieniu swojej ukochanej. Potem ona go obejmuje. Stroszy ze śmiechem włosy na jego głowie i jak zawsze ze śmiechem całuje koniuszek jego nosa.

Hologram zginął.

Radomir jeszcze przez pewien czas patrzył na Jekatierinkę, stojącą przed nim z obnażonym jak przedtem ramionkiem. Potem nachylił się szybko, wziął dziewczynkę na ręce i przycisnął do siebie. Ona objęła go, ze śmiechem potargała włosy na jego głowie i szybko pocałowała w koniuszek nosa. On trzymał małą Jekatierinkę na rękach, a ona szeptała mu do ucha:

– Za szybko się urodziłeś, Radomirku, albo ja za późno. Teraz poczekaj, aż podrosnę. Czekaj czternaście lat. A z innymi nie będziesz szczęśliwy: to ja jestem twoją połówką.

– Doczekam się, aż podrośniesz, ukochana – odpowiedział cicho młodzieniec.

Zmęczona całym zamieszaniem Jekatierinka uspokoiła się, położyła główkę na ramieniu Radomira i słodko zasnęła, a on milcząco stał przed audytorium, które przycichło i ostrożnie trzymał na rękach swoją przyszłą żonę.

Myślą pisał w przestrzeni litery. Zebrani przeczytali tekst stworzonego przezeń hologramu: "Potwierdzenie jest. One są w każdym z nas! Nieograniczona i wieczna miłość we Wszechświecie".

Następnie powoli i ostrożnie, by nie rozbudzić śpiącej na jego ramieniu dziewczynki, Radomir skierował się do wyjścia.

Zapomniał wyłączyć z przestrzeni swoją myśl i hologram dalej zapełniał się literami. Zebrani rozumieli, że już nie do nich adresowane są te słowa, jednak mimo woli je czytali:

"Ty bosymi nóżkami biegłaś po gwiazdach. Nie szukałaś miłości dla siebie. W przestworzach Wszechświata ty sama ochraniałaś to, co winniśmy chronić razem".

Słowa przeznaczone dla małej dziewczynki z planety Jalmeza i ziemskiej kobiety – bogini, która podarowała życie ich planecie.

Mała bogini słodko spała na ramieniu Radomira i być może we śnie też słyszała słowa swojego ukochanego.

* * *

– Pięknie, Anastazjo! To znaczy, że kiedy ludzie, realizując Boski program, zagospodarują całą Ziemię, będą mieli możliwość zasiedlać inne planety?

– Oczywiście. W przeciwnym razie samo istnienie planet we Wszechświecie byłoby bezsensowne. A On wszystkiemu nadał wielki sens. Miłość dwojga, marzenie zrodzone w miłości, jest w stanie tchnąć życie w każdą planetę. "

– I jeszcze, jak zrozunriałem, ludzie, budujący teraz rodowe siedziby, nie będą umierać, tylko zmieniać ciała i z miejsca w życiu się wcielać.

– Oczywiście ich działania na Ziemi są najpotrzebniejsze. Oni są mili Bogu. I nawet ci ludzie, którzy jeszcze nie zdążyli ziemi dotknąć ręką, lecz dopiero w myślach zaczęli budować swój przyszły rajski żywy kącik, wielekroć bardziej potrzebni są Boskiemu programowi aniżeli setki mędrców, którzy za kamiennymi ścianami, odgrodzeni od stworzeń Boga, mówią o Bogu i o duchowości.

Ich mowy są bluźniercze i smutne, czeka ich śmierć bez wcielenia. Straszna ich dola, lecz nie jest to kara Boża, tylko wybór własnego losu!

Błysnął On we Wszechświecie myślą nową – jest to potężna energia, lecz również i sędzia. O sądzie Bożym mówiono wiele w traktatach i legendach. Sąd Boży nadszedł cichy i niewidzialny. Dotknie on wszystkich ludzi żyjących obecnie na planecie. A każdy sam sobie sędzią będzie.

Kto wybiera życie i życie tworzy – będzie wieczny i upodobni się do wielkiego stwórcy Wszechświata.

Kto w pojęciu swoim śmierć kreuje – na śmierć też jest skazany przez myśl swoją.

Te jej słowa, powiedziane na brzegu rzeki tonem spokojnym i pewnym, przestrzeń jakby podchwyciła, niosąc echem po Ziemi. W ciągu dziesięciu lat nie tylko ja poznałem, jak Anastazja jest w stanie kreować przyszłość swoimi myślami, słowami.

* * *

Odchodziłem wzdłuż rzeki. Anastazja stała na brzegu. Przestrzeń powtarzała jej słowa o życiu wiecznym znowu i znowu. Nagle pomyślałem – z jakich Wszechświatów czy z jakich galaktyk pojawiła się stojąca na brzegu Anastazja w swoim ziemskim obliczu i podarowała planecie o nazwie Ziemia uświadomienie sobie wieczności? Nie rzuca słów na wiatr. I potwierdza to życie.

A skoro tak, koniecznie muszę pogratulować Wam, moi Czytelnicy. I gratuluję Wam uświadomienia sobie! Będziemy żyć wiecznie, życie we Wszechświecie stwarzając.

Do następnego, radosnego spotkania, przyjaciele!

Koniec części pierwszej